

# Konopielka

Edward Redliński



calibre 0.9.27

## KONOPIELKA

Co innego wstawać latem, co innego zimo. Słonko to zawsze wstaje równo, zaraz po kogutach, i to zima czy lato, tyle że latem pokazuje się od razu, latem dużo roboty, a zimo, jesienio wyleguje się: nie wschodzi na niebo, bo po co? Leży sobie pod spodem, wygrzewa się po ciemku, czochra się, całkiem jak w chatach gospodarze.

Jesienio gospodarze wstają długo, po trochu, posmakować lubio. Jakby taki był, co by widział przez ściany i przez ciemno, to on by może i widział co gospodarze robio jak koguty w sieniach odśpiewają im trzecie pobudkę.

Przecknąwszy się oczów nie odmykają, leżą, leżą sobie pod pierzynami jak bochenki w piecach, jak w gniazdach jajka pod kurami, każdy rozgrzany, rozpalony, baba jemu do pleców przyliła, dycha w szyję a parzy, w nogach ciepło, w łokciach ciepło, pod pachami ciepło, aj dobrze, ścien nie ruszy się, nie drygnie, ścien tego swojego przytuliska, ciepłiska Broń Boże nie zruszyć, leży, poleży, jeszcze trochę, troszku, aj nie chce się z gniazda ciepłego wylazić. Ale to że tam gdzie słonko się ocknęło i czas wstawać, świdruje to, poszturchuje.

Taki, co by widział przez ściany i ciemno, zobaczyłby naraz we wszystkich chatach nogi, jak raptem myk, wylażą spod pierzyn i bosa szukają podłogi, macają. A już i głowy, plecy dźwigają się, prostuje i niewiadome kiedy na wszystkich łóżkach siedzą mężczyźni w gaciach i koszulach, oczy dalej mają o zapluszczone.

Nie odpluszczają, bo chcą sobie poziewać: poziewać i poprzeciągać się na siedząco, uch, co to za siły natężyć o tak od środka, że głowy poodrzucają a na łopatki, ręce rozkrzyżowały, brzuchy, plecy w długi wygięło! Siedzą w pomorcu, wygięte, naprężone, aj dobrze im, dobrze!

Naraz sprężyny puszcza: miękno chłopcy, zwijają się, bezwładnie, ręce zsuwają się im

między kolana, siedzą miętkie, bezwładne, jak nieświe, jakby ich nie było, ile czasu tak siedzą?

Nie wiadomo, nikt nie wie, nima komu wiedzieć. Siedzą. Siedzą Jurczaki, Bartoszeki, Mazury, Koleśniki, Litwiny, Orele, Prymaki, Dunaje, Kozaki, czterdzieście gospodarzy na czterdzieści łóżkach, oni w swoich chatach najważniejsze, wstają pierwsze: siedzą sobie, śledzą. A teraz przydałby się taki, coby słyszał przez wszystkie drzwi, ściany: taki posłyszałby raptem we wszystkich chatach uchanie, sapanie, pufanie, marmotanie: to zimno wzdrygnęło ich poruszyło, zaczynają gospodarze cmentę rozganiać, tuman, co głowy mroczy, odprawiają drapanie, postukiwanie, szorowanie paznokciami w kostkę, łydkę o łydkę, kolaniem o kolano, czochranie się pod pachami, po ściebrach, w pachwinach, pod kolanami. Brodo o koszule chręszczo, jednym kułakiem krzyż rozciera j o drugim oczy, a wyginają się przy tym jak baby w połogu, a stękają, a gęby wykrzywają. I dobrze, ludkowie, oj jak dobrze! W uchu powiercić jeszcze, smarkność na podłogę, kachność na szczęście i zegnawszy się ręką cięsko jeszcze, zaspano, na słowie Amen oczy odpluszczyć.

Odpluszczysz i latem widzisz brzezinkę za rzeką i słonko: jak z trawy wstaje, prostuje się na cztery

łapy, przednie zadziera, wyciąga i po brzozach w górę, czerwone lezie. A ptastwo w krzyk, Śe dzień sie zaczął!

A cóŚ jesienio, ech, jesienio odpluszczysz sie i ciemno, głucho, za oknem czarno, w chacie jeszcze czarniej. Na łóŚku pierzyna ledwo bieleje, choć w białej poszwie ona, a głowę Śonki na poduszce nie tyle widać, co słyhać, dychanie słyhać. Przy drugim szczytku, w nogach, dychajo dzieci. Kołyski, co wisi między łóŚkiem a pieco, jakby nie było ani widu, ani słychu, trzeba aŚ

nachylić sie nad główkę, wtedy doleci poświstywanie przez chrapki, dychanie drobne, kociacze.

Dycha, Śyje, nie umarło. A na przypiecy chrr, uchch, chrr, uchch szum taki, jakby traczy belkę

piłowali, piła jeździła to wte to wefte. Ale to nie traczy, któŚ by traczował na piecy, tatko to, tato pod koŚuchłem dosypiajo nocy.

Za ściano słyhać drugie wstawanie: trzeszczenie łóŚka, pokaszliwanie, marmotanie, ktoś

zbiera sie, szykuje tak samo jak ja: to Michał, brat, słyhać bo ściana cienka, z deskow, deskami tatowa chata między dwoch synow na połówki przedzielona.

Ot i pomału sie wstało. Oczy patrzy, niby widzo, ale ślepe, tylko na pamięć wiedzo dzie kołyska, piec, ceberek, dzie dŚwi: idę półślepo, odmykam półomackiem, zawias zapiszczał, kury przestraszyli sie w sieniach, szuraj o na drabinie, grechocz. Wychodze za próg, na kamień.

I teraz jakby taki był, coby słyślał naraz ze wszystkich podwórzow, to on by posłyślał teraz w wiosce jeden wielki szum i pomyślałby: co to? Czy grad nadciąga i wiaterek wleciał do wioski?

Czy deszcz zaszurał raptem po liściach? A moŚe to wróbli wielko plago wlecieli w ogrody i szepocz w trawie?

Nie, to nie wiaterek, nie deszcz, nie wróbli. Taki, co słyślał ten szum, jakby on, jeszcze do tego mógł widzieć przez ściany i ciemno, taki zobaczyłby na progach i kamieniach czterdziestu gospodarzy: Jurczakow, Bartoszkow, Mazurów, Koleśnikow, Litwinów, Orelow, Prymakow, Dunajów, Kozaków, czterdziestu chłopca by zobaczył, jak stojo bosy w gaciach i koszulach i szczo szparko, stromo w koprzywy pod płótem: tamtego dnia, prawda, koprzywy juŚ nie było, struchlała, biały mroz leŚał na ziemi, powietrze zimne było, syrowe, ciemność bura, nawiśnięta, od razu wiadomo co z pogodą: bedzie padało, zimny deszcz a moŚe i szadz, e, myślę sobie, nie pojade dzisiaj do brzeziny, a na co mnie moknąć na takim ziąbie, pogoda w sam raz na stodołę, do cepa.

Czasu przeszło nie więcej jak płachtę wysiać i braś! bach! paf! słyhać dŚwi w wiosce: to męszczyzny kończo szczanie, wracajo z nadwora. I ja kończę, bo zimno, brr, ziąbu naszło pod koszule, prędzej do chaty! Nawet kury jeszcze nie wychodze, siedzo w sieniach, jeszcze im na dworze za ciemno, za straszno. Wciągam nogawicy i walonki, na koszule palcik i koŚuszek, na głowę czapkę. I teraz zachciewa sie mnie zimnej wody. Kubek z goździa zdymuje, zaczerpam ze skopka, pije, cały duŚy kubek wlewam, lubie nasłuchiwać jak zimno rozchodzi sie po brzuchu.

Rozeszło sie i juŚ ja całkiem przecknięty, mogby iść do młóczy. Ale jeszcze w stodole za ciemno,

posiedzę póki nie wywidnieje.

Na stołku przed pieco siadam, wyjmuję z kieszenia papierek złożony w ośmioro, naddzieram rąbek, z drugiego kieszenia biore szczypkę machorki, skręcam ośliniwszy brzešek, šeb trzymało sie, nu i mam papierosa. Teraz szukam w popiele węgielka. A jakše, większy, mniejszy, zawsze sie jakiś šarzy od wczoraj. Przypalam, zaciągam sie i siedze sobie po ciemku. O czym ja myślę tak przed popielnikiem? Ha, prawdę powiedziawszy to ja wtedy nie za bardzo myślę. Myślę niemyśle. Ot, roi sie coś pod czapko: še u šwiniow dšwi zlatuje, trzeba będzie przybić zawias. Czy Grzegorycha oddała juš naftę, co pošyczała na pogrzeb, czy nie oddała. Ile jeszcze do ocielenia sie Raby, prawie miesiąc? Co za czerwona ptaszka šwiergotała wczoraj na sokorze, nigdy ja takiej ptaszki nie widział. A sokor, jak on choroba pogrubiał, aleš wyros: jak z czubka na wioskę patrzeć, jakaš ona maleńka! A bagno szerokie, bez końca, morze. Ojezu, co zemno, lecę, zleciał ja z sokora i lecę nad chatami jak boćko!

Aha, to śni sie, ni to śpię ni nieśpie: nad wiosko lecę, ale i w chacie siedze, na stołku. W

chacie? Prawdę powiedziawszy, wcale ja tej chaty nie widze: dycha ktoś po ciemku, ale kto, co?

Toš nie chodzo, nie odzywajo sie. A moše ja w stodole? moše w jamie? w boru? Ciemno, czy to wiadomo co jest, czego nima? Nu a ja sam: jest ja czy nie? Chiba jest, tak, czuje še coś jest: tam dzie głowa jakoś widniej, jakby kądziel bielala w ciemnie. Ale nogow, plecow, ręcow nie czuje.

Nie czuje, nimam póki sie nie ruszę. A ruszę sie, bo w końcu coś wzdrygnie mno: czy to ręka sie obsunie, czy głowa raptem oklapnie, poruszę sie i juš czuje: o ręka, o nogi, o głowa! O, ja!

I słysze sapanie, i wiem: te tatowe, te Handzine, te dzieciow. A papieros zgasnoł, nie wiadomo dawno czy tylko co, długo ja myślał niemyślał, śniło sie nie śniło, czy nie długo. Co dalej? Znowuš

rozdmuchuje popiół pod płyto, dodmucha sie iskry, przypalam. Na dworze brzašnieje, trochu widniej, nu, mošno budzić.

Szturcham šonke: wstawaj Handzia! Ona stęknie i nic, śpi jak spała. Jeszcze raz szturcham: Wstawaj Handzia, dnieje! Ona ziewa, ręce przeciąga, oczow nie odpluszcza, przeciągnąwszy sie siadać zaczyna, pierzynę podciąga na cycki, zimno, za noc piecy wystygli. I siedzi tak półspawszy.

Ja ze stołka po chacie patrze: juš widać kołyskę, košuchi na murku, łóško, Handzie na łóšku.

Siedzi i siedzi niedoprzykryta pierzyno, cycki rękami zakrywa od zimna, oczy wytrzeszczywszy niešywe, szklanne, niby zbudzona a wygrzebać sie z nocy nie moše, jeszcze nogi, brzuch nieprzecknięte. Marmocze coś, gęba sie jej rusza jak krowie co przez sen trawę šuje.

Aš głowo strzącha, odmyka oczy i mówi co jej sie śniło: We śnie ja dzieci biła, czy to gošci bedo?

Wyłaž, mówie, nie będziesz gošciowała pod pierzyno.

Ona stęka i ręke po kaftany, serdaki wyciąga. Na przypiecy zaruszali sie košuchi, zaświeciło łycho, zgasio: tatko nałóšyli czapkę na głowę.

I oni wstaje. Pięty świerzbie, co to za wróŚba, pytają, jak ręce świerzbie, coś się podwędzi, ale co pięty?

Bo śpicie w walonkach, na to Handzia, zdymajcie na noc, nie będzie świerzbiało. A tatkó badaj o świerzby: ściągnęli walonki i rozsiadł się w koŚuchach, trach pazurami, trach, drapie się po łydkach i piętach. Handzia obuwszy się, skopek bierze, zbudzona a nie-dobudzona idzie doić, ale jak idzie? Krok, dwa i stanie: postoi, poziewa, wzdrygnie się, znowuś idzie, po drodze stołki przewraca, w szmatach się płacze, mało co widzi.

Poszła, doić, póki z mlekiem nie wróci się, posiedzieć moŚno, poroić pod czapko. Siedze przed pieco, śpię nie śpię, myślę nie myślę, aj dobrze. Dzień się sam zaczyna, wszystko idzie jak trzeba, jak wczoraj, jak kiedyś, jak było na początku teraz i zawsze i na wieki wieków amen.

AŚ tu:

AŚ tu słyhać kroki i wołanie z nadwora: Raba ociełiła się, chodź Kaziuk, prędzej! Ociełiła się? JakŚe ona ociełić się mogła, kiedy adwent tylko co zaczął się, bydłowała przed Wojciecha, jej czas przed samymi świętami.

Co ty pleciesz kobieto, mówie, Rabie brakuje prawie miesiąc!

Brakuje nie brakuje, ale cielak jest, upiera się ona. A tato pośpieszają: leć, leć Kaziuk, musi jakiś niedonosek! A moŚe Nie Daj BoŚe zrzuciła!

Lecę na gumno duŚymi krokami, zaglądam do chlewa, prawdziwie: coś czarnego w słomie leŚy, ale pod płotem co odgradza krowę od kobyły, jakoś tak Śe, widze, obydwie i krowa i kobyła jego oblizuje! A cóŚ u czorta za dziwo?

MoŚe to źrebię, mówie z proga.

Jakie źrebię, na. to Śonka, toŚ kobyła nie była źrebna!

Ale czy Śywe? pytam się i wchodze. Biore małe rękami pod brzuch, wynosze do pręga, na widniej. Chwała Bogu, ciele, jakieś małe, marne, ale Śywe, ha, ociełiła się Raba sama, bez niczyjej pomocy! Bywa.

Trzeba nieść do chaty, mówi Handzia, toŚ ono, chudzinka, skapieje tu z głodu, chłodu!

Trzeba, mówie, bierz w chfartuch, nieś, powycieraj, ja do stodoły skoczę po słomę na pościel.

Ale co się nie robi! Bierze Handzia cielaka w chfartuch, od proga idzie, a tu do dŚwiow napieraj o i Raba i Siwka! 2e Raba ryczy, to rozumiem, ona krowa. Ale czegoŚ Siwka rŚy, gwałtuje, toŚ ona kobyła! DŚwi zamykam, słysze ryczenie i rŚenie! CóŚ u czorta! Przyglądam się kobyłe: ona łbem kiwa, na mnie napiera, rŚy, o choroba, a jaki ty masz w tym interes? Czemu ty cielaka oblizowała, słyszał kto, Śeb Śywina cudzy płód oblizowała?

Zamykam dŚwi, snopek biore. A tu juŚ Handzia zaniosszy ciele, wróciła się doić Mećke.

Zacznij od Raby, radzę, zobaczymy czy mleko dośpiało, czy niedonoszone.

Handzia przysiada, skopek kolanami ściska, głowę wpiera w pachwinę, doi. Raba, cichnie, nasłuchuje ciurkania w skopku. Zaraz Handzia palcem próbuje smaku: dobre, z siaro, jak trzeba.

Nu to Chwała Bogu, mówie, tylko Śeb ciele wyŚyło.

Szymona Kuśtyka zawołaj, radzi ona, najlepiej na tych sprawach znaj o sie Szymon.

Zanosze słomę, ale juŚ tato połoŚyli cielaczka do łóŚka, pod pierzynę między dzieci, dzieci jak bąki cielaka obsiedli, gębę jemu rozdziawiajo, zaglądaajo, za ogon ciągaajo, nadaremno dziadko ich proszo, straszjo. Na słomę nie kładź, radŚo mnie, słoma zmarznięta, zimna, na razie rozściel niech ona zagrzejje sie. Słomę w kątku rozścieliwszy do Kuśtykow lece. Baranice Szymon nałoŚyli, fajkę

zgasili i za mno zaraz podąŚaj o. A Kuśtykiem przeżywa sie ich od zgiętej nogi: jedne nogę majo od małego, po wrzodzie, skurczone na zawsze w kolanie, przyrośnięte pięto do pułdópka, a zdrowa noga wyprostowana do przodu. I chodzo tak, dópo przy ziemi, jedne nogę wprzód rzucawszy, jakby co krok próbowali wstać z przysiadu i nie mogli. Te wygodę majo, Śe rękami podpierać sie mogo, a na drodze, w polu gadaajo ze stojącymi na siedząco, siedzo sobie pułdópkim na obcasie jak na pieńku, tyle Śe do rozporków gadaajo, bo głowa nisko. Ale niechno dŚwigno sie na tym zdrowym noŚysku, gruszkę urwać, w gębę dać, niechno stano na jednej nodze z tym kuśtykiem podkulonym jak bocianisko, o, dopieroŚ widać, jaki duŚy miał być z nich męszczyzna.

Powiedziawszy pochwalony, zaglądaajo Szymon do łóŚka, pierzynę odchyliwszy. Najpierw mordkę palcami odmykajo, w zęby patrzy, od razu ogłuszajo: Bił ktoś Rabę i temu zrzuciła. Kto bił?

Ja na to, Śe nikt cielnej krowy nie bije! Ale gorsze dziwo, mówie: Siwka przez płot oblizywała te ciele jak swoje, a jak sie zabierało, rŚała za nim jak matka!

O! Szymona przestraszyło. Usiedli Szymon na progu i dumaj o: Kobyła? Hm, kobyła. Co ma kobyła do cielaka. A pamiętacie Wronę, co pod wierzbo zamarz? Ja pamiętam, co opowiadali stare: U Wrony, co pod wierzbo zamarz, kłaczką zrodziła kiedyś czarnego barana!

E tam, moŚe zrodziła, moŚe nie, mówie, ja tam tego barana nie widział. Tu juŚ i tatko za Szymonem sie ujęli: Ale byli takie, co widzieli, ostrzegajo tatko, widzieli, bo im noco droge przystępował, iskry sypał'

I dzie on teraz?

A rozsypał sie.

Ale czy mogła kłaczką barana urodzić? Zaperzyli sie Szymon: A to ty nie wiesz, Śe czort lubi noco na koniu pojeździć?

Wiem, wiem to, bo wszystkim wiadomo, Śe lubi: nieraz zaszedszy rano do chlewa widziało sie, jaki koń umęczony: cały mokry, boki białe, a na mordzie i mięŚ nogami szumowina aŚ syczy!



Ale co z tego?

A to, tłumaczo Szymon, że u Wrony czort jeździł w osobie czarnego barana, za barana przybrany. Jeździł, jeździł, mało było hadowi jeźdźnia na klaczce, na koniec wzioł i wyruchał. A z czerciego nasienia coś urośnie, jak nie czerciątko? I urosło, w osobie czarnego baranka, i straszło na drogach!

Ale, co wy stryku, nie straszcie, mówcie do Kuśtyka, chibo nie wierzycie, że i moje ciele straszyc będzie? Raba do byczka była wodzona, jak trzeba, zreszto nie słyhać, że czort za czarnego byczka sie przybierał.

Nie, nie, ja nic takiego nie mówię, spokoje Szymon, ale radzę na taki siaki przypadek odczynić, bo jest od czego: raz że ono czarne, dwa że wczesne, trzy że kobyła lizała!

To może i kobyłę odczynić? pytaj o sie tato. A Szymon głowo kiwajo: Kobyłę

wyprowadźcie z chlewa, aby zadnimi nogami za próg i wepchnijcie nazad, chwostem do przodu.

Tak samo i Rabę. A ciele ja odczynie odrazu. I Szymon drapacz spód piecy chlebowej biero i nad cielem sie wyprostowawszy, przez signali cielaka drapaczem po skórze od głowy do ogona. W tym czasie Handzia ze skopkiem wchodzi.

I mleko odczynicie, radźo Szymon, precedźcie przez święcony wianek, najlepiej z krzyżowego ziała.

Handzia cedzi mleko przez wianek, jak Szymon kazali, my sie patrzym, czy jaki fokus nie wyskoczy ze skopka, ale nic, mleko leje sie jak trzeba. Ale słyhać, że krowa bardzo ryczy w

chlewie, a kobyła rzy! I niewiadome, z głodu czy za cielakiem. Idziem z Kuśtykiem i tatkiem na gumno, sywino sie zając. Zawiązał ja Rabe postronek na rogi, wywiódł z chlewa aby za próg i wepchnął tyłem, a niełatwo było wepchnąć: zapierała sie, przysiadła, łeb wykręcała. To samo z Siwko: rzała, postękiwała, ukąsić za ręce próbowała. Ale choć odczynione, dalej to samo: rzo, myczo jak przedtem.

A jak ja im w słoby dał, ucichli, siano gęby pozatykało. A Handzia wiadra niesie, do koryta przed chlewem ciasta nalewa i świńskie dświ odmyka: wyskakuje prosiaki, dwa małe jak koty, trzeci pół psa, na Wielkanoc pod nóż pójdzie. Jedzo, przepychajo sie, z ryjów im sie ciasto chlapie, kury sprytnie poddziobujo to spodspodu. I rozglądam sie po gumnie: wszystko jak trzeba, świni jak trzeba, kobyła nie rzy, krowa nie ryczy, Daj Boże, że ciele wyżyło i wyrosło mnie na ładne jałoszke. Bóg wam Zapłać, dziękuje dla Szymona, bo kuśtykajo już do domu, a i my z tatkiem do chaty idziem, tatko bose, wysoko nogi podnosze, jak gestor na lodzie, bo biały mroz leży na gumnie.

A tu najmniejsze w kołysce rozkrzyczało sie, tato za sznurek biero, kołysze, ale nic, nie pomaga, wiszczy jak wiszczało. Handzia podstawia stołek i z policy, z najwyższej deski, kubek z mączko cukrowe zdymuje. Zdjęta i zaraz na nas popatrzyła, to na mnie patrzy, to na tatka: który jad, Jezu, nie przed wami nie uchować, nu, który mączkę wyjad? A widzi że ja pilnie słomę w kącie rozścielam, tyłem sie odkręcam do niej. Ty Kaziuk?

Nie nie, mówię, choć prawda, wziął ja, wzięło sie trochu wczoraj pod wieczór na posłodzenie

chleba. Ale co mam giąć sie przed babo. A łgać nie chce. Nu to nic nie gadam.

Ona patrzy srogo na tata: Wy? Kręco głowo, Őe nie oni, a oczami podłogę zamiatajo, widać teŐ do kubka sie dorwali. Ale kiedy ? Jak mnie Handzia do krowy wywołała? Takie bystre?

Rozsierzdziła sie: Nie wy? Nie ty? To kto? Oni? Dzieci powyskakiwali z łóŐka, wiedzo, Őe w kubku mączka jest, stojo pod marko bose, w koszulach, łebki pozadzierali, zapatrzone w kubek jak psiaki w cedziłko.

Nie gadaj tyle, ucinam ja kazanie jej na stołku: dzieci gołe, śniadanie nienastawione, a ona tu gorzkie Őale odprawia!

Usypała Handzia mączki w białe szmatkę, obciągnęła, główkę nitko obwiązała, ośliniła Őeb przesiąkło, posmoktała dla próby i wtyka małej do mordki. Poczulo słodkie, smokta zapluszczywszy oczki, cichnie. Ale na dwie trzy chwilki: Ziutek, najstarszy zaras pod kołyskę

włazszy ciszkciem, wrywa małej soske, chowa sie pod łóŐko i sam smocze. Oddaj, krzyczy Handzia, oddaj mówie! Wylaź spod łóŐka, bo cię tam Marmytka po ciemku załachocze, wylaź! AŐ

polanom od matki dostawszy, wyrzuca soske: Handzia jo obciera, znowuś małej wtyka, mała cichnie, za to Ziutek rozŐalony, ryczy aŐ szyby dzwonio, nie wiadomo czemu przyłaczajo sie młodsze dzieci, zaraz teŐ przyłaczajo sie dzieci Michałowe za ściano, do tego jeszcze cieie zajęczało, huk, wisk w chacie jak na odpusćie, od tego wizgu komin sie zatknął, dym wraca sie nazad, ciemno, smród, nie do zniesienia. A dajŐe im tej mączki, moŐe ścichno, krzyczę do Handzi.

I prawdziwie, tylko stanęła pod polico, po kubek ręce wyciągnęła, pisklaki ucichli jak nieme i gapio sie w matkę. A ona najsampierw daje im po glonie chleba, a kiedy stanęli wkoło stołka, sypie pośrodku kupkę białego, a smurgle na wyprzedki nuŐ językami ślinić chleb, wtykać w mączkę i oblizywać, obgryzać!

Tatko nie wytrzymuje tego dobrego: I mnie daj, proszo, widać oskoma ich przemogła, ręke wyciągajo. Tak? A powiecie, kto Z kubka podbierał, naciska Handzia, nie powiecie? Ukroiła skibkę, trzyma im pod nosem: powiecie? Tato chleb łapio, złapać nie mogo, ona zabiera. Ja brał, przyznajo sie, daj! A ona: to pamietajcie, Őeb więcej nie brali! I dopieroŐ, ośliniwszy skibkę z wierzchu, posypuje mączko i daje im do ręki. A tu juŐ siara w saganu sie przygrzała dla cielaczka.

Siadam na słomie i wziąwszy głodomorka za łeb pod pachę, gębę jemu rozdziawiwszy, wlewam te mleko siarę: z początku cieie dusi sie, zatyka, wypluwa, kaszłą, głowę wykręcywa, aŐ łapie sposób na dychanie nosem i pije samo, oczy wywraca ze smaku. Za ten czas Handzia wrzuca do saganu kiszonej kapusty i skwarke, do dwoch większych saganów nasypuje kartoflow świniom i bierze sie za małe. Puhuśtawszy w rękach, siada na łóŐku cycki dać. I tak sobie poimy, ja cielaka, ona dzieciaka, a rozsmakowali sie, Őe obydwum w gębach pieni sie ze szczęćcia, dzieciak nawet popurkuje.

W sieniach rozkrzyczała sie kura, Handzia nasłuchuje, zadowolona, Őe jajko będzie, łokciem cycke



przyciska, niech małe prędej pije. Podkarmiwszy, kładzie pisklaka do kołyski, kaftan obciąga i idzie do sieni, jajka wybrać z kosza. Przynosi, ale tylko jedno: dzie drugie, pyta sie, wczoraj szczupała ja wieczorem, dwa naszczupała. Co z drugim?

Tchor chyba nie ukrad, mówie, kury krzyczelib, słyhać by było. Znaczy Œe ta druga kura jeszcze nie zniosła, abo zniosła dzie dziko. MoŒe w Œłobie?

Kończę poić, cielak prawie cały saganek wydundził, oczy zapluszczajo sie jemu z sytości, głowa w słomę leci. A niech śpi sobie, biore pierzynę, przykryje, niech rozgrzeje sie sierotka. I bydlaczka opatuliwszy idę szukać jajka.

Przeszukał ja i Œłoby i pod Œłobami, chlew krowiaczy i koński. W stodole kąty sprawdził.

Grochowiny pod oczapo obmacał. W chlewach słomę na resztach przeszukał. Stodołę obszed wkoło. Wióry i trocienie koło chrostu przetrząsnoł. Pod gałęzi zaglądnął. W łopuch! pod gruszkami, pognite, śmieciate zajrzał, czy tam dzikiej jamki nie wysiedziała, jajka nie schowała. I nic, ni widu, ni słychu, nima zguby nigdzie.

Ot zaraza, ale chitra, mówie do Handzi, aleŒ schowała. I która to?

Słyszcie, Œe nieśne byli ta z biało szyja i bezogoniata, ale która zniosła, która nie zniosła, tego Handzia nie pamięta. Zdaje sie kokudakała ta bez ogona, mówi na koniec, bo było kot, kot, kodak! Kot, kot, kodak! A tak kokudakcze ta bez ogona.

A co ty, ta bez ogona inaczej, przeciwie sie, ona kro, kro, krak! Kro, kro, krak! Znaczy, Œe ta z biało szyjo zniosła, to ona kokudakcze kot, kot, kodak! Kot, kot, kodak! A pokaŒno jajko, od której ono.

Patrzym: spiczaste, małe, takie niesie ta z biało szyjo. Nu to juŒ pewne: zgubiła jajko bezogoniata, łązega, łązégować ona lubi, choroba kusa, wywlokła dzieś jajko! Handzia: zaraz, zaraz, a moŒe jeszcze nie zniosła? Trzeba jo znaleść, wyszczupać, a nuŒ jeszcze jajko niezgubione?

Szukamy bezogoniatej. W sieniach jej nima. Po gumnie kury chodzo, siódemka, kogut ósmy, ale jej, kusej, nima! Pietuch popatrzyl na mnie gniewnie, rozłoszczony, Œe sie przyglądam: zagregotał, czerwona podgarlina rozmajtała sie jemu i raptem caps białe za czubek, przydusił, wypietuszył, zeskoczył i popatruje sie na gospodarza okiem, to tym, to tamtym, chwata rŒnie, szyje jak koń wygina, pręŒy. A na pewno had wie, dzie tamta jest, kusa, wie had, ale czy powie? Gadać z nim nie moge, ale nogo dać moge: zachodze jego, zachodze, pieluch odstępuje, ale hardo, po troszku, tyle co ja podejdę. A grzebieni poczerwienieli, a zły, a gregocze jakby szczekał. OŒesz ty!

machnoł ja nogo, ale na pusto: kogut lopotnoł skrzydliskami i odskoczył i rozgregotał sie mściwie, obraŒalski, psiakrew.

Za stodołę wychodze: pusto, ani kury, ani jajka. Tylko jakiś ryjek wysunoi sie z norki, moŒe pilch, szczurek abo myszka, coś nieduŒego: oczki błysnęli i schowało sie. Przydeptał ja norę pięto, co ma psiamenda pole ryc, i wracam na gumno. A moŒe lis abo jastrzomb zabrał jo, bezogoniate pytam sie Handzi, a wode z studni brała. Nie, nie porwał, niedawno dziobała owies w sieniach.

A moŜe zniosła sie u Michałów? Pójdę zobaczę. Obchodze chate wkoło i patrze po Michałowym podwórzu, czy bezogoniata nie przywendrowała. Nie widać. A moŜe w sieniach?

Sieni Michałowe przybudowane z deskow. Zaglądam: kury dziobio kartofli w korytku, bezogoniatej nima między nimi. Ha, moŜe w koszu siedzi?

A kto tam po naszych sieniach łązi! słychać z chaty i Michaliha, bratowa, wyglonda. Ja mówie, Ŝe kury szukam tej bez ogona, nie przywendrowaia do was? Michalicha podłogę zamiatała.

Do nas? Prostuje sie i pod boki sie bierze: A co to ja ud waszych kurów pasienia? A moŜe jeszcze powiesz Ŝe ja wasze kurę przywabiała, co? Ŝe chciała ukraść? Nie, nie bratowo, ja tylko jajka szukam, zginęło. Nu widzicie! On złodziejkę ze mnie robi, ja im jajko ukradła?. I Michalicha z miotło następuje: Szkoda Ŝe Michała ni ma, syczy, oj dałby tobie, dziable kostropaty!

Wiem słychać stukanie w ścianę i głos przez deski: Chodź Kaziuk, jest kura, chodź!

Michalicha następuje z miotło, zaraz chlapnie mnie po glowie, ja rękę podnosze dla osłony i raptem hyc do sieniow: dŜwi przyciskam i przez dŜwi, przez dziurkę do zamyczki syczę do środka: Michalicha, nogo spycha, Michalicha, nogo spycha! Nie wiadomo co to znaczy, ale wiadomo Ŝe jo złości: wali ona kułakami w dŜwi, ech, jak bardzo chciałaby mnie miotło zdziaŜyć!

To ja jeszcze: Michalicha, nogo spycha, Michalicha nogo spycha! I wyskakuje' z sieniow i prętko wkoło chaty na swoje przylatuje. AleŜ mamy bratowe, mówie do Handzi, sama złość, istna kuna! A skąd kura wylazła?

A wylazła spod gałęziow, co nawoŜone na chrost do pieca: idzie sobie od gałęziow pod stodołę, do kurów i koguta, ale na nas sie ogląda, odstępuje ciszkciem, boczkciem, oj chytra, chytra, wie Ŝe my wiemy, Ŝe zbroiła. Patrze za kuro, patrze i juŜ wiem: tak, zniosła sie ty zarazo w gałęziach!

Ale Handzia radzi nie szukać w gałęziach, tylko najpierw kurę złapać i wyszczupać, bo a nuŜ nie zniosła?

Dobra, bedziem łapać: zachodzim kure z obydwóch boków i gonim w kątek między chlewem a stodoło. Stanęła w samym rogu i sie patrzy, my po kroczk, po pół, po palcu, coraz bliŜej, bliŜej. Raptem ona smyk między moimi nogami! Ja rękami grabnoł, tylko błota w pazury zagarnoł, a kura, Ŝeb jo skleszczyło, hadzinie, odlatuje trochu i przygląda sie, co będzie dalej.

Znowuŝ naganiamy: bezogoniata w kątku przystaje i znowuŝ sie patrzy. A z tako chitroŝcio, Ŝe chiba prawda, co mówio, Ŝe Pan Jezus przez kurę ukrzyŜowany: w Wielki Piątek cygan ukrad Ŝydom goździ i schował w piachu i nie mieli czym przybijać. Jego do drzewa. AleŜ kura przyłazi i draps, draps wygrzebuje, hadzina, te goździ! Za ten grzech podbiera sie kurom jajka.

Nachodzim z Handzio czujnie na te zarazę bezogoniate, suniem noga za nogo, cicho jak po szkle, ręce wszierz rozłoŜone. Raptem ona znowuŝ, jak nie smyrnie dołem! Ale tym razem. źle trafiła, między nogi Handzine: Handzia przysiada, po babsku w spódnicach kolanami ściska i cap j o pod skrzydła i siup palec w dópe! Nima jajka, ogłasza, zatracone! Jak nie złapie ja kuryce za pierze, jak nie machnę

o ścianę, o stodołę! Powietrze się za-pierzyło, a wrzasku! Jakby wrzeszcza

mordowali.

Czego złościć się, spoko! Handzia, nie trzeba, zaraz w gałęziach znajdźmy te jajko.

Stanęli my nad gałęziami: odchyłamy, zaglądamy z tej, z tamtej, spódspodu, jajka nie widać. Tato wyszli z chaty, patrzcie się na syna, synowe. A może to wy jajko wypili, pyta się Handzia, przyznajcie się, co szukać na pusto? Tata poniosło: A odpiardul się ty ode mnie! Kto mleko spije, mączki nadeśre, słoniny liźnie, zaraz się ja! A co to do cieńszej choroby, czy to ja psiakrew honoru ni mam? Nie gospodarz ja? Toś moje to wszystko póki ja żyje, zechce psiakrew, to was jak sobaki pogonie, moja chata, moja ziemia, moje kury!

Wyklęli się, ucichli. A ja widzę, że nima innego sposobu, jak przełożyć wszystkie gałęzi na nowe miejsce. Trudno, dawaj wiechi nosić, czujnie, że jajka nie zrzucić, nie rozbić: gałąź po gałęzi, aż do samego dna. Już i ostatnia spodnia gałąź i nic, jajka nima. Ale jeszcze liści dużo leży, naobijali się, śmieciów leży do pół kolan: może w liściach te nieszczęsne jajko? Już palcami listowie rozgarniać, po garstce, po szczypce, myślałby kto, że igły w sianie szukają. A kura stoi niedaleko i patrzy, ale jak patrzy! Jakby z nas szyderowała! Ale ja nic, cierpię po cichu, kamienia nie rzucam: przeschczupuję śmieci, liści rozgarniamy. Wtem jęk słysze słaby: Ojezu! I co widzę: Handzia stoi jak nieżywa z rękami nad głową, w słup soli przemieniona i jak sol biała. A jedna noga podkurczona! Czemu podkurczona? Może weź ją w piętę kolno! Nie, nie weź ją kolno! od razu widać co. Zagotowało się we mnie! Podskoczę i lu! babę z jednej strony w gębę, lu!

z drugiej, cało garście po mordzie, aż przysiadła w kuczki, głowę w ręce chowa.

Rozdziawo ty, krzyczę w sprawiedliwym gniewie, gapo ty, robota tobie sama w rękach gnije! Lugo ty zgniła, gnido wszawa, jajko, Ojezu, jajko rozdusić!

I lu! ja na dokładkę z góry, w chustkę, i lu! jeszcze raz, po plecach zaraze, i jeszcze raz aż

zajęczała. Za co ty mnie bijesz, skomli, rękami zakrywa się. Czego ty ryczysz, durna, krzyczę, i lu ja znowuś po rękach, bo ucha, nie lubię, psiakrew, nie lubię jak baby płacze. A tata schilili się, wygrzebali łuszczyne. Zdmuchnęli listka, rozerwali plewke i wypili, co zostało się w skorupce.

Oczy zapluszcyli ze smaku, tylko szyja im gra i jeździ, spijają! Wam też by, choroba, przyłoić, mówię i rękami macham, no bo cholera zlizuje sóltko jęzorem, zlizuje sobie, a ty choroba stoisz, chciałoby się i tak, i siak, ale nic nie wychodzi, ni wte, ni wefte, tylko psiakrew łbem w piec walność, walność i walić, walić, O jeśu! A tu jeszcze, jak na złość, dziad z torbami wchodzi na podwórze, śegna się, pacierzy zaczyna! To już mnie do reszty rozsierdziło: Jak tupne nogo, jak zamachnę się ręką: A pódziesz dziadzie, Muszka, weź go, weź! a dziad nie czeka, rękami torby ogarował i du du du! ucieka jak podsmalany, podryguje, kulacho się opędza, choć suka z budy tylko wyglądała nawet nie zaszczekała. Ach ty zdechlino, ty lugo zgniła, poniosło mnie i bach nogo w budę, aż zaskamlała, skamlić to cholero umiesz, a postraszyć cudzego nie? W dziurę nogę wsadzam i nogo w budzie łomocze, a ona, szkacina, cabas! za nogawkę, aż do krwi! Ośiesz, swoiocz ty, tak ty swojego pana szanujesz? Za łańcuch ja wyciągam, podnoszę jedno ręką za łańcuch, drugo łup!

kułakiem po kościach, po łbie, a Śeb ty zarazo po wodzie chodziła, i pić

prosiła, a masz! Śeb ty ścieŚki do domu ługo nie poznawała, a masz, Śeb ty śmierci nie doczekała, psiamendo!

Noge, Dzięki Bogu, rozpruła nieduŚo, tylko nogawice rozwaliła za kolano. Ale co tam nogawka, juŚ stara, Handzia jo połata: gadów szkoda, nowe, niełatane jeszcze.

Stoję na gumnie, stoję, dycham i co słysze? Krowa ryczy, ryczy na całe wioskę. AŚ mnie oślepiło ze złości, Omatkoboska, to i ta szkacina przeciw gospodarzowi? A czegoŚ ty ryczysz cholero, rodzisz jakieś czercięta i jeszcze rozgłaszasz? Łapie ja bicz z kołka, do chlewa lecę: w drzwiach staje i z proga jo ćwik! ćwik! po oczach, po mordzie, Śeb nie ryczała, po bokach, psiakrew, po nogach, po zadnich pęcinach, tam mocno boli, po kumpiakach j o, ciach ciach, krowa na ściany skacze, na ploty wiesz się, stęka, jęczy, pojękuje, a stęka, jęczy, ale nie rycz, swołocz!

Czuje, Śe ulŚyło mnie trochu, złość jakby przechodzi. JuŚ ręce nie drŚo, w głowie nie huczy. Zamykam dŚwi, bicz wiem, idę do chaty. JuŚ trochu przeszło.

Dawaj jeść, mówie i widze, ona oczy ma podczerwienione, na mnie ani spojrz, ej, wej, obraŚliwa, było zaco. Ale nalewa miskę kapusty, do drugiej miski wysypuje kartofli z sagana, nieobłupione. Siadamy wkoło stołka, dzieci, dziadko, ja, łupim kartofli kaŚdy sobie, fiorące, w palcy parzo, i jemy z kapusto. Dobra rzecz kapusta z łupionymi kartoflami, tymbar-dziej jak kapusta okraszona: duŚa skwarka w niej pływa, dla mnie ona przeznaczona, ja tu gospodarz, musze mieć siłę do młócy. Ale, widze, niezabardzo pamięta się o tym: dzieci pódgarniają sobie łyŚkami, ganiają po misce, a i tatko coraz jo szturno w swoje stronę, a oczy im chodzo za słoninko jak uwiązane. KaŚdy niby nic, niby niechący, a ustawia skwarke do wzięcia. Wtem Ziutek najstarszy, chap jo w łyŚkę i do gęby niesie, juŚ rozdziawionej! Co? Jak nie wytnę smurgla łyszko w czerep!

Skwarka jemu wylatuje i pac w kapusie. Uspokoili się, nie probujo więcej, omija jo skwarke. Ale ja nie rezykuje dłuŚej: biore mięso w rękę, jem. Tato nie mogo wytrzymać, Śe ktoś tak sobie je słoninę z kartofle, pomlaskuje i palcy oblizuje. Ty niedobrze Kaziuk zrobił dziada przeganiawszy, mówio, dziada przegnać cięŚki grzech! Czy ty nie wiesz, kto to kiedyś chodził po ziemi za dziada przebrany?

Handzia zacierkę podała: jem zacierkę, klaski łykam, ale o tym dziadu zapomnieć nie moge. Prawda, opowiadajo, Śe kiedyś święte chodzili za dziadów przebrane, nawet sam Pambóg z Pięciem wendrowali po wioskach niby zebrawszy: chodzili i porządki boskie ustano-wiali, jak Śyć, pracować, modlić się, Śeb było po boŚemu. Rybaka, jak dziada nie uszanował, Pambóg, on to był za dziada przebrany, w bobra przemienił! śarty Śartami, ale Śeby i mnie za moje tupanie w jakiego tupacza nie przemieniło!

MoŚe posiać za tym dziadem Ziutka z paro jajkow, mówie do Śonki. Abo zawołać niech zajdzie na zacierkę, co? Leć, Ziutek! Ziutek poleciał, a my z tatkiem dawaj nad tym dziadem dumać. Prawdziwie, nigdy jeszcze taki nie Śebrał u nas. Wszystkich dziadów znało się jak rodzinę, kaŚdy zachodził na bagno co roku dwa, trzy razy, kaŚdy o swojej porze: Jaśko bez ręki koło Zielonych Świątków i przed Popielcem, garbata Anielka po Śniwach i przed Nowym Rokiem, Kiławy Wiktor w Przemienienie i

na Gromnice, Niemko, najsiłniejszy, ze trzy razy wioski obleciał, do nas zaglądał na Pietrapawła, przed kopaniem i na Trzykróli. Ale Saden w roztopy i jesienio iść przez błota nie miał siły ni odwagi, wybierali abo zimę, abo czekali aS lody wody spłynę. A ten, jak on przez wody, błoto przeszedł? Na skrzydłach? AS tu widać głowy za oknem: ido Dunaj przezwisko sołtys, Domin rajko, durny Filip, za nimi Szymon kuśtykajo. A dokąd ta procesja i czego? Próg mijajo, na gumno walo! Wypadam za nimi bez czapki: Wy czego! krzyczę i zachodze im droge, nie puszczani: Czego! Dunaj mnie spychajo: Dobra, dobra, nie czeguj człowieku! Niech będzie pochwalony Jezus Hrystus, o, od tego zaczynajmo. Przyszli my zobaczyć

twoje Śywine i tego cielaka!

AleŚ ludzi, co wam, bronie sie, krowa jak trzeba, cielak jak trzeba tylko trochu niedonosek.

Tak? A czemu Siwka twoja rŚy za nim?

Za nim? Kto wam powiedział, Śe za cielakiem rŚy? Ot, rŚy sobie, co to, wasze koni nigdy nie rŚo? Co wy Szymon ponaopowiadali po wiosce?

Stropili sie Dunaj moimi słowami, drapio sie pod czapko, po ludziach patrzy. Nu dobra, mówio na koniec, tylko tego niedonoska nam pokaŚesz.

I cało procesjo ido do sieni, weszli, pierzynę odkrywajo, przyglądajo sie cielakowi, Dunaj kręco głowo: Nogi coś za cienkie!

Długie jak u źrebaka, dodaje Filip, pastuch. I palcem naciska ciełe w brzuch, ono obudzone zapiszczało.

Słyszeli? poderwali sie Szymon Kuśtyk: ZarŚało!

Zapiszczało, ludzi, bronie ja swojej Śywiny. Ale Szymon trach palec wierco małemu w brzuch, znowuś zapiszczało, jeszcze głośniej, i prawdziwie, bardziej to rŚenie niŚ meczenie!

Nie męczcie biedaczka, prosi Handzia i pierzyno zakrywa małe. Ale męszczyzny patrzy sie po sobie.

Ono coś z konia ma, ogłasza jo Dunaj, twoja Siwka rŚy za nim nie bez przyczyny! Ludzi, to wróŚy coś niedobrego! A jak było na paświsku, pytajo sie pastucha: Nie trzymała sie Raba z koniami? A moŚe ty na nio ogiera puszczał, co?

MoŚe sam świnia właz, przycięli Domin, rajko.

E, Raba jemu za stara, on jałoszki lubi, przygaduje Szymon, a Filip zaczerwienił sie, czerwony sie robi jak malwa, choć i bez wstydu czerwony zawsze, tłusty. Lubie czy nie lubie, odcina sie, nie ja jeden lubie, a moŚe wyliczyć kto? I po nas męszczyznach patrzy nachalnie, oczy spuszcza, durnemu nie wierzyć, weźmie i naopowiada co widział i czego nie widział, nie rozumie, Śe bywaj o sprawy, o jakich sie nie gada, choć kaŚdy wie, co bywa, jak Śonka za długo niezdatna. No no, ty stul mordę, ucisza j o Dunaj durnia.

A ja tłumacze męszczyznam, Œe Raba bydlowała jak trzeba i wodzona była jak trzeba, jeszcze przed wyrajem do Antochowego byczka, ludkowie, czego wy chcecie ode mnie, od mojej krowy i tego cielaka!

Czemu on rŒy nie meczy? upierajo sie Dunaj.

A moŒe Raba zadała sie ze złotym koniem, co pod chwojko leŒy, zaczyna swoje Filip. Ale Dunaj uciszajo ostro: Œcichniesz brechunie, czy cię z chaty wygnać?

Cichnie. Za to Szymon KuŒtyk tłumaczo, Œe moŒe Raba zapatrzyla sie na paŒwisku w któregoŒ konia, toŒ krowy na wygonie paso sie razem z koniami. Zapatrzyla sie i z tego to pomieszanie! A to i krowa zapatrzyc sie moŒe, dziwi sie Handzia. A czemu nie, toŒ krowy mądre, prawie jak ludzi, na to Szymon: Czy w wigiije nie gadajo ludzkim głosem?

Zapatrzyla sie, kiwajo męszczyzny głowami, zapatrzyla sie! Widze, lŒej sie ludziom zrobilo, Œe sprawa zwyczajna, nic straszego nima. I zaczynajo wspominać, kto jak zapatrzyl sie, w co: zapatrzyla sie Prymakowa JadŒka w dzikie Œwinie jak rano ryła w sadku, zapomniala potem splunać i dzieciak dziki roŒnie, ucieka do boru nocować. Litwinicha w wode zapatrzyla sie i chłopiec utopil sie w piątym roku. Najmłodsza Kozaczanka łysa roŒnie, bo matka, jak jo nosila, tak zachwycila sie miesiacem, Œe jo łozo bić musieli, Œeby przyszla do rozumu. A najgorzej zapatrzyc

sie w pierwszej połowie! Pół biedy, jak sie baba spostrzeŒe i oduroczy: za siebie splunie abo na paznokieć popatrzy. Ale jak zapomni? Prze-lezie pod Œerdko, dzieciak będzie Œlepawy, uleje z wiadra wody do studni, urodzi sie chłopiec z takim dzyndzlem, Œe dziewczyny bojo sie iŒć zamąŒ za takiego, dasz niechący babie kułakiem po plecach, jąkatego urodzi.

Co wy na to, pytajo sie sołtys Domina, który rajkiem bywszy, znaj o sie na weselach chrzcinach, połogach. MoŒe krowa zapatrzyc sie?

Krowa krowo, ot, moŒe i zapatrzyla sie, kto wie czy nie w Michałowego konia, on czarny.

Ale co będzie jak ty, Handzia zapatrzysz sie w Michała, Œartuje Domin, a wszystkie w Œmiech i na mnie patrz, oho, Domin umiejo przygadać, biedny kogo na język wezmo. Ale teŒ pół wioski tym językiem wyraili.

PoŒmieli sie ludzi i zgroza przeszła. Cielak zasnoł, Dunaj nawet po łbie jego pogłaskali.

AleŒ odkręcajo sie od małego i mniej więcej mówio tak:

Jest i druga sprawa, kto wie czy nie gorsza:! Filip nam tu opowiadał, Œe u Grzegorychi był

wczoraj Grzegor, nieboszczko! Słucham i czuje, jak kaŒdy włos mnie drotiem wstaje, OboŒe, nieboszczko do wdowy przychodzi?

Był, był! krzyczy Filip: Słychać było, jak młócił, ciszkciem młócił, ale młócił, he he he!



śmieje się durny durnawo, durnemu, mówio, i na pogrzebie śmieszne.

Ty Kaziuk po sąsiedzku z Grzegorycho, pytają się mnie Dunaj, ty wiesz: słysząc było noco młócenie u Grzegorychi czy nie?

Tak, coś tam stuknęło, jak my spać szli, mówie, ja myślał, że Grzegorycha coś w stodole robiła, a to mówicie Grzegor? Nieboszczko?

Straszno się robi: Jezu, pod moim bokiem nieboszczyki dokazuje!

A skoczne Handzia po Grzegoryche, proszo Dunaj.

Poszła, czekamy, trochę czasu przeszło, przychodzi obydwie. Siadajcie, zapraszają Dunaj wdowę, siada, w ziemię patrzy, czeka. Dunaj odkachneli i mówio od razu: Podobno był u was wczoraj wasz nieboszczko, Grzegorycha, ludzi widzieli. Podobno było nawet młócił, prawda to?

Ona biała jak ściana: Co wam, ludzi, nieboszczko, Grzegor? Nie straszcie!

Młócił, ludzi widzieli, słyszeli!

Ja młóciła, mówi Grzegorycha. A Filip: Nieprawda, łacie, wy stali z boku i patrzyli, a on młócił!

Grzegorycha oczy spuściła, w ziemię patrzy, zębami łapy przygryza, ręce jej drżą. A kobieta rostu męskiego, oczy wstydliwe, poliki czerwone, a cycki, a dopsko, a nogi takie nabite, jakby cały czas coś się w nich gotowało, mrowiło! Tylko co owdowiała, dwie niedzieli temu, Grzegor siano woził ze stogu, dziewięćucha jego ukąsiła i umar, dziewiętego dnia umar, nieszczęsny bo nima od dziewięćuchy ratunku. Prawdę powiedziawszy nie nazywał się Grzegor, a jakoś inaczej: przezwisko wziął po pierwszym mężu, pierwszym Grzegoru, a dla odróżnienia nazywało się jego Grzegor drugi albo biały, bo włosy i brwi miał białe, oczy czerwone: garki lutował po wioskach, a przywendował na bagno akurat jak Grzegorycha pierwszego pochowała. To i przygarnęła biedna wdowa biednego łąkę.

A pierwszy Grzegor umar młodo: znalazł sobie Grzegoryche dzieś aś za Juchnowcem, bez posagu, za to take, że mężczyznom oczy na wierzch wypierało. A cieszył się nie tylko, że im nocy nie starczało: z dnia noc robili, szmatami okna zawieszali. Cieszył się tak Grzegor ze trzy lata i umar, na suchoty biedaczek. A ona, dwóch mężów odprawiwszy z tego świata, została bez dzieciów jak panna, a i wygląd ma panny, nie baby, o, niejedyn kawaler szedby do niej z rajkami, jakby ludzi nie gadali, że pewno bezdzietna. Temu to Domin przygadali: To nie powiesz, Grzegorycha, co za młocarz tobie klepisko wczoraj noco ubijał? A Dunaj: Ja nie chce, że wy Grzegorycha mówili wszystko.

Powiedzcie nam jedno: duch to był czy nie duch, to dla nas najważniejsze. Ona zębami się przygryza, kolanem w kolano się postukuje, widać jak się w niej gotuje, bo czerwona, drży. Ale w ziemię patrzy. Nie chce gadać. W końcu przyznaje się: duch!

Grzegor?

Grzegor.

Straszne, co powiedziała, patrz ludzi na Grzegoryche, czy prawdę gada: moŜe straszysz?

Ale nie, głowę podnosi, nam śmiało w oczy patrzy.

Nu dobra, badaj o dalej Dunaj: Pomłócił, pomłócił, a co potem? Do chaty zaszedł

Zaszedł

I co?

Tu Filip sie rozrechotał: A co miał, hehehe, robić z Ŝonko w nocy? Wypietuszył i poszedł!

A ty, pierdunie, nie bresz tyle, huknęli sołtys, twoja sprawa bydło pilnować na paŝwisku, a nie w cudze okna zaglądać.

Ale wszystkie zaczynamy cmokać, głowami kręcić, Ŝe coś tu pomieszane: czy nieboszczko moŜe do wdowy chodzić Ŝyto młócić? Cóż to .za dusza co zamiast straszyc pomaga? Skiela ten duch przychodzi: z piekła, z czyŝca? Bo chibaŜ nie z nieba! Za karę czy z łaski?

Tego nie wiem, tłumaczy sie Grzegorycha, on nic gadać nie chce skąd, za czy j o łasko, ile razy jeszcze przydzie. Tatko rozciekawili sie bardzo: Ej, Grzegorycha, a spróbuj ty wypytać jego, czy on tam moich ojca matki w czyŝcu nie widział? Ciekawe, odpokutowali juŜ czy cierpło? A wybadaj ty jego jakoŝ, podejdz po babsku: wypytaj, co z Litwinowym Ceŝkiem, co z Orelowym Kaziukiem, co z Wrono co pod wierzbo zamarz: dzie oni, w niebie czy jeszcze w ogniu sie męczo?

Grzegorycha wzbrania sie, Ŝe Grzegor ich nie zna, toŜ na bagno przywendrował, jak tamtych juŜ dawno nie było. A dopytać sie nie da rady, w czyŝcu rozmawiać nie moŜno, gębę sie odmyka tylko abo modlić sie, abo jęczyć od ognia, smoły, obcęgów.

JuŜ ty lepiej o nic jego nie wypytuj, radŜo Szymon Kuŝtyk, nie zadawaj sie ty Helka z nieczysto siło. I Broń BoŜe nie dopuszczaj do siebie: Jeszcze sie jakie diablenta porodzo, pilnuj sie kobieto!

A durny Filip klepie sie po kolanach, miny stroi, rękawami śmiech zatyka.

Szymon radŜo co ma Grzegorycha zrobić, Ŝeb odczepić sie od nieboszczka: Ty nie czekawszy, choćby i tej nocy, weź kołek osinowy, zaciesaj, zaostz na igłę i w łóŝku, jak on tobie zaśnie i rozdziawi sie, wsadz kołek w gębę i obuchiem raz dwa przebij na wylot! I zobaczysz, rozsypie sie w proch, zginie, więcej nie przydzie. A jeszcze lepiej zrobić to w mogile, czerep przebić. Zróbcie, Grzegorycha, radzę wam z szczerego serca, zróbcie bo będzie nieszczęście: dobry, dobry, młóci, pomaga, a którejś nocy weźmie i zadusi!

Ona zgadza sie, dobrze, stryku, zrobię jak radzicie, zaraz naszykuje palik, osinowy, zaostrzę, Ŝeby wieczorem był pod rękó, w razie on by przyszed.

Ale jest i trzecia sprawa, zaczynajo tatko z przypiecy: niezwycajny dziad do wioski przywendrował Ŝebrać, widzieli wy? Jak on przeszed takie wody, błota? Na skrzydłach? Z nim by trzeba pogadać.

Grzegorycha wstała, mówi, Śe w piecy niezgaszone, idzie do domu, Dunaj proszo, Śeby dziada do nas zawołała, jakby zobaczyła dzie na drodze. Dziwne, Śe Ziutek, dawno wysłany, nie wracał, czy znaleźć dziada nie moŚe, czy sam sie zagubił.

Nie minęło duŚo wiele juŚ i tarabani sie dziadzisko: w progę torby ogarnia, Śegna sie, pacierzy marmocze. Handzia czymprędzej stołek jemu podsuwa, miskę z zacierko na kolana stawia. A my bystro patrzym, co on za jeden. Nieznajomy. Ale jakby trochu skądś znajomy, twarz te dzieś sie widywało. Ale dzie? Stary niestary, włosy czarne, między nimi pasemka siwe, twarz pomarszczona, jakby cięŚko cierpiał, duŚo myślał. Przygarbiony ale pleczysty, gruby.

Miskę kolanami ścisnął, suchara z torby wyjął, pocałował, w zacierce namoczył, i chręst, chręst, gryzie, widać zęby ma Śelazne, suchar trzeszczy jak szkło. Drugo rękę łyŚkę nosi, a choć

zacierka gorąca, on nie dmucha: je całymi łyŚkami i nie furczy. Z daleka wy, dziadku, pytaj o sie Dunaj, z jakiej strony idziecie? On nic, jad i je, oho, waŚny, jak je nie gada. Nu to czekamy, aŚ zje.

Zjad, miskę wyter sucharem, suchara oblizwał językiem, schował do torby. PrzeŚegnał sie, torby poprawił, dopiero oczy podnosi: Ze świata idę, powiada, a świat duŚy.

A jak wy dziadku przeszli przez wody, błota?

Z Bosko Pomoco, ogłasza, noga za nogo, pomaleńku.

A kiedy wy przyszli? Dzisiaj? A moŚe wczoraj?

Dzisiaj, mówi dziad, tylko co ja przyszed, jeszcze nogi bolo. O, a tu, widze, cielátko małe na świat przyszło! A rośnijŚe, rośnij Panu Bogu na chwałę, błogosławi rękę i Śegna. Ostrzega j o Dunaj dziada, Śe nie wiadomo, na czyje chwałę ono rośnie: to wyrodek jakiś, nie meczy, ale rŚy!

Ciele rŚy? krzyknoł dziad, rŚy nie beczy? E, chyba wy Śartujecie ludzi ze człowieka podróŚnego?

To oni jeden przez drugiego nuŚ jemu tołkować, Śe ciele, ciele, ale rŚy jak źrebię, miesiąc niedonoszone, kobyła oblizywała jego jak matka i rŚy za nim jak matka, powiedzcie dziadku, co to, cud czy kara, łaska czy nieszczęście, roztlómaczcie: cieszyć sie czy płakać? Dziad brodę rękę podper na kolanie i tak sie zadumał, Śe prawie słyhać było jak myśli. Podumał i powiada, Śe dobrze to nie jest, jak porządek świata sie rozlatuje, cieszyć sie nie ma z czego, ech BoŚe, BoŚe!

Ale co jego tak przestraszyło, dziada, Śe aŚ głowę rękami ścisną, stęka?

A to, moi ludkowie, słyszym, Śe juŚ nigdzie spokoju nima, nawet u was, widze diabeł penietruje.

Diabeł?

Od porządku, ludkowie, jest Pambóg, on pilnuje, Śeby wszystko szło, było jak było. A diabeł chce zmieniać, powiada: ulepszać. Słyszycie? Ulepszać! JuŚ jemu mało, Śe krowa cieli sie, dzie tam: on

chce, Œeby sie Œrebiła! O, do czego idzie! Krowy bedo sie Œrebili, kobyły cielili, owieczki prosili! Chłop z chłopem spać będzie, baba z babo, wilki latać, bociany pływać, słońce wzejdzie na zachodzie, zajdzie na wschodzie! ChibaŒ wiecie, Œe co: noc jest taka chwilka, kiedy Pambóg musi odpocząć? Zamyka oczy i Œpi, chwilkę, ale Œpi. A natenczas wszystko co Œywe ustaje: rzeki stajo i młyny nie obracajo sie! Ptaszki martwiejo na te chwilkę i wiszo w powietrzu! Drzewa nie rosno! Zając zastyga w pół skoku, a wilk za nim stoi z rozdziawiono mordo! Wszystko ustaje, bo nic nie ma siły i wagi.

I wtedy diabeł robi co chce: jednym palcem przewraca, przestawia, podmienia!

I Pambóg nic na to? pytamy. Nie zmiecie złej mocy?

W tym bieda, słyszym, Œe stary Pambóg coraz. starszy, coraz częściej odpoczywa. A diabeł nachalniej e z roku na rok. Kiedyś Pan Jezus na ziemie zstąpił, ludziom na pomoc, i diabeł

uspokoił sie trochu, ale Œe dawno bylo, znowuś sie rozdokazywał. Wy wiecie, ludkowie, co sie teraz na świecie wyprawia? MęŒowie Œony rzucajo, matki dzieci! Z ludziow mydło sie robi! Œyto kosami Œno: bywajo całe wioski, Œe sierpa nie zobaczysz!

Œyto kosami, pytamy sie dziada, nie wierzym: całe wioski Œno kosami?

Dunaj mówio prosto w oczy: wy coś płaczecie, dziadku. Prawda, widziało sie za rzeko takich, co kosami Œyto poniewierajo, ale to jeden, dwoch, nu trzech takich ancychrystow w wiosce.

Ale nie gadajcie, Œe wszystkie!

Dziad boŒy sie, Œe całe wioski wyrzeka j o sie sierpa, my mówim, Œe to moŒe dzie za niemiecko granico, bo chibaŒ nie w naszych stronach, a on boŒy sie, Œe i tutaj, zaraz za rzeko więcej juŒ takich co Œno kosami niŒ sierpami. A w miastach, co w miastach sie wyprawia! W dzień

Œpio, w nocy pracuje, w piątki nie poszczo, niedzielow nie Œwiętuje! Sodomagomora!

Opowiada, a krowa znowuś muu! muu! ryczy i ryczy, ochrypła, nie ryczy juŒ ale charczy!

Jak na nieszczęście. Ale chibaŒ do nas tu na bagno zaraza nie dojdzie, pytamy sie dziada, my tu bezpieczne? On powiada, Œe przyszed z SuraŒa, suraŒaki duŒo gadajo o bagnie: Œe ma być

osuszone!

Co? Osuszone? Jak to osuszone, pytamy sie, jakŒe bagno moŒe być osuszone? Bagno?

Pierwszy Filip zaczął śmiać sie, a za nim Kuśtyk, Domin, ja, tato: Ha, ha, ha, osuszone bagno, ha ha ha, bagno osuszone! Czym? Wiadrami? Szmatami? MoŒe ogień rozpalo? A moŒe, ha ha ha, moŒe piaskiem błoto zasypie! Oj, dziadku, dziadku, wy musi z nas śmieszki stroiccie! MoŒno góre przenieść? Rzeke zawrócić? Tak samo z bagnem: jakŒe bagno osuszyć!

Jak, tego nie wiem, on na to, ale wiem, Œe wójt gadał o tym w SuraŒu. I powiem wam więcej, mówi

dziad cicho, na dŚwi sie oglądawszy, do nas sie nachyliwszy: oni dziś abo jutro przyjadę do was na zebranie! Bedo was kusić, namawiać, obiecywać! Przyjado? pytamy. Na zebranie? Kusić? Do czego kusić?

Tego dobrze nie wiem, odpowiada, ale wiem, Śe bedo! Nie podoba im sie, Śe jest wioska, co Śyje jeszcze po dawnemu, po boŚemu! A czym niby oni przyjadę? Maszyno!

Ucichli my, patrzym sie na dziada, na siebie, straszno czegoś. Ot i juŚ wiadomo, co za plaga wisi nad wiosko, mówio Dunaj i pac cielaka po głowie: Wiemy juŚ, co ty nam wyróŚył, wyrodku!

Ale Domin spokoje nas i dziada pocieszajo, i Śe nima czego boić sie: bagno było i będzie, Śyli my tu po swojemu i bedziem Śyli. A ciele nic do tego nima, całkiem ładny cislaczek, tyle Śe niedonoszony, ale podchowa sie w chacie i będzie z niego krówka Śe hej! A tatko pytaj o, czy ono czasem wojny nie wróŚy? Bo juŚ dawno armatow nie było słycać. Nie idzie jaka wojna?

E, wojny teraz jedna za drugo, jak nie tu, to tam, dziad na to, strasznie dziś ludzi zaczepne, bijo sie i bijo.

A mniej więcej o co?

Tego za bardzo nie wiadomo. Krew sie w ludziach burzy, jeŚdŚo, wyjeŚdŚajo, przyjeŚdŚajo, nieznamomych duŚo, oszukaństwo, złodziejstwo, nienawiść, Pambóg z tym nie daje rady.

Nu tak, kiwamy głowami na dziadowe gadanie, stary juŚ Pambóg, ileŚ lat moŚe mieć, ile tysięcy! Człowiek sta doŚyje i juŚ do niczego, próchno, a on od początku czuwa! A gospodarstwo jego to nie kawałek łąki, piachu, koń, krowa, o, jego gumno długie, szerokie, za rok, za dziesięć lat nogami nie obejdiesz. I sprawiedliwie gadacie, dziadku, za dawno Pan Jezus porządki robił, przydałoby sie, Śeb znowuś na ziemie zstąpił, zobaczył co nawyrabiało sie, poładził, poratował.

Dopytujem sie, dziad opowiada, a składnie jemu idzie, jakby księdzem był, aŚ korci spytać kto on taki, ale śmiałości nimamy. O sodomie i gomorze, o rozpuście ludzkiej, łakomstwie, nienawiści, bezboŚności, wojnach słuchamy, uwierzyć trudno, Śe świat taki straszny. A tu koło obiadu stukanie w okno, w ramę, Dunaicha stukajo: Stachu, chodź, jakieś urzędnik! przyjechali, Matkoboska, prędzej!

Puścił Dunaj po chatach kluczkę z nakazem, Śeb zaraz przychodzić na zebranie. Dwa razy nie musiał prosić, kaŚdego korciło, czego urzędniki przyjechali i co za maszyna stoi na wodzie, zebrało .sie koło niej nad rzeko babow i dzieciow jak na wesele.

Takiej łodzi jeszcze ja nie widział: jakby prom, ale z przodu nadbudówka, okna szklanne, za szkłem Śołnierz w czapce siedzi, jabko je. Urzędników nima, wyszli, u Dunaj a w chacie siedzo, naradzajo sie. My, męszczyzny, czekamy kupami pod gankiem, kiedy Dunaj zawołajo do duŚej chaty.

Czasu minęło jak płachtę wysiać, nie wiecej] i dŚwi na ościerz rozmykajo sie, Dunaj stajo na ganku, woła j o do środka. Baby i dzieci zostaje sie, nie dla nich takie zebrania, a my, taplarskie gospodarze, wchodzim, czterdziestu, Jurczaki, Bartoszki, Mazury, Koleśniki, Litwiny, Orele, Prymaki, Dunaje, Kozaki: Kozak Jej Bohu i co zjad Śabę, Dunaje dychawy, Duna jeŚyk i sołtys,

Prymak Koleśnik i Prymak Kozak, Orele: Kuśtyk, Antoch, obydwaj Śpiewaki, Pietruk o co się rozchodzi, Kramar. Dalej Litwiny: Ryśy, Czarny, Stach co zleciał z dachu, Koleśniki: Domin, babiały, Natośnik, Maśluk, Jaśko zębaty, Filip pierdun. Dalej Mazury: Ślepy, Stach co to ja, Władko co je komose, Maniok bez koniow, Bartoszek: Złośny, Na jamie, Siuśko, Kirelejsony: ja i Michał, dalej Grzegorycha, wdowa, liczy się jak gospodarz, i jeszcze Jurczaki: Mokry, większy, mniejszy, Jozef gada tego i Władzio Hehehe. Wchodzimy, siadamy na ławach, na których w zapust baby siadają o pod ścianami patrzeć na tańce, ale teraz ławki ustawione jedna za drugo, a na stole, co siadali na nim Stach Śpiewaków z pedałówko i Zdzisiek z bębniem, leśo jakieś papiery. Za stołem siedzi trzech urzędników i panienka z czarnymi rozpuszczonymi włosami, trochu z boku. Dunaj.

My w ławy zachodzimy, siadamy ciasno, Śebra w Śebra, a ludzi przybywa, z ganku napierają, ścisk się robi.

Urzędniki poszeptują o, kiwają o głowami jeden drugiemu, dogadują się, trochu po nas spoglądają: jeden urzędnik rękę ma drewniane, wyslizgane, aś się świeci, drugi młody, w białej koszuli, krawatce, z kieszonki koło klapy błyszczą się jemu ze trzy obsadki i grzebień, trzeci, gruby, to podług ludzi wójt z Suraśa:

włosy zaczesane do góry, ale zsuwa ją o siebie i zsuwają o na oczy, on co raz zarzuca ich do tyłu i dwiema rękami przygłaskuje. Ciekawe, ciekawe co będzie, czy prawdę dziad gadał, czy tylko tak straszyl.

Aś wójt wstaje, mówi dzińdobry, witam zebranych rolników, a to są towarzysze z powiatu, pani uczycielka, to iśynier, w związku, z tym zabierze głos towarzysze z powiatu. I wstaje ten z ręką: chudy, łysawy, zęby na przedzie Śelazne koloru siwego. Poopowiadał najsampierw o świecie, jak na świecie Śycie się rozkwita, ile nowych chfabryk wybudowano, szkół, szosow, ile tysięcy młodych uczy się, jaki oni mądre, do maszynow zmyśne, biedę zwalczają o, pańskie Śycie mają i nawet przyjemnie było słuchać o dalekich stronach, szklanych górach, kroleskich dworach. Pobajał, pobajał i mówi tak:

Ale na szkle rozkwitającego się kraju wasze Taplary przedstawiają o siebie jak wioska okropnie zacofana. Zacofana! mówi, bardzo zmarszczywszy się i to ręką łup! w stół jak polanem:

Tak dalej być nie może, obywatele! I się patrzy nam po oczach, a my nic, cicho, nie wiadomo czego chce, czekamy co dalej. Aś Domin pyta o siebie spod ściany: Zacofana, to dobrze, czy kiepsko?

Ten z ręką łypnął się na wójta, na uczycielkę, na nas, jakby badał, czy tu się nie robi z niego śmieszków. Nie rozumiem, obywatelu, mówi, o co wam się rozchodzi? Mały śmieszek przeleciał i wszystkie oglądnęli się na mojego teścia Pietruka, bo teś ma przysłowisko o co się rozchodzi. A ten z ręką aś kolorów dostał, chichi usłyszawszy, myśli Śe z niego śmieją się. O co się rozchodzi, spytał się raz jeszcze, i śmiechu przybyło. Jak ucichło, Domin pytają się głośno, Śe o to się rozchodzi czy tu gani się nas, czy chwali, a jak gani się to za co?

On aś głową zakręcił i nuś o tym zacofaniu, co to, Śe zacofana wioska, to taka dzie głód, smród i zabobony. To nas ruszyło: Jak wam tu śmierdzi, krzyczą Szymon Kuśtyk zza pleców, to wolna droga, nikt was tu nie zapraszał, nikt nie trzyma!



AŚ zaczęli ludzi sykać na Szymona, Śe za ostro przygadał, toŚ wielkie urzędnik!, obrazo sie, arestuje i co? śyli my sobie na uboczu i nikt nic do nas ni miał, nawet podatków z tego bagna nie płacili. A ten z ręko poczerwieniał na malwę: przepraszam, mewi, jeśli kogo słowem dotknąłem, ale, mówi, w chwili kiedy cały kraj sie zrywa do wielkiej budowy Śaden obywatel nie moŚe stać na boku, wylegiwać sie na piecu: Ojczyzna wzywa! Na to Domin:

A co nam do tego!

JakŚe to! roskłada ręce urzędnik: A wy kto, nie polak?

Nie.

A kto, niemiec?

Nie.

To moŚe francus?

Nie.

Rusin?

Nie, nie rusin.

Nu to kto? pyta sie urzędnik. A Domin na to:

Ja tutejszy.

Jaki tutejszy?

A tutejszy, mówio Domin. Z bagna.

A bagno dzie? Nie w Polsce?

Ale my tutejsze, swoje, Śyjem sobie jak Śyli i niczyjej łaski nie prosim. Wy najpierw powiedzcie, jaki wy, urzędnik!, interes macie, ze tu przyjechali? Co nam dobre, sami wiemy. Ale wy, czego wy chcecie? Oszukać chcecie, ot cały wasz interes!

Wójt wstał, włosy odgamoł i kręcić głowo zaczął, Śe jemu sie Dominowe gadanie nie podoba. Towarzyszu, mówi do tego z ręko, dozwólcie, Śe ja odpowiem, i kłania sie urzędnikowi, kłania sie Dominowi, nam wszystkim i wsparty rękami na stole, zaczyna, ale z dziwnego końca, ni przypioł ni wypioł.

Jak mi wiadomo, mówi, na górce, tej przy cmętarzu, straszy. Tak czy nie? Straszy. Podobno diabeł straszy. Tak czy nie? Diabeł. Pilnuje zaklentego konia, złotnego, ze złota len koń.

Durny Filip dorzuca z kąta, Śe ogon i grzywa srebne.

Niech będzie, Œe ogon i grzywa srebrne. Ale reszta złota.

Niej Kopyta Œelazne! poprawia Filip. Dunaj jego uciszaj: ciszej tam, duryło, nie przeszkadzaj! I wójt ciągnie dalej.

Dobra, mówi, niech będzie Œe kopyta stalowe, ogon i grzywa srebrne, ale reszta ze złota, tak czy nie? Zgoda, jedźmy dalej. Od kiedy ten koń tam leŒy?

To wy uważacie, Œe ten koń tam jest? pytaj o sie Domin.

A wy uważacie, Œe nima? na to wójt.

Tego nie mówie.

No właśnie. A jeśli jest, to od kiedy jest?

A ktoby pamiętał. Zawsze był.

Proszę, zawsze był. A teraz niech mi ktoś powie, ile za takiego złotego konia można by kupić no, cukru?

Nikt nie wie, wójt naciska: no, ile wozuw mączki, czubatych wozuw, takich jak z drzewem albo z gnojem? Ktoś zgaduje: Tysiąc!

Więc dokładnie powiedzieć nie mogę, on ciągnie, ale wiem, Œe cukru kupiłoby sie za 1 tego konia na sto lat, i to nie dla jednej chaty, .ile dla całych Taplar. I nie tylko cukru, ale i soli, i nafty, i smalcu, i kiełbasy, i marmulady, i cukierków. Bo to podobno nie jakiś źrebiaczek, ale duŒy ładny koń? ToŒ królewski! No właśnie. W takim razie ja sie pytam: jeśli ten koń taki drogocenny, dlaczego nie zmówicie sie cało wiosko i nie przekopiecie tej góry rydlami? Dlaczego nie odkopujecie tego - konia? No? Dlaczego?

Czeka, Œeby kto co powiedział. Ale cielic, ni ma co mówić. No bo prawdziwie, trochu dziwne, Œe nikt tego skarbu nie dostawał!

Nikt nie próbuje, bo czort pilnuje, krzyknoł Filip z kąta.

ToŒ macie na diabła święcone wode! na to wójt i znowu czeka, Œeby kto co powiedział. Ale nikt juŒ nic nie mówi.

Więc ja sie jeszcze raz pytam, powiada wójt odczekawszy, jeśli taki drogocenny koń leŒy w piachu, czemu wioska nie zbierze sie razem i nie przekopie rydlami całej górkę na trzy metry wgłęb, Œeby potem jeść cukru, smalcu, śledzi, kiełbasy, mąki ile kto chce i leŒać brzuchami do góry jak hrabiowie?

Cisza coraz wredniejsza, wójt nas zapędza jak myszy w jamę i kaŒdy to czuje. A on dalej ostro, głośno:

To ja wam powiem, dlaczego wy całymi wieczorami gadacie o tym koniu, kupujecie za te czarodziejskie złoto dwory, powozy, smakołyki, marzycie, śnicie, a Śaden nie spróbuje za dnia, z rydlem w garści, pójść na górkę, i ten skarb wykopać. Bo tak naprawdę, to wy, taplarscy, wy nie wierzycie, Śe ten koń tam jest! A boicie się kopać nie ze strachu przed diabłem, ale ze strachu, Śe nic nie znajdziecie: najwyŚej “kamień, kłodę albo stare kości! A wtedy cóŚ, skończy się wam bajanie wieczorami o smakołykach, strojach, dworach. I nie obraźcie się, taplarscy, ale jeszcze to wam powiem, Śe tak samo jest z oglądaniem się na świętych i Pana Boga: Śe moŚe urodzaj dadzo, spór na polu i w oborze, dole w domu. Powiedzmy sobie szczerą prawdę: nima co, taplarscy, zawracać sobie głowy złotym koniem i świętymi patronami, kto chce mieć cukru do syta, smalcu, kiełbasy, niech robi to, co przed nim mądrzejsi robili, zrobili i Śyjo dziś w dostatku bogato, po pańsku. A wiecie od czego oni zaczynali? Od szkół i elektryczności! I w tej sprawie my przyjechali: w sprawie szkoły i w sprawie elektryczności. Proszę bardzo pani Jolu, niech pani powie parę słów o szkole.

Wstaje panienka z włosami rozpuszczonymi jak u kózytki, wstaje i dopieroŚ widzimy jaka wysoka i cienka, gloria nad glorią! Opowiada, Śe po niedzieli zacznie się w tej izbie nauka czytania i pisania dla dzieci od lat siedmiu do czternastu przymusowa, dla starszych jak kto chce, wolna wola. Książki i zeszyty i tablica przywieszona łodziu, ale jeszcze potrzebna jest pomoc wioski w sprawie sali, opału, ławek, i kfaterki dla niej, bo ona tu zostanie. Poopowiadała trochę, jakie dziś czytanie waŚne: nie umieć czytać, to gorzej niŚ bez nogów, bez czytania nima co w świat ruszać, a ona radzi kaŚdemu zobaczyć trochę świata: cuda dzieje się na jawie większe niŚ bajarzy wydumywali.

Uczycielka siada, wójt zaprasza iŚyniera niech powie o elektryczności.

Wiem, mówi iŚynier, ołówkiem pstryka w palcach, kręci, błyska, wiem, Śe wam przez to bagno do świata daleko, ale chybaŚ kaŚdy choć raz w Śyciu był w Łapach a moŚe i w Białymstoku?

A jak był, to na pewno widział elektryczność czy to w sklepie, czy w kościele: te świeczniki bez świeczek to elektryczność. Ale co tam świeczniki!

I rozpowiada o lampach elektrycznych w do-i mu, w chlewach, stodole, na gumnie, o przedłuŚeniu dnia na wieczór i noc choćby do wschodu: skończy się oczow marnowanie, z kurami spanie. Dalej, elektryczność moŚna myć, prasować, gotować i piec, młócić, mleć, rŚnać sieczkę, piłować drzewo, doić krowy, gotować świniom, wylęgać kurczaki. W końcu mówi o radju, Śe to okno na świat cały, Śe tędy droga do szczęścia, rozumu, bogactwa. Słuchali my ciekawie, nikt nie przerywał, bo mówił iŚynier pewnie, nie przypochlebiał się, nie napraszał. Jakby jemu zanadto na naszej zgodzie nie zaleŚało, jakby strasznie pewny był swojego towaru.

A Kramar pyta, ile ta elektryczność kosztować będzie. On gada: średnio tyle a tyle tysięcy.

Fiu! Dwie trzy krowy! mówi Kramar, który ma głowę do prędkiego liczenia w pamięci i na papierze, i handluje naftą, solo, mączką, goździami, siostrę za handlarza wydał. AŚ dwie, trzy krowy, i to duŚe!

Yy, ja tam wole mleko pić, niŚ te elektryczność, ogłasza j o Domin.

Nie bójcie się, na to iŚynier, elektryczność dostaniecie darmo, państwo da. Tylko maszyny, motory

pokupicie.

A po ile te motory i maszyny? dopytuje sie Kramar.

IŜnier ogłasza, ile kosztuje motor. A maszyny, mówi, moŜno dopasować do motoru dawne, te od kieratu: tu śmiech bucha, bo kieratow to w wiosce trzy wszystkiego, młockarni ani jednej, młynek tylko u Dunaja, sieczkarniow, prawda, więcej, ale teŜ jedna na dwie, trzy stodoły.

Gwarno sie robi, koszt przeliczamy na krowy, parszuki, metry Ŝyta, drogo to wychodzi, toŜ sobie ledwo starcza przed Ŝniwami abo i nie starcza, a te tu namawiają, Ŝeby wyprowadzać z chlewa krowy, Ŝwini, ze spichlorkow Ŝyto wywozić i w jakieŝ elektrycznoŝc pakować!

W tymczasie Dunaicha lampę wnoszo z zapiecy: wieszaj o na ŝcianie, teraz widzimy, Ŝe za oknem całkiem juŜ zmierzchno, i gadamy prawie po ciemku. Ja tam wole bez tej elektrycznoŝci cepem młócić, niŜ za elektrycznoŝcio piasek zryć! ogłasza jeszcze raz Domin. A wójt podjudza: AleŜ, obywatele, dostaniecie poŜyczki na te maszyny!

Ale na co te maszyny? pytaja sie Domin. Czy to Ŝonka kiepsko gotuje? Czy rękami mnie gaciow nie umyje? Krowy nie wydoi? Na cholere mnie w domu te maszynki, jak ja Ŝonke mam?

Co, moŜe Ŝonke mam odprawić do teŝciów? Odprawie, a kto mnie pod pierzynę wlezie?

Maszynka?

Ŝmiech buchnoł, o, umiejo Domin przygadać do ŝmiechu, nie darmo tyle lat raili i rajo, jezyk majo kręty, ostry, aj, biedny kogo nim zatno. A i z wójta, widać nie gorszy Ŝartownik, patrzmy co to z tego będzie.

Maszynami Ŝonka prędeziej by sie obrządziła i dłuŜej by mogła z wami pod pierzyno leŜyć, powiada wójt. Wy tak samo: maszynami omłóćcie Ŝyto za dwa dni, a potem całe zimę pod pierzyno będziecie sie wylegiwać.

Domin drapio sie po włosach, szukajo odŜywki, aŜ tu stuknęło w okno i co widzimy! Twarz straszna do szyby przylepiona: włosy białe, Oczy wytrzeszczone, nos rozplaszczony, ręce sine!

Uczycielka, urzędnicy sie odchylajo, byle dalej od okna! Kto to? pyta sie wójt w strachu, ale niewiadome kto to, aŜ Dunaj mówio:

Ej, Grzegorycha, wasz przyszed! I Grzegorycha wstajo i przepychajo sie między ławami.

Wyszli, zaraz twarz zza szyby przepadła. Co to za Grzegor, pyta sie uczycielka. Nieboszczko, mówio Dunaj, a wójt: Nie Ŝartujcie, sołtysie, bo mi panienkę wystraszycie. I na sale patrzy, trochu zły. ŝarty Ŝartami, mówi, ale szkoda czasu, porozmawiajmy powaŜnie.

Domin wstajo, ale mówio bardziej do nas, taplarskich niŜ do urzędników, mniej więcej tak: ToŜ ja dopytuje sie i dopytuje i dopytać sie nie moze panów urzędników, czemu to my w Taplarach mamy maszynami sie obstawiać? Kiedy ja, panowie, lubie cepem młócić. Lubie sierpem Ŝać, koso kosić.

Nasze Œonki szmaty my j o w rzece bardzo czysto, tkajo ładnie krosnami, chleb pieko bardzo przyjemny w piecach chlebowych. Umiej o teŒ krowy doić. JakŒe do krowy z maszyno: toŒ jedna krowa wymię ma twarde, druga miętkie, ta cycka bogatsza, tamta skąpsza. A niejedna krowa całkiem nie przepuści, jak jej nie poklepiesz, nie podrapiesz między rogami, za uchem. To wszystko baba wie, umie. A maszyna?

Zrywa sie ten z ręko, jak oparzony: Ludzie, ludziska, co wam, krzyczy, klepawszy sie w czoło, czy wy naprawdę chcecie przeŒyc całe Œycie w tych szuwarach jak kaczki,, wy i dzieci wasze? Czy wy wiecie, Œe za rok góra pod Bokinami będzie przekopana: woda spłynie i po bagnie śladu nie będzie, przepadnę starorzecza, chrapy, topieliska, odnogi, zostanie tylko jedna główna rzeka pod SuraŒem, a łąki pobagienne bedo zmejlorowane! Czy wyobraŒacie szosę, co polecie Œrodkiem bagniska i autobusy, i traktory, co bedo jeździć koło waszej wioski? Za pięć lat połowa z was będzie jeździć do Łap i Białegostoku zarabiać w fabrykach! Zaczniecie stawiać murowane domy i chlewy, młócić będziecie kombajnami, a w waszych domach stano lustra, radja! I nic tu nie pomoŒe wasze chowanie głowy w piasek, co ma być będzie, chcecie czy nie! Ale wy, ludzie, zamiast przeszkadzać nam, pomóŒcie! PomóŒcie nam wyciągnąć was z biedy i zacofania, jeśli siebie nie Œaľujecie, poŒaľujcie waszych dzieci: toŒ oni rosno na dzikusuw, czy chcecie, Œeby byli poŒmiewiskiem dla kraju i Œwiata?

Urwał przemowę i usiad, raptem wstaje, juŒ mówić zaczyna, ale macha ręko i klap, znowuŒ

siada, strasznie rozpalony. I siedzim: oni patrzy na nas, my na nich. A takie zmartwione, poprzygarbiane oni, Œe aŒ ich szkoda. AŒ tu co sie nie robi!

Jakby osa wleciała do izby: dziwne buczenie słycać skądś zza pleców, oglądamy sie za to oso, oczami pod pułapem wodzim, no bo słycać, Œe ta osa pod pułapem zakręca, zawija. He, ale jak ona zawija, czemu to gęby nam sie rozjeŒdŒajo od śmiechu, czemu tak garbim sie, aŒ kołnierzy skrzypie? Czemu tak oczy wywracamy na urzędników? Osa to nie jest, skąd osa w listopadzie, do tego po zmierzchu i przy zamkniętych oknach. A buczenie narasta, wzmaga sie, faluje, wtuliwszy głowy w kołnierzy czekamy bez tchu: buczenie narosło, przemienia sie w gwizd, w smykowanie na najcieńszej strunie, aŒ uszy bolo, natęŒa sie! I rozpęka! trzaskiem, końskim! To Filip, pierdun zaŒartował sobie, jak ogier! I śmiech nasz, rŒenie końskie, bek owieczy, pianie kurze, wywalilo sie, zakłębilo, rozdeło po izbie, czterdzieŒcie mord rozdziawionych wyszczerzyło sie do tramu bezwstydnie w rŒeniu, beku, jęku! Głowy, plecy rozhuŒtali sie, to czołem w kolana, to potylicy na łopatki, gęby rozdziawione, oczy zaplusczone, ręce rozkładajo sie na szyjach sąsiadom, na kołnierzach, nogi tupio w podłogę, łomocze! Zawierucha werwała sie do chaty? czerci z kuligiem wpadli? czy moŒe blejkotem spili sie gospodarze taplarskie, co tak ich rozwiązało, rozbeswstydzilo, rozchlapało! Naraz pod dŒwiami ktoś inny huknoł: buch! buch! na ten sygnał

posypali sie spomiędzy koŒuchów wybuchł, jeden za drugim: Bach! Bach! Bam! Pyf! Łup! Hop!

Ryms! Trrach! Rryp! czterdziestu chłopa kacza sie plecami po plecach, brzuchach, ławach, na podłogę sie walo, zapomniawszy o Œwiecie, zebraniu, urzędnikach, Œlozy oczy zalewajo, tylko jedna myśl błyska: Œeby huknąć głoŒniej niŒ drugi! AŒ tu grzmot sie rozpęka tak wielki, Œe lampa zgasła, Œciany sie kołysze, z pułapu szczelubinami sypie sie plewa na głowy nasze: to Filip zaŒartował znowuŒ, jak smok! Jak i kiedy uczycielka i urzędnik! uciekli, czy długo wytrzymali z nami po ciemku,

nie wiadomo, nikt nie pamięta: tak się wszystkie zapomnieli, tak się każdy kaczał

w śmiechu, płaczu, jęku, Źe tylko łupcowanie się liczyło, kto głoŹniej, kto mocniej! Odpalamy jeden po drugim, Mazury, Prymaki, Litwiny, Dunaje, Bartoszki, Orele, huk za hukiem goni, hukowisko rozduŹniło się piekielne, czterdzieŹcie bębnów odprawia muzykę na kartofli, kapuche, kisłe mleko, cybule, łupcujem jak pijane, po ŹwiŹsku ale zdrowo, wybuch za wybuchem leci, jeszcze jeden, jeszcze jeden, jeszcze.

Siły się koŹczo, prochu brakuje: jeszcze śmiechem ciągniem, ktoś pod stołem w śmiechu się kacza, śmiechem z brzucha, z najdalszych kiszki, zdrowym śmiechem podbijamy hukowisko, wspomagamy pohuki, jeszcze paru jęczy ze ŹczęŹcia, Źczerego brzuszne, rle juŹ

ten i drugi przeciera oczy, wybałusza się w ką, tam dzie urzędników zapomniało się za stołem!

Czuje, Źe i mnie gęba składa się, prostuje. I kurczy na nowo, ale teraz z jakiegoŹ strachu!

Ostatni śmiech dogulgotał się i cicho, cicho, cisza. Choć ciemno, wiemy Źe za stołem pusto.

Coś się stanie. Ale co? Co zrobio te waŹne urzędnik!? Czy nie polecili do łodzi po karabiny?

MoŹe popłynęli po wojsko? MoŹe pogonio nas w sądy, areszty, więzienia!

Na dŹwi oglądamy się po ciemku. A w sieniach puŹcieje. JuŹ i kto bliŹej dŹwiow z ławy wstaje. I jakoŹ nikt do nikogo nie gada, wyŹmiawszy się, wyŹumiawszy, czuje każdy, Źe nabroił, czy aby nie za duŹo tego śmiechu było? Jeden za drugim wychodzim, w ciemno, milczkiem, bez zwykłego w takiej kupie Źartowania. Każdy w ziemie patrzy, bo pod nogami błoto, kałuŹy, ledwo przymarznięte, a szkoda .walonki ugnoić. Przemykaj o się ludzi pod płotami, rozchodze się po domach radzić, a jest nad czym, nadziało się za dzieŹ. Ciekawe co urzędniki robio: pojechali czy ostali u Dunaja? Idę pod okno, zaglądnąć, a tu z pięciu chłopa stoi: na dybki sta j o, szyi wyciągaj o, Źeby co przez dziury w szmacie zobaczyć.

Nie wszystko, ale co nieco widać: uczycielka siedzi na murku z wyciągniętymi nogami, trzewiki zdjęte, grzeje się przy piecy, przy niej iŹynier, gadajo sobie. Wójt i ten bez ręki rozperli się za stołem, coś tołkuj o Dunajowi, on głowo kiwa, a skulony, przestraszony, jakby jego bić mieli.

Dunaicha, dzieci, babka siedzo gęsto kupo na łóŹku.

MoŹe by i więcej się zobaczyło, Źeby nie dziad: stoim i zaglądamy bezpiecznie, ale skądŹ

wyłaŹ i do nas dołączył: teŹ na dybki staje, popatruje. Naraz jak nie wyskoczy Dunajów Kruczek, psy dziada poczuj o wiorstę, jak nie zacznie łajać, obskakiwać! Trzeba było uciekać, Źeb Dunaj nie poznał.

Idę do chaty, dumam nad tym dniem dziwnym. A tu ciemno, jakieŹ piski, dzieŹ nad rzeko poćko stęka, coś o nogi się osmykło, poleciało w łozy. Straszno. Na dobitkę młocbe słychać: u Grzegora młoco!

Przystaje ja i patrze z drogi na stodołę: Źwieci się! I cep słychać: łupu, cup! łupu, cup! bije ktoś, ale



nie za bardzo, nie za równo, ktoś młócić nienawykły. Pewno Grzegor, a niewprawny bo dusza chibaś takiej siły w rękach nima jak chłop Śywy? A moŚe prawdziwie, ona Grzegorycha, jak gadała, młóci? A moŚe ten dziad niezwyčajny, moŚe on to? E, nie, toŚ tylko co był pod oknem?

Najlepiej zajść by, zobaczyć przez szczelubine. Ale strach! MoŚe by kogo zawołać: we dwoch, w trzech sprawdzić kto młóci? Spoglądam, dumam, szczać się mnie zechciało z bo jaźni. A w mojej chacie ledwo, ledwo w oknie ćmi się. E, lepiej nie zaczynać z duchami, a nuŚ to Grzegor: zobaczy taki, upodoba i nie odzepi się potem, zanadzi, napastować będzie. A toŚ u mnie dzieci małe.

Wyszczawszy się idę do chaty. Lampa ćmi się skrećona na iskrę, wszystkie śpio.

Wykręcąm knot, pojaśniało: saganek widze na . płycie i miskę, postawione, Śeby nie ostygło. Z j ad ja krupniku i cicho, Śeb spawszych nie budzić, koŚuch i nogawicy ściągnowszy, walonki i onucki na płycie złoŚywszy, Śeb przeschli, lampę zagasiwszy, przeŚegnawszy się legam przy Śonce.

Ziutek mocno odbił się od swojego szczytka na moje, to nogami upycham jego na miejsce.

Handzia tyłem leŚy, jakby obraŚona, za co? Aha, za jajko, Jezu to dzisiaj było? Co za dzień był, co za dzień, na co to się kroi? Co te urzędnik! z Dunajem knujo! Po chorobę nam ich uczycielka! I cós

to za dziad niezwyčajny, staryniestary, czego szuka, co czaruje? A moŚe prawdziwie wyrośnie z tego cielaka jakiś wyrodek, jak stare przepowiada j o? Raba ryczy, a czy jeść dostała? Ej, Handzia, szturcham Śonke w ciepły, bok, a zawinie dano? Tato dawali. A cielak napojony? Mhy.

A czego ty zła? Puknęła coś i leŚy bez słowa. .

Gadaj coś, bo straszno, mówie. Co za dzień! Ale juŚ się lube ciepło rozłazi po plecach, brzuch od Śonki się rozgrzewa, nogi od dzieciow, ech, nima to jak pod pierzyno, dzieŚ tak ciepło i bezpiecznie, najlepiej by było całkiem z tego gniazda nie wyłazić. Zaraz się zaśnie, moŚe niebo się przyśni jak raz niedawno? Na trawie ja leŚał, w duŚym sadzie, większym niŚ Dunajów, leŚe w chłodku, nad głowo ołatki zwisajo z gruszy, kumpiaki z jabłoni, kłusty sok z nich kapie, sery wiszo, kiełbasy, saltysony, kindziuchi, tylko rękę wyciągnąć i jesz! Dołem biała rzeka płynie, biała bo ona śmietanna ta rzeka, z ręki pijesz śmietanę jak wodę! A na drzewach szpaki na skrzypkach tobie rzempolo, wróbelki muchy z ciebie zdziobujo, jaskółeczki skrzydłami w pięty łachoco, za krzakami baby chodzo w perkalowych sukienkach, bose, i zginajo się często, jak przy praniu, Śeby więcej było widać, a udziaste, łydziaste, grube! A kiwniesz rękę, same się na plecach kłado, a Pan Bóg pozwala: nie bojsz, Kaziuk, właz, właz, nie będziesz miał Śadnego grzechu.

Handzia, szturcham Śonke.

Czego?

A obróć się na ten bok.

śeb znowuś kułakiem dostać?

Nie bojsz, durna, nie dostaniesz. Przekrećiła się, ja obsuwam trochu gaci i się nawalam, starawszy się

dzieciom nogami nie przydusić, rozcarniam kolanami na boki, Śeb nie przeszkadzali, słucham jeszcze, czy wszystkie śpio: a jak Śe chrapio wszystkimi świątymi głosami, tato przez sen poprakujo. No to znajduje prętko co trzeba i zaczynam męŚowskie robotę: tam i nazad, tam i nazad, tam. i nazad, i wszystkie strachi odlatuje.

OŚenił sie ja z osiem, moŚe dziesięć lat temu, niezadługo po tym, jak mama z rusztów zlecieli i krzyŚy im pękli, odtąd leŚeli w łóŚku, póki nie umarli, a jedno co robić mogli, to patrzeć

za muchami na pułapie. Zostali sie my wtenczas w chacie jak bez kobiety: tatko, Michał i ja, wytrzymali tak jeden rok, drugi idzie, coraz cięŚej: chata niepobielona, koszuli i szmaty brudne, niemyte, chleb co pieczenie zakalcowaty, ni ma komu warzywa dopilnować, na zimę półki w komorze puste. AŚ tato mówio: dziadziejem chłopcy bez baby, baba tu potrzebna. śeń sie Kaziuk, ty starszy. A ja: E mnie tam i bez baby dobrze. A tato: Baby nie chcesz? Zaraz, zaraz, a moŚe tobie Śenidło jeszcze nie urosło?

Urosło.

I umiesz ty obchodzić sie z 'babo?

Umiem.

Nu to czegoŚ czekać? Co masz latać po zapłociach jak sobaka, jak ty moŚesz jawnie, pod swoje pierzyno?

Spodobało sie mnie to, taka wygoda. Dobra, mówie, moge sie Śenić. Ale z kóro? A tato: to juŚ Domin wymyśle. I Domin, rajko, w czwartek przychodzi.

Obuj sie, mówio, bierz butelkę, chodź.

Do kórej? pytam.

Nie twoja rzecz, odkazuje, namocz włosy, zaczesz sie w przedziałek.

To konia nie zakładać?

Nie gadaj tyle.

Wyszli my, idziem śnieg piszczy, aŚ w drugim końcu wioski słychać jak mnie Domin w rajki wiodo. Ale do kogo? Do Mazurzanek? Mijamy. Do Koleśnika Babiatego, który same córki ma? Nie, i jego mijamy! Do Natośnika? Mijamy. Idziem, nie skręcamy i nie skręcamy,. zaczyna mnie korcić, z kimŚe mnie Domin oŚenio.

Stryku, mówie, do kórej idziem?

A Co ty dzisiaj taki ciekawy, pytasz sie i pytasz?

Nu bo moŚe naradźmo sie, toŚ Śonka na całe Śycie.

Oj we j, wielkie mi Śycie. ChibaŚ ty nie myślisz tysiąc lat Śyc?

Tyle co kaŚdy.

Nu to czegóŚ!

I prowadzę: moŚe do Jaśka Zembatego, jest tam dwie panny, młodsza nawet na Wielkanoc półceberkiem mnie oblała: obydwie nieczegowate, tylko starsza zęba ma wystającego. Ale Jaśków mijamy. MoŚe do ryŚego Litwina? Stasia niczego sobie, chociaŚ z jedno nogu cieńsze. Bo chyba nie do Czarnego, tam w samych chłopców obrodziło. Ale i RyŚych i Czarnych mijamy. MoŚe do Dunaja, do Mani Dunajowej? Ale, dzieŚby taka mnie chciała, za bogata, za ładna.

Wtem ze cztery domy przed Dunajem bach! skracamy! Do kogo? Do Pietruka o co sie rozchodzi! Stanół ja dęba, do kogo, jak do kogo, ale do Pietruczanki to ja sie zagnać nie dam!

Domin ogląda j o sie: Ty dzie!

Tu nie chce! mówie i krok po kroku nazad odstępuje.

A to czemu?

A co, nie wiecie? ToŚ ona bez pindy!

Oj durny ty, durny. Z pindo, z pindo, i to i jeszcze jako!

Nie, pośmiewiska ze mnie nie zrobicie! mówie, a Domin caps! mnie za rękaw, i pod pachy, i ciągnó, szamoczem sie, naraz drzwi odmykajo sie, Pietruk pytaj o z proga: O co sie rozchodzi?

Domin mówio: Ja z Kaziukiem, a Pietruk: AleŚ prosim, prosim, o co sie rozchodzi, zachodźcie, i nie ma ratunku, wchodzim.

A jakŚe, czekano: smieci przymiecione, garki poustawiane, na szyberku nowy ręcznik, dzieci poobuwane. Panna schowana. Obłupali my walonki ze śniegu, drapaczem poprawili, wyprostowali sie i rajko pytajo: Czy my aby nie zbłądzilim? Bo słyszelim, Śe l macie jałoszke do przedania? A znajdzie sie, znajdzie sie, mówio Pietruczycha i zapraszajo dalej na chate.

Wchodzim, siadamy na razie z daleka od stołu, na ławie. Nu a jak wam mój byczek sie podoba?

pytajo rajko Pietruka. Byczka sie szacuje po dziewięć! miesiącach, co wart, na to Pietruk i gadajo sobie o krowach, koniach, gospodarstwie, a ja myślę: moŚesz to być, co Domin mówio, Śe Handzia wszystko ma na miejscu! To czemu na zabawy nie chodziła? Czemu na kadzielnikach nikogo nie dopuszczała, jak dzika sie bronila, stołkami rzucała? Zaczepić jo słowem, nie odpowie, przycisnąć

dzie po ciemku, rozorze tobie gębę pazurami, wyrwie sie. Pogadali Darnin o rzeczach gospodarskich, o zimie, aŚ mówio: Nu to pokaŚcie te swoje jałoszke a moŚe co i wypijem.

Handzia! krzyczo Pietruczycha do sieniow, a złažno, mamy sprawę.

Załomotało na górze, słyhać złazi dziewczyna po drabinie. Złazszy, nie wchodzi, w sieniach stoi. To jo Pietruczycha za rękaw wciągajo, dziewczyna staje przed nami czerwona ze wstydu i strachu, ale wyszykowana, w sukience z ŜorŜety, w śniegowcach, brwi węglem podczernione, policzki podkraszone burakiem, ręce złoŜyła i sie w ziemie patrzy i garbi sie, Ŝeby cycki mniej wystawali, oj wstydliva. Pietruczycha, Pietruk, rajko na mnie patrzo, czy sie nie skrzywię, ja na nio patrze.

I widze dobry kawał baby: dziewczyna gruba, tłusta, cycata. Ręce grube. Nogi grube.

Włosy gęste. Nos nieduŜy. Nie garbata. Nie ślepa. Nie kulawa. Tyle Ŝe z to pindo sprawa niejasna, ni gadaliby chłopcy, jakby czegoś nie wiedzieli.

A siadź, mówio do niej rajko. Kole niego. Usiadła na ławie i siedzi sztywno jak święta figura, ja jo z boku oglądam. Szkoda, Ŝe ten feler masz, myśle, bo tak na oko to ty niczego sobie.

Nie to dobre co dobre, ale co polubisz, podpowiadajo Domin.

I o co sie rozchodzi! przytwierdzajo Pietruk. I w ten moment ona błyś! spojrzala na mnie: pół chwili tego było, ale tak we mnie, w oczy, w sam środek spojrzala, Ŝe jakby mnie kto desko w czoło prasnoł: czuć ja z ławy nie zleciał! Zaćmiło mnie.

Jak przeszło, zader ja głowę, w pułap patrze i tak sie mnie przedstawiło: dwie głowy wiąŜe przytknięte czoło do czoła, mięciutko, tak czasem krowy przytulę sie łbami, jak sie wyliŜo. A te głowy to głowa moja i Handzina.

Jak Pambóg przeznaczy to i na drodze rozkraczy! mówie i butelkę z palka wyjmuje.

O to to to to! ucieszyli sie Domin. I do Pietruczychi: A nieście słoninę zapijem ugodę! I buch mnie w kolano, szczęśliwe, Ŝe poszło im za pierwszym razem.

A jak my po pół szklanki wypili, taka ochota mnie naparła, Ŝe myśle: nawet jak ty tej dziury nimasz, to ja jo tobie zrobię!

Ale nie trzeba było, miała gotowe, i to take, Ŝe ósmy rok zatykam i zatknąć nie moge. A rodzi równo jak maszynka: co dwa lata w kwietniu, dzień, dwa przed świętego Wojciecha, tak Ŝe potem całkiem zdatna do polowej roboty: sadzić kartofli, warzywo, pleć len. A robotna jest i zgodna, i poboŜna, tak, szczerza to prawda co mówio: śmierć i Ŝona od Boga naznaczona.

Tylko trochu wywidniało, dziad sie do nas tarabani, do chaty, o zebraniu pogadać. Pytam sie u kogo nocował: nie chce mówić, kręci, w końcu gada, Ŝe spod Dunajowego okna trafił do czyjejs stodoły i w sianie spał. Handzia wydoiła krowy i kręci sie koło pieca, dziad, tato i ja naradzarao sie, co te urzędnik! szykuj. Jak całkiem rozwidniało, posłyszelim wurczenie i choć

rosa szyby przesłaniała zobaczyli łódź, jak sunie z wodo, a prędko, Ŝe nogami by z nio nie wytrzymał nawet boso, sini dymek za nio sie ściele. Koło grubej wierzby zakręcili na duŜe rzeke i zginęli za kępami. Nu, podziękujcie Panu Bogu Ŝe tak wyszło jak wyszło, dziad prorokuje, dali wy im nauczkę, zdaje sie długo oni tutaj nie wró-co. A Ŝe uczycielka została? Nie bójcie sie, jak nauczy trochu czytać, przyda sie: to 'nie szkodzi jak kto umie modlić sie z ksiąŜki.

Mała w kołysce rozbeczała się czegoś, stęka, piszczy: Handzia daje jej soskę z mączką, trochę pomogło. Tato czochrało się na murku, dumają nad urzędnikami. Pytam się o tego złotego konia, czy naprawdę on tam jest?

Abo kto wykopał? oni na to. Był, to jest.

Wójt mówił, że to bajka.

To idź spróbuj!

A próbował kto?

Nie próbował bo trzeba słowo znać, tłumaczo tato, bez słowa możesz i trzy dni kopać i nic, najwyżej nieszczęścia się dokopiesz. Ze skarbami tak już jest. Opowiadają, że jeden w studni szukał, to się studnia na niego zawaliła. Bo złoto przeklęte było. W Dugnielach kiedyś organista zakopał pod jełowcem wielkie złoto: całkiem płytko, na sztych, ale na wierzchu posadził kupę i przeklął: ten moje złoto weźmie, kto te gówno zje! A zakrystian słyszał: odkopał i co? Saganek, a w saganie błoto nie złoto. Bo przeklęte. Ale przekłęcie wiedział. No i bratniewola, chce nie chce, musiał wziąć gówno w połę: przynieść, wysuszyć i rzucał po kryszce do zacierki. W miesiąc wszystkie zjadł. Wtedy poszedł, wykopał saganek, a w saganie prawdziwe złoto! To samo z tym koniem: przekłęcie ma, a czy ktoś wie jakie?

Mała soskę wypluła i znowu rozbeczała się, ale tak zajadle, że aż gęba jej się wywraca na lewą stronę. Coś jej jest, mówio tato, płaksow dostała, czy co? O Kirelejson, główka jakaś

rozpalona!

Handzia jo kołysze, cycki daje. Nic z tego beczy jak beczała, rzuca się w owijaku, a czerwona taka, że krew jej na skórę wychodzi. Tato radso dłużej nie zwlekać, przeciągać przez chomont! Idę do sieni po chomont: kiedyś Stasia umierała, a przeciągnęło się jo i wyzdrowiała prawie od razu. Nu bo jak chomont nie pomoże, można zbijać deski. Przeciągnęli my Jadzie przez dziurę: tam nóżkami do przodu i nazad główko, jak się rodziła. I jakby podobrzało: ucichła trochę już nie wrzeszczy, popiskuje tylko jak ptaszka, Bogu Dziękuję, mówio tato, chwala na Wieki Wieków. A dziad dziwi się, jakie to my mamy sposoby: widział ja świętą osobę, jak uzdrawiała głosem, widział ja, jak jeden nieboszczyk wskrzesił rękami. Ale chomontem? Tego ja nie widział!

A jak to rękami?

O, wskrzesić rękami nie każdy może: tylko osoby od Boga wybrane. Nu, to Bóg Zapłać

dobre ludzi za gościnę, pójdę ja dalej. Handzia prosi poczekajcie, pośniadacie z nami, ołatki z siary smaże! On na to, że ołatki z siary dobra rzecz, ale słońce wyszło, me chce się w chacie siedzieć.

Prawdziwie, pogoda zrobiła się czysta, mroźna, można by do lasu jechać: Odziewaj się Ziutek, mówie, brzożkę przywiezieni, na śniadanie wrócim.

Chomont biore i niosę do chlewa, do Siwki. ZałoŚywszy, wiode j o na gumno Michałowe, do woŚą, woź mamy spoiny, u Michała stoi. Zakładam duże w uŚwy i hołobli, zasuponiem kleszczy, lejcami, piłe spod okapu biore, piłe teŚ mamy jedne, tatowe, i jade na droge. Tu, czekawszy na Ziotka, woź skracam, ściagam rozwore na pierwsze dziurę. A jade wozem gołym, bez gnojawek i spodówki. Ziutek wychodzi, w Handzinym półkoŚuszku i drewniakach, sznurkiem przewiązany, w mojej czapie z uszami. Olatka je. Na co drzewo z lasu wozić, jak pod chato rośnie, mówi i pokazuje rąko klona, ot, smurciel jeden, olatki jego ciągać i wykręca się od drogi.

No no, zasrańcu, klona ty się nie czepiaj, mówie, siadaj. Bierz lejcy! Daje lejcy smurglowi, niech bawi się kierowaniem, małe strasznie lubio lejcy, zaraz rozsiada się na rozworce, furmanuje.

Ja na tyliku siedze, plecami do konia i patrze sobie na chate, jak zostaje się za nami. Klon nad chato się rozcapierzył, wielki, teraz się prześwieca bo bez liści, ale wiosno, jak zazielenić j e to dom przykrywa gałęziami niby czapo, okna zatula, aŚ w izbach ciemnieje. A w odziomku pogrubił, Śe rękami się jego i nie obejmie, i rośnie, co rok grubszy, podwalinę od dołu wysadzona. Tego klona ni masz prawa tknąć, zasrańcu, choćby palić słomo przyszło, mówie, on mój brat!

Brat, cieszy się smurciel, lejcami trzęsie, tatów brat?

Tłómacze: tego dnia, co ja urodził się, babka urwali gałonzkę ze swojego klona, tego co u Mazurów przy stodole, i wsadzili koło węgła. Nu i przyjął się, i rośnie ze mno. A jakby Nie Daj BqŚe kto jego ścioł, to i mnie podetnie! I mówie chłopcowi, Śe on teŚ ma brata, ten klonik za stodoło, to jego rówieśnik. Dziwi się: To wszystkie drzewa przy domach, to braty?

Prawie wszystkie. I w lesie teŚ nie moŚno ścinać: nie wiadomo kogo się ścina.

To jakby drzewow nie ścinać, ludzi nie umieralib?

Nie umieralib.

To czemu ścinaj o?

A czym ma j o zimo w piecach palić? Gotować, grzać trzeba, trzeba i ścinać i to nie grzech.

Ale bez potrzeby drzewo ściąć abo pokaleczyć, o, grzech straszny!

Gadawszy tak, wyjechali my za wioskę. Koło grubej wierzby objechali kolano małej rzeczki i przez błotko przejechali na popław, pusty, bo Filip pasie tylko do Zaduszkow. Popław pocentkowany czarno, pilchi zryli, ziemia czarnieje, oznaka, Śe zima idzie letka.

Mijamy gruszkę Orelowe. Skręcaj, mówie, kłoda.

On: Jeszcze czas.

Mówie skręcaj, to skręcaj, woza szkoda. Tyłem siedzicie, nic nie widzicie, on na to. Jeszcze czas.

Oglądam się, prawdziwie, coś się mnie pomyliło, bo do kłody jak przez chate. Czasem lubie jechać

plecami do przodu. Plecami nie widzisz, potylicą nie wypatrzysz, nie wiesz do czego dojeżdżasz, drzewa, pola, kamieni pokazuje się od razu nagle: skądś zza uszów wychodzą z niczego. Tak samo droga, nie wiadomo co się wysunie spod koła, jaka kałuża, który kamień, czyja kałuża, a lubię zgadywać co kiedy, co po czym, to ciekawe. Ale tyłem jakoś tak jest, że jedno od drugiego jakby czuć dalej niż jak się jedzie przodem i widzi się z wyprzedzeniem. Objechali my kłode

co leży na błotku w poprzek kolein i z lewej strony pokazuje się Świątynia Jurczakowa, zamarznięta, ale zielonkawa:

Siwka dochodzi do Jurczakowej jarzębinki, zgaduje ją, że się odbić za tamtą zmyłkę.

Dochodzi, przyznaje Ziutek i zaraz z lewej strony pokazuje się mnie jarzębinka.

Teraz będzie kamień w koleinie, przepowiadam i rękami się podpieram na tylniku, żeby dopy nie zbiło.

A jak się, podrzuciło. Patrzę w ziemię: powinna wysunąć się spod nogów Kolesznikowa plecha z dziewannami, potem trzy małe kamieni, Wronow kołek. Wysuwają się. Teraz zakręci koło wierzby, co Wrona zamierz, mówie i jak się, wóz zakręca i zaczyna pod górę: będzie Szymkowa górką, na niej dwie brzoźki.

A czyje to siostry? pyta się chłopiec.

Czyje nie wiem. Ale pamiętam, my na nich kiedyś hojodawkę robili na Wielkanoc. A kręciła się, ech, Stacha Mazurów a nad czubki wynosiła. O, ładnie Dunajowe Świątynia weszło!

A bo ono Dunajowe? dziwi się chłopiec.

A bo to nie widzisz!

Nie wiem, przyznaje się, ja nawet nie wiem, które tu nasze!

Jak co rok porzesz ze dwa razy, pognoisz, posiejesz, zbierzesz, oho, i bez oczu poznasz wtedy swoje płoskie, pocieszam chłopca.. Czy on nie widzi jak kto orze? Dunaj orze wysoko, przy miedzach i od drogi daje brońne, głębokie, zaraz dojedziem do drugiej jego płoski, sam pozna.

A weźmy Babiatego: toś tu Świątynia siane jak dla wróblów, niedobronowane, miedza ponad Świerana, prawdziwie babskie oranie. Każde pole podobne do gospodarza, a gospodarz do pola. I chaty, i chlewy, i krowy, i koni do gospodarza podobne. A gospodarz do nich.

Smurciel nie rozumie, jak chata może być podobna do człowieka. A może, może tłumacze, Dunaj, jak odkupił od Domina łąkę, co, nie pogrubiał? Pomalej chodzi, grubiej gada, jakiś

ważniejszy. A Domin ścieniał, i wszystko' u niego chudsze: kobyła, krowy, stodoła. A na sokora ty już wlaził? pytam się, bo mijamy.

Wlaził, ale tylko do gałeniz z guzem, przyznaje się.

E, to gówny ty widział. Kościół w Surażu nie widział?

Nie.

Jak wleziesz do tej gałenizy co jemioła, o, wtedy zobaczysz. A jak wleziesz na sam czubek, może i zobaczysz cerkiew w Rybołach: ale to' musi być niedziela i po obiedzie, żeby ze słońcem patrzeć, kto ma dobre oczy, może dojrzeć.

A miasto też widać.

Białymstok? Nie, za daleko. Akurat wjechali my na kurhan i popatrzył ja sobie na stare chwoje i rosochaty jełowiec. Kobyła zwolniła, zmęczyła się wciąganiem. Z drugiej strony mogiłki się zaczęli, murek z karnieniow i krzyży pod chwojkami i brzożami. śęgnam się, a smurciel pyta, czy poszedłby ja noco na mogiłki.

Nie próbował, nie będę i tobie nie radzę, tołkuje zasrańcowi. Wrona spróbował, to tak jego stańcowało, żeby jękał do śmierci.

Przestraszył się, ucich trochę, ale zaraz się pyta, czemu te brzożę nazywają rozpleciona Marysia. Czemu? A bo ludzi baję, żeby byli kiedyś mąż i Sona, bardzo się lubili, ale on pojechał raz na rynek i przyszedł do niej Sąd i dał jej pieniądżow, żeby z nim w łóżku legła i ona się połakomiła: leżo, a tu mąż wraca! I Pambóg za karę tak dał, żeby ten Sąd zamienił się w osinę, a Sona w brzożę

i cały czas płacze, rozpuściwszy włosy. A nazywała się Marysia, to i brzożę nazywają Marysia. A osinę Judaszowa. A żeby mąż nazywał się Dąb, to i drzewo nazywają Dębem.

I tak do lasu dojeżdżamy, i chłopiec pyta się, czy wszystkie drzewa wzięli się z ludzi?

Wszystkie, tłumacze, i wielgie kamieni i niektóra zwierzyna też. O, dziencioł, słyszysz? A skąd wzięło się? Był kiedyś cieśla na zarobek bardzo łakomy: raz nawet w niedziele belkę ciesał! I za to przemienił jego Pan Bóg w dziencioła, niech sobie rąbie i w niedziele. A niedźwiedź? Był

pszczelar pijanica, chciał po pijanemu oszukać Pana Boga: przebrał się w kołuch wełno do wierzchu. To i ostał przemieniony w niedźwiedzia. A bobber? To to rybak! Łapał ryby, a szed Pan Bóg za dziada przebrany, prosi: daj rybe mnie biednemu. A rybak klepnoł się po dópie: o, tu dla ciebie ryba, darmożjadu, mówi i piernoł. I od razu jemu rybięcy ogon wyrasta i sierść, i odtąd bobber w wodzie kisno i popierdujo z zimna. Gadawszy przyjechali my i stanęli w brzezynie.

Wyłóżył ja kobyłę z hołobli i puścił na mech. Sami z piłto i siekiero szukamy dobrej brzożki.

A wilk? pyta się chłopiec.

Z psa. Za to, żeby Pana Jezusa ukąsił.

A zając?

Z chłopczyka, co od róśańca uciekał.



O Jezu! To wszędzie ludzi, przemieniane!

A tak. Toś mówio: las słyszy, pole widzi.

I nigdzie nie schowasz się, wszystko na ciebie patrzy, czy kradniesz, czy oszukujesz, czy robotę marnujesz. I temu trzeba być jak Pan Bóg przykazał.

Bo w co przemieni?

A pewno!

Znaleźli my brzozę nie za grube, nie za cienkie, i trochu duplawe, pod obuchem huczała.

Obcisał ja kore z dołu, klękamy, za piłę się bierzem. Napiłowali się niemało, zaczęli przesmulali niśszy śnit z jednej strony, potem wyższy z drugiej i chylić się zaczęła. Szczęśliwie nie zaklinowała się w gałęziach: rymnęła o ziemię, huknęło, aś Siwka spłoszyła się w jełowcy.

Chłopiec stoi czerwony od roboty, ale widze, rękami ślozy wyciera, jakby beczał.

Czego beczysz?

Ktoś urnar, mówi i popłakuje.

Nie płacz, toś ty nie baba, w nogawkach chodzisz!

Ale my kogoś zabili!

E tam, bajki, nie płacz już.

Toś wy sami opowiadali!

Opowiadać można, ale kto tam wie jak z tym naprawdę.

Obciopuje gałęzi, chłopiec odciąga ich na kupę z boku, a przy robocie i beczyć przestał.

Potem my brzozę popiłowali na kawałki i kloc po klocu załadowali na wóz. Ruszamy, biały pieńek został za nami i kupa gałęzi: idziem koło fory, żeby popychać, bo pod górkę kobyła sama nie wciągnie, choć stara się, stęka, paruje. I tak prawie nie mówiwszy, wygadawszy się w pierwsze stronę, przechodzim z brzoza koło dębu, Marysi, judaszowej osiny, między mogiłkami a staro chwojo i jełowcem z rosochami, koło sikora, koło wierzby, co Wrona pod nią zamarz, przepychamy woz przez kamień w koleinie, mijamy jarzębinke Jurczakowe, objeśdśamy kłodę i przez błoto dojeśdśamy do większej rzeki: koło grubej wierzby skręcamy wzdłuż małej rzeki do wioski, i teraz, chata po chacie, dojeśdśamy do Grzegorychi i zaraz zwracamy na nasze gumno, i zatrzymujęm się przy gałęziach pod stodołę, tam dzie ta bez ogona zatraciła jajko.

A tu Handzia z chaty wylatuje: ręce załamane, włosy potargane i beczy, beczy, a cóś u czorta z tym beczaniem, ileś beku słuchać można! Zeby bliżej podleciała, oj, dostałab po plecach, nie lubie

choroba, nie lubie jak baby płaczo! A ta Jadzia, Jadzia, Jadzia! Co Jadzia? wurkne, kobyłę

rozlejącywawszy, a Śonka: Kruszyńka moja, iskierka małeńka, ptaszeczka niewinna, kwiatuśzek śliczny! Tknęło mnie:

Umarła? pytam, ale nie pytanie to, a pewność. Handzia nie odpowiada tylko Słoneczko moje, radość moja, szczęście moje! Zawiazuje ja lejcy na kłonicie i krokami długimi lece, a w głowie strach sie kotłuje: ot tobie masz, ciele wywroŚyło, psiakrew, zarŚnę, nima co, zarŚnę abo utopie, toŚ ono nas wszystkich po jednemu wytraci!

Do kołyski przystępuje: leŚy ona, Jadzia, cichutko, mordeczka biała, oczki zamknięte nie rusza sie. MoŚe śpi? MoŚe w zachwyceniu, a nuŚ tylko duszyczka wyleciała dzie na słońko i zaraz wróci? Tato modło sie na murku, paciorkujo róŚaniec, dzieci stojo po kątach wystraszone, Handzia koło progu klęczy, czołem w deski bije, zębami skohycze, bez chustki, włosy rozpuszczone, siczami dzieci polewa.

Płacz, mówie, płacz, zmarnowała ty dzieciaka!

Ja? Ojczus, Kaziuk, ja? Na moich oczach umierała! Trzeba było robić coś, psiakrew!

Ale co, nu co ja mogła zrobić, człowieku, co? Oj, BoŚesz mój, o ja nieszczęśliwa!

Zawołać kogo było!

Ale kogo, kogo?

A Dominiche! Abo Kuśtyka! A dziad dzie, pytam sie tata, bo z nio Śadne gadanie. '

Wyszed zaraz po was.

Coś o cudach wywodził, moŚe by co jeszcze pomog?

Za późno, człowieku.

MoŚe ona śpi?

Tato pokiwali głowo na takie moje gadanie odkrencili sie twarzo do okna. Zdymuje czapkę.

śegnam sie. Na stołku siadam. Siedze. Nu tak. Umarła. Nu tak, nu tak, zmarnowana. Nu tak. Nu tak. Nu tak.

Nu tak, mówie do nich, a najbardziej do Handzi, pocieszyć jo trzeba, nu tak. Ech. Trudno.

Tak musiało być. A ty nie becz, nie becz babo, Pan Bóg dał. Pan Bóg wzioł, urodzisz jeszcze niejedno. Nie pierwsze ono i nie ostatnie, ścichnij!

A ta lamentuje, co za dzieciak był, jaki pojętny, mądry, niepłaksiwy, niewybredny, Śerny, niekąśliwy,

czysty, ach jaki wesoły, ładny, jak ptaszeczka, jak lalczka, jak wiwióreczka. Widze: na kominie talerz z datkami, ołatki z siary i mąki, takie placki dwa razy do roku, dwie krowy u mnie sie cięło.

Daj jeść, mówie do niej, a do Ziotka: nie gap sie, siadaj, zjemo! Zjemo i pomyślim co robić.

Abo nie: potem zjesz, teraz leć po dziada. Poleciał. Siedze, jem placki z zacierko, na nic nie patrze.

Jem. Jem, bo dobre, co siara to siara. A Handzia: O Jezu, ty jesz tak, a ona? I w bek!

Ty nie wiesz, pocieszajo tato, wszystkie umrzem. A moŜe Pambóg zawczasu nad nio ulitował sie, bo Ŝycie przed nio stało cięŜkie, a? Płacz ty, ale nie za duŜo: poŜyła jak aniołek i odleciała jak aniołek, na pański chlebek, słodziuŝki. Nie bojś, Pambóg wie co robi, o, zobacz ja!

Czy ja skarŜę sie komu, Ŝe nie zabiera mnie i nie zabiera? Nie skarŜę sie ja, choć kto ja teraz? Stary trep. Ŝmieć. Tylko wziąć za kołmierz i wyrzucić dzie w wędol, lepiej byłoby mnie nie Ŝyć. A Ŝyje!

Tknęło mnie: moŜe Ŝmierć po was przyszła i zmyliła sie?

Nie zmyliła sie, juŜ ona nie taka zmyliwa, pocieszajo tatko, stojąla i stojąla nad kołysko, takie zimno w chacie było, Ŝe nogi marzli. JuŜ tam ona przypatrzyła sie dobrze. E, lepiej jej nie wspominać, zarazy, bo weźmie i zawróci.

W samej rzeczy, straszno z Ŝmiercio w jednej chacie być, choć ta nieboszczka maleńka jeszcze. Co z nio zrobić: nie kot to ale i nie człowiek jeszcze. MoŜe dziś pochować? Do obiadu jeszcze kawalek, zdąŜyloby sie. Co? Ona pojękuje: Bez serca ty! Czy to skorupka po jajku, Ŝe fajt i wyrzucona?. ToŜ ona dziś jeszcze cycke ssala!

Dzieciaka, póki nie chodził, moŜna chować i tego dnia co umar, obstajo tato za mno, byle za widnia, póki słońko nie zaszło: po ciemku nie trafiłoby do nieba.

Do nieba? ToŜ ono juŜ w niebie, mówie, czy to czym zgrzeszyło? Czy nie chrzczone?

Tato opowiadajo, Ŝe umierało cicho, nie było widać jak para wyleciała. Nic nie płakało.

Przestało płakać, tato myślo: czemu nie płacze? zawołali Handzie, zobacz, mówio, co jest. Za oknem głowy mignęli i zaraz do chaty wchodzo dziad z Ziotkiem: Ŝebraczysko Ŝegna sie nad kołysko, a Handzia przed nowym człowiekiem znowuś w bek: Iskiereczka moja, anioleczek, jagódka, wiwióreczka, laluńka! Beczy i włosy szarpie, dziad sie na nio ogląda, kurczy sie, marszczy, juŜ i oczy obciera, widać miętkiego serca jest, juŜ i wzdycha, BoŜe, BoŜe, za co tak ludzi katujesz, pojękiwawszy klęka koło kołyski, modli sie, postękuje jak 'baba.

Płakać to i baby umiejo, mówie, wy coś zróbcie! ToŜ chwalili 'sie cudami! Aj, jak to jego ukłuło! Kiwać sie przestał, oczy rękami podper i siedzi, siedzi na piętach, plecy jego widze napręŜone. Wtem wstaje. Wstaje, prostuje sie, obydwie ręce nad kołysko wycionga. I kamienieje!

Cicho sie robi, Ŝe słyhać jak robaki Ŝcianę jedzo!

On stoi tak z wyciągniętymi rękami, oczy zapluszczone, zęby zaciśnięte, widze jak twarz jemu czerwienieje, rosa na czoło wychodzi! Wtem, o Panie Jezu, nad nim, nad jego głowo widze blask, jak nad świętymi! A on głosem z innego świata ogłasza:

Nie umarła dziewczeczka wasza, ale śpi. Dzieweczko, mowie tobie wstań! A ręce trzyma i trzyma! O Jezu! Tato zwalajo sie z murku na kolana, dzieci klękajo, Handzia oczy wybałusza. Ja siedze z ołatkim w ręku, ze strachu ruszyć sie nie moge, przykleiło mnie do stołka. Cud wisi w powietrzu, coś sie zaraz stanie: moŜe jasność buchnie z pułapu, aniołowie wejdo, dziad w świętego sie przemieni? Strasznie jest, poboŜnie i nie do wytrzymania! On ręce trzyma nad kołysko, z palców iskry leco a cały taki natęŜony, Ŝe drŜy. A z nim zaczynajo drŜyc i dzwonić miski, kubki, fajerki, brzęczy wszystko w coraz większym wizgu, ciele dusi sie, wyciągnęło szyje i beczy jak zajac w pętli, brodatemu ręce sie trzęso, trzęso, trzęso! ja juŜ nie moge wytrzymać tego wizgu, blasku, świętości.

Naraz ręce dziadowi leco bezwładnie, mięknie cały i siada na murku jak worek sieczki. I siedzi przy tatku, ale jaki! Złachmaniony, jak strach po deszczu, jak odzienie rzucone w ką: głowa leŜy na torbach jak słomiana, ślozy ciekno skosem przez nos po brodzie. I nie tak juŜ mnie szkoda dzieciaka, jak tego dziada: jakby sie widziało rybe dychające na brzegu. Abo konia ze złamanymi nogami jak zdycha. Abo zajaczka kapiejącego w trawie, przeciętego koso na pół.

Zjedzcie, dziadku, zacierki z datkiem, pocieszam, dobre ołatki, z siary. Zebraczysko wstaje, a oczami po podłodze ucieka, wstydzi sie. CóŜ ja, grzeszny człowiek, mówi, torby ściąga, sznury poprawia, cóŜ ja? Dziad, dziad tylko, ech tyle moge co zmówić pacierz.

I wychodzi jak ciamajda niedołenga, zgarbiony, ledwo nogi przez próg przeciągnął. A dzieciak leŜy jak polano, tylko sie kołyska na sznurkach okręca i tak smutno, tak smutno, tak smutno. Myj, nakazuje Handzi i idę po deski.

Najsampierw sie wpuściło kobyłę do chlewa, Ŝeb nie przestudziła sie na dworze, zgrzana była. Potem z Ziutkiem wyciągnęli my spod słomy deski z rusztów, zanieśli na kozioł do piłowania: przerŜnęli na kawałki, cztery dłuŜsze, dwa krótsze na szczytki. Kończym piłować, raptem Ziutek ogląda sie na furę, na białe kore: O Jezu, przez nas, mówi i puszcza piłę, my Jadzie zarŜnęli!

A ŜcichnieszŜe, proszę, ty tylko gadać i płakać! Ciągaj.

Patrze na deski, czy nie za krótkie, ciasne spanie by miała. Nie, nie powinna. Najgorzej z goździami będzie. Wysyłam chłopca do Kramara, osiem goździow niech przyniesie. Ale zdaje sie w koŜuszku jeden jest: macam, a jakŜe, jest. Krzyczę za nim, Ŝe siedym, siedym przynieś, niech Kramar policzy za Ŝyto! Póki ja deski ostrugał, dopasował, zaczem zbił w skrzynkę, Pietruczycha z Dominicho i Handzio obmyli dzieciaka, wystroili w białe sukieneczke i czepuszek z sinimi tasiemkami. LeŜy na ławce z rączkami związanymi szkaplerzykiem, świeczka pali sie nad nio.

PrzełoŜył ja jo do trumienki, na wióry, a Dominicha mówio: czegoŜ czekać? Dawajcie zmowim w głos Anioł Pański i wszystko. Zmowilim za Dominicho, potem ja święcono wodo pokropił

biedaczynke i wierzchnie deskę dwoma goździami przybił. Handzie trzymali tatko z babami. Zaraz Dominicha świeczkę gaszo, a ja biore pod pachę skrzynkę, rydel, idę na -mogiłki, kobiety zostaje sie

Handzie pocieszać, nie puszczają jej za trumno: mogłoby zaszkodzić, więcej by 'nie zacięła. -v Na drodze Dunaja spotykam, dokądś szli za interesem. Zatrzymuje się. Co, umarło? i po. skrzynce patrzy. Najmniejsze?

Najmniejsze. Szkoda, wieczne odpocznienie daj jej, Panie, choć prawdę powiedziawszy nie było po czym. Dziewczynka?

Ale to szkoda.

Ona zdaje się kwietniowa? Hm, to szkoda, śnij o Dunaj, podchowana, jeszcze z pół roku i sama by rosła. Pewnie, starsze by pilnowali.

O, tak, człowieka wychować cięsko. Po mojemu jeden dzieciak kosztuje zachodu więcej niż ze trzy cielaki!

E, trzy nie, mówie, prawda, przy dzieciaku więcej lataniny niż koło bydlaczka, ale to baba lata. I po drugie dzieciak tyle nie zje co jałoszka.

O, wa! Ale jałoszka już po trzecim roku mleko da! A córka, w ile lat? I jeszcze trzeba dołożyć, żeby ją wzięli! Nie ma to jak syn, bodajby się na klepisku rodził: pastuszek, robotnik, podpora na starość. Nu, idę, w sprawie szkoły latam!

A co, będzie ta szkoła?

O, Sonka z uczycielko już izbę szykuje: sprzątają, bielą. Nu idź z Bogiem.

Natośnica z Antochowo przez płot gadają: rękami spódnicy poodciągali od kolanów, szczo na stojąco. Mnie zobaczyli, przestali.

Umarło? pytają Natośnica.

Ehe.

Najmniejsze?

Ehe.

Baby śgnają się, kiwają głowami: A jak Handzia? Mocno płakała?

Mocno.

Ot babska dola, wzdycha Antochowa: nanosisz się tego, wycierpisz, nocami nie dośpiasz i masz! Jak w dół wsadził!

E, czemu, przeciwko się Natośnica, będzie miał Paimbóg aniołka.

Paimbóg tak. Ale co matce z tego?

Nie gadajcie, nie narzekajcie: zawsze to w razie czego wstawi się, pomodli.

Jak nie zapomni, mówie i idę. Przekładam skrzynkę do drugiej renki, bo zacięło: niby tylko cztery deski, niby nieboszczka od kądziółki nie większa, ale póki ja jo na mogiłki zanieś, rence wyciągnęli się mnie do pół łydkow. Nawet ładnie tutaj, na mogiłkach, za dnia przy pogodzie.

I niestraszne. Ale dzie ja ciebie nieboraczko pochowam? Bo chyba nie ze starymi: o czym ty będziesz gadać ze starymi, jak ty ani lnu nie przędła, ani tkala, sierpa w ręku nie miała! Z

ptaszeczkami tobie świerkać, tak, koło brzózki my tobie pościeleni: będziesz patrzeć jak pączki się rozkręcają, zielenieją gałązki, wróbelki skaczą.

Ale grunt przemarznięty, z wierzchu skorupa, nie za bardzo ona rydła chce. Jakoś

przebijam się, a głębiej piach już i całkiem letko. Wykopawszy jamę do paska, wpuścił ja trumienkę na dno, uszykował, sięb prosto stała, popatrzył trochę z góry, poodpoczywał, przesegnął

się i zawalił. Potem uszykował z ziemi kopczyk, uklepał zgrabnie, a na wierzchu odcisnął

trzonkiem krzyś. Nu i to jakby wszystko. Aha, jeszcze pacierz zmówić nie zaszkodzi. Klękam. A powietrze przyjemne jest, suche, mroźne, trawy choć przemarznięte śmierdzą ładnie kiszonym.

Nu, ostawaj się z Bogiem, ptaszeczko. Z bramy wychodzę, a tu stara chwoja naprzeciwko stoi za drogą jak dzwonnica. I jełowiec z rosochami.

Zobaczyć drzewo z bliska chyba nie grzech?

Dzień, widno, słońce na niebie, czegoś boić się?

Zobaczę!

Góra tu łysa, nikt nie orze, bo świry, miejsce akurat zajmam na wesela, tylko suche dziewanny sterczo. Podchodzę pod same chwoje, szumi jak nie z tego świata, ale te choiny szumio, jaki to szum majo, jakby wszystko wiedzieli. Bo musi wie ona niemało, taka stara chwoja.

Jełowiec też nie wiadoma ile/ma., sto lat czy tysiąc, słyszał kto kiedy o jełowcu do pół chwoi wysokim! Kiedy urosnął? Wieków trzeba było.

A ciekawe, ciekawe jak ten koń leży? Na boku? A może stoi? Jezu, tyle złota, jak to jest, że tyle złota leży tuś tuś pod ziemią i i nima śadnej drogi do niego!

E, pewno tego konia nima, musi prawdę mówił wójt, że stare wydumali taką bajkę, żeby dzieciom opowiadać wieczorami. Tato mowio, że przeklęty. Ale jak on naprawdę był zakopany, to choć przeklęty, musi tu leżeć: jak nie w złocie, to w śelazie, drzewie, albo i w gnoju, ale coś być

musi. A przeklęcia Szymon wie, umie o zamawiać choroby, błogosławić, umie i przekląć: to może i konia odczytać z błota czy gnoju umielib? Ciekawe. Ale rydel, toś ja rydel na ramieniu

trzymam! Strach skądś sie bierze, Œeby Broń BoŒe ziemi rydlem nie dotknąć. Nu ale jak dotknę

trozku, czuć, czuć, -toŒ za to ogień chiba nie spali, toŒ ja kopać nie chce. MoŒe dotknąć? CoŒ

ciągnie, ale coŒ jeszcze mocniej za rękę trzyma. Jedno nagina, drugie odgina; stoję w strachu coraz większym. Aj, jakby tak ustawić pod jełowcem stoły, a na nich rozłoŒyć te bogactwa, co wójt naopowiadał, stoły z misami, w misach wyroby z mięsa, kumpiaki, smaŒona wętroba, kindziuchi, saltysony! A między nimi cukru kupa wielka jak piachu. Marmulady jak błota. A słodkich Œydowskich bułków cała kopica?

Ale czemu ręki z rydlem opuścić nie moge? Ręka mięknie, bezwładnieje. A moŒe tam w ziemi, pod jełowcem, moŒe co czarnego siedzi? Kudłate, rogate, morda czerwona i pilnuje konia i teraz na mnie przez ziemie patrzy! I stoję tak ni fte ni wefte, nogi z kamienia, głowa z kamienia, tylko oczy wszystko widzo, uszy słyszono!

I naraz szurnęło coŒ za plecami po gałęziach, zleciało! O nie, to nie gałąska: o ziemie stuknęło jak kopytami, duch, czort, moŒe Grzegor! O jeŒu, szarpnęło mno aŒ czapka zleciała, porwało mnie, pognało z górki na prosto przez zagony, miedze, brożny, krzaki, oj, widział kto, ludkowie, konia, jak ucieka przed wilkami, zająca, jak wieje przed psami, jak takiego nogi nioso?

Tak i mnie nieŒli, byle dalej od jełowca. Ojezu, do wioski, do ludziow! AŒ przy pierwszych domach popuŒciło: kładę sie na Dunajowym płocie i dycham, dycham, dycham, jakby rok Œył bez dychania, rozum jeszcze kołuje, ale dycham, dycham, pamięć jakoŒ wraca sie, spoglądam po sobie: cały, Œywy, rydel w rękę. Tylko czapki nima. ale to tam czapka, Chwała Bogu, Bogu Dzięki, Œe głowy nie ukrenciło.

A chodź tu, wołajo Dunaj z ganku, co tobie, człowieku, klepkę tobie urwało?

Oj, stryku gorzej, dycham, gorzej! Zdaje sie Grzegor!

A zajdź, wołajo.

Zachodze. Jest uczycielka, jest Dunaj, Dunaicha i Kozaków Stach Jej Bohu. Uczycielka chodzi wielkimi krokami pod Œciano, tam i nazad, Dunaicha Œciany bielo, Stach Jej Bohu dechy hebluje, długie.

Uczycielka, jakaŒ ona wysoka, większa ode mnie, długa, cieniotka. A uroda cygańska, oczy czarne, włosy czarne kręcące sie, cera czarniawa. I Œadnej sodomy gomory na niej nie widać: młodziotka, milutka.

Co cię gnało, mówio Dunaj, wilki?

Grzegor!

Abadajby jego małanka spaliła, co on juŒ dokazuje, ten Grzegor! kino Dunaj. Ze to ni ma na niego sposobu! Opowiadaj.

To im opowiadam jak było: stanął ja pod chwojo, popatrzeć na jełowiec z rosochami, co mówio Śe pod nim złoty koń zakopany, aŚ tu coś z tyłu jak nie skoczy na mnie, cap za włosy! Jakoś

udało sie wyrwać, tylko czapka została sie w jego rękach. Pewno zadusić chciał!

Nu i co? pytaj o sie Dunaj uczycielki. A wy wczoraj nam tłumaczyli, Śe duchów nima!

JakŚe ni ma, ja na to, wczoraj ja na własne uszy słyszał Grzegora, jak cepem młóci? w stodole.

Uczycielka dawaj wypytywać, na co on umar ten Grzegor. Mówim, Śe przy sianie dziewię-tucha jego ukąsiła, taka kuzaka, co jak ukąsi, to dziewiątego dnia sie umiera. A wypalić

jad' Śelazem, ona na to. My: nie, nic z tego, nima. na hadzine ratunku. Ona: A czemu niby Grzegor ma straszyć? My: naznaczony był, białowłosy miał, białe brwi, czerwone oczy, bezdietny!

Uczycielka kręci głowo, śmieje sie, tłumaczy,. Śe mnie sie wydało: chce pan, zaraz pójdę z panem po czapkę i nic mnie za włosy nie chwyci. Ale o tym Grzegorze porozmawiamy jeszcze nieraz: na razie znajdziemy kwatere. panie Dunaj. Naprawdę tak trudno znaleźć jakiś pokój z łóŚkiem?

MoŚe u ryŚego Litwina na chacie? zastanawiajo sie Dunaj.

Na chacie? dziwi sie ona. Na dachu? To Dunaj tołkuj, Śe na chacie znaczy w pokoju: u nas na duŚe izbę mówi sie chata, a na małe zapieco. Litwin z Śonko śpio na chacie, a moglib swoje łóŚko opróŚnić dla pani, jakby przeszli zapiec, na łóŚko babczyne, bo babka śpio sama. Tyle Śe trzeba wcisnąć babkę do dzieciow.

Dunaicha pytajo, jakŚe obydwaje Litwiny zmieszczzo sie w babczynym łóŚku? Niewąskie ono, ale zobacz ty, jaka Litwinicha gruba!

ToŚ jej dwiema rękami nie obejmiesz!

To moŚe Litwinów przenieść zapiec z ich łóŚkiem, a babczyne wystawić dla pani do pokoju? radŚo Dunaj, zapomniawszy, Śe babczyne łóŚko krótkie, o, tyle trzeba by paninych nogow uciąć, Śeb sie pani zmieściła, pokazuje jej ile. I radzę, Śe lepiej będzie jak do dzieciow abo do babki pójdzie Litwin, a pani legnie z Litwinicho: Litwinicha gruba, pani cienka, zmieścicie sie.

Uczycielka sie przeciw!: nie, nie, ja chce spać sama, musze mieć oddzielne łóŚko i pokój.

Zaraz, zaraz, a u Kuśtykow? przypomniało sie Dunaisie: Na Szymonowym szlabanku, co?

A dzie legno Szymon, jak sie im zabierze szlabanek, pytajo Dunaj.

Dunaicha 'najpierw bez słowa w głowie wszystkich układajo, przekładajo, a poprzekładawszy tłumaczo: Na nowym łóŚku śpio Handzia, Kazio i Stach, na starym babka, Jadzia i Szymonicha, Szymon na szlabanku, w pokoju. Zrobi sie tak: Szymon zostawić szlabanek dzie był

i będzie pani miała i spanie, i pokój. A teraz co z Szymonem: Szymona sie połoŚy zapieco na starym



łóŜku.

Z babko, Ŝonko i córko? krzywic sie Dunaj:

To ja stary by nie ryzykował, a Szymon? ToŜ on z dziesięć lat młodszy!

Scichnij piej to, ciągnó Dunaicha, Jadzi sie z Szymonem nie zostawi: ona przejdzie na nowe łóŜko, a Szymon zostanie z Ŝonko i babko. Dunajowi sie niepodoba i to, Ŝe Jadzia miałyby na nowym łóŜku spać z Handzio, Stachiem i Kazikiem: ToŜ Jadzi juŜ lat z siedymnaście, Stachowi ze dwadzieście, jakŜe kłaść ich w jednym łóŜku!

Dunaicha nie ustępuje: A czyŜ ja mówiła, Ŝe Stach będzie leŜał bok w bok z Jadzio? Trzeba ich rozdzielić! Dajmy na to Jadzie połoŜyć od ściany, a potem Handzie, a ileŜ jej, z dziesięć lat, potem Kazia, ileŜ jemu, ze dwanaście! A za Kaziem, z brzega, ten Stach, najstarszy.

Ale ale, kto ich tam noco upilnuje, poprzelaŜo, nie dowierzajo Dunaj. A Dunaicha wy-wodzo, Ŝe nowe łóŜko stoi w jednej izbie ze starym: czyŜ stare nie nagładno, czy tam młode nie dokazuje?

Po mojemu bezpieczniej będzie przerwucić do chłopców nie Jadzie, ale babkę, radao Dunaj, babce osimdziesiont parę.

Tak? A Jadzie zostawić z Szymonicho i Szymonem? Z ojcem rodzonym? Ty Stachu zdaje sie wstydu ni masz! Ale Dunaj uciszajo Ŝonke, Ŝe juŜ jest sposób: A tak, będzie spał Szymon z córko i z Szymonicho, tylko Ŝe Jadzie trzeba połoŜyć od ściany, potem Szymoniche, potem Szymona.

Ot i jakoś wydumalimy razem. Nu to co? Niech panienka 'bierze waliski, pojdzim!

Nic z tego, ja ogłaszam: JakŜe Szymon ma spać z Jadzio i Ŝonko, kiedy noga!

Co noga? A podkurczona! ToŜ dwie baby spalib jemu na kuśtyku! Dunaj aŜ za głowę sie złapali z Ŝalu, ale Dunaicha nie ustępuje: Przekręci sie na taki bok, Ŝeb kuśtyczysko wystawało jemu nie na łóŜko, ale za łóŜko, a Dunaj: Bój sie Boga, kobieto, całe noc trzymać nogę za łóŜkiem?

Kto wytrzyma!

Ławke pod nogę podstawí! AleŜ i Ŝwięty nie wytrzymałby nocy na jednym boku!

A jak Filip śpi na ławie? Jeden bok odleŜy, to co robi? Przekręca sie głowo tam dzie nogi i znów kolana ma do chaty, nie w ścianę. Tak samo Szymon, przekręci sie nogami na poduszkę: bok sobie zmieni, a kuśtyczysko znowuś będzie sterczało za łóŜko, jak sterczało!

Uczycielka stoi pod ściano, trzewiczkiem o trzewiczek postukuje, a odziana letko, w jakiś

paltocik z kapuzo, sukienka ledwo kolana zakrywa, głowa goła, bez chustki, słuha i głowo kręci z podziwu, Ŝe tak wszystko wiemy, i raz po raz czub z oczow odgarnia. Dunaj ogłaszajo, Ŝe jest lepszy sposób!

No no? Zaciekawilo nas, co teS Dunaj wymyslili. A oni, Se u Zlosnego Bartoszka murek nie zajety!  
Niech tylko Bartoszek pojdzie na murek i juS cale lOSko puste! Dunaicha sie przeciwio: pani ma  
Syzenie, Seb aileko bylo. A Zlosnemu krowa zdechla.

A prawda, wzdychajo Dttnaj, tak kiepsko, tak niedobrze.

Wtem za reke mnie lapio: A Kaziuk krzycz, toS u niego krowa ocielila sie! Przestraszyli mnie:

JakSe u mnie, broni sie, toS my same w rnitus spimy! A uczycielka: W mitus? Co to takiego?

Dunaicha tłumacze, Se spanie w mitus to w przekladanke, jedne drugim nogami pod glowe, jak  
snopki, tak wiecej miesci sie w lOSku. Ale Dunaj od razu jo pocieszano, Se nie bedzie z nami w  
mitus spała: ToS u ciebie Kaziuk drugi pokoj jest! Pokoj pusty i lOSko puste!

Puste, bo tam zimno, mowie, szyba wybita.

Nu to wstawisz!

Skad szklo wezme?

Dobra, szklo bedzie, moja w tym glowa. Nima co, niechaj pani waliske sklada, idziem do Kaziuka,  
cieszo sie Dunaj, dzieciak umar, Handzia wolniejsza, lepiej zadba, ugotuje!

Ja tylko do lata, panie Kazimierzu, powiada ona przymilnie, niech sie pan nie boi, gmina zapłaci za  
kwatere.

I wychodze z Dunaicho zapiec. A Dunaj caps mnie za rekaw i totku j o z bliska: czlowieku sto złotych  
dostaniesz, sam by ja sie polakomil, ale chata juS na klase oddana, a zapieco miejsca nima.

Sto za rok, namyslalam sie, czy to tak duSo? A oni: Sto za miesiac, czlowieku!

Za miesionc? O, choroba, sto za miesiac, duSo pieniondza! IleS to maczki, gozdzow, nafty moSna  
dostac u Kramara, za sto złotych! Ale czy oni czego nie knujo? Czemu dajmy na to Kozak jej nie  
bierze? Czemu ty Stachu jej nie bierzesz, pytam sie.

On hebel odstawia: Myslisz, Se sie boje? Nie! Ciasnota, a do tego Sonka gruba, lada dzien

rozwali sie.

A Dunaicha z uczycielko juS czekaj o na drodze. To i my wychodzim. Dunaj bioro od nich torbe ze  
skorzanyimi pasami, ja te czarne plaskate skrzynke z raczko, idziem, Dunaj pierszy, za nim Dunaicha,  
potem uczycielka, ja na koncu, a glowa huczy od tego wszystkiego! Uczycielka wsadzila rece w  
kieszonki i stapa delikatnie: lydki cienkie, tytek maleniki, a wysoka jak palma i jak wierzbowa palma  
giotka, idzie i gnie sie, przegibuje: czasem pod prad ryby tak sie przegina j o, bluszcz na nurcie tak  
faluje. Stapa sobie, przegina sie i wlosy z oczow odrzuca raz po raz.

Lekcje zrobimy na dwie zmiany, oglasza do Dunajow, do obiadu dzieci mlodsze, po obiedzie starsze.

Wtem spod plotu wyłaśo Szymon Kuśtyk:

Niech będzie pochwalony Jezus Hrystus i czapkę zdymajo przed uczycielko, wieki wieków, dzieńdobry, odpowiada ona, Kuśtyk dołączajo, hycajo nad ziemio: tu ręko sie podepro, tam podskoczę, nadaśajo za Dunaicho, na uczycielke popatruje z dołu. I pytajo sie wreszcie jakie litery bedo uczone: i pisane i drukowane?

Tak, mówi ona, pisane i drukowane.

Czytać pisane i drukowane, i pisać pisane i drukowane?

Pisać tylko pisane.

E, to słabo. Nieboszczko Grzegor pisał drukowanymi.

A pisanymi?

Pisanymi nie umiał, on na ksiąśkach wyuczony. A czytał tak prętko, jakby rozmawiał! Pani które litery będzie uczyć, polskie czy ruskie?

Polskie.

A ja umiem parę ruskich. Umiem be, we, cze i Ńe. Kiedyś uczył tu u nas ruski partyzant, ale jakieś przyjechali i zabrali jego. A czy to prawda co mówio, Ńe od czytania rozum miesza sie?

MoŃe, ale nie tylko od czytania. Znałam jednego co zwariował, choć nie umiał ni czytać, ni pisać.

A czy nie nazywał sie Boluś?

Nie, Rurka Jerzy.

Bo u nas był kiedyś durny Boluś, ale w świat poszed i zaginoł. A moŃe to był Boluś? moŃe sie przemianował na rurkę, głupie to lubiejo. Lewe oko miał niŃej?

Nie, obydwu równo.

To nie ten.

Oni gadu gadu, a tu juŃ chata blisko, Jezu, na pewno śmieci nieprzymiecione, słoma spod cielaka porozciągana. Macie, ponieście! daje Kuśtykowi waliske i lecę naprzód, dolatuje do chaty, wpadam, a jakŃe: Handzia w ceberku kartofli sieka, a podłoga jak klepisko po młóćbie! Zamiataj, uczycielka z Dunajami ido! Przestraszyła sie, zamiast za miotłę złapać, dawaj dzieci łać po dópach, z cielakiem sie draŃnili. Co robić? Kołyskę łapie, sznury z goździa zdzieram, wynosze, ale juŃ oni w sieniach. Daleko kołyski nie chowaj, niezadługo przyda sie, przygaduje Dunaj, a tu kury im pod nogami skaczo, trzepocze sie, wrzeszczo. Trudno, laze po drabinie na góre, rzucam kołyskę w ciemno, coś tam przewróciło sie, zahuczało i złaŃe.

A to ten cielak, co my wczoraj pani opowiadali, pokazuje Dunaj małego w kątku.

Uczycielka przyklęła i gładzi bydlaczka po szyi: Śliczny, jakie śliczne oczy ma, czarnuszek! Ale co wy od niego chcecie, dziwi się, przecieś on całkiem zwyczajny.

On rŚał, mówio Dunaj. A ciele powinno męczyć.

Nie wierze, kręci ona głowo, zróbcie coś Śeby zarŚał, wtedy uwierzę.

Teraz on meczy, tłómaczo tatko: Ale z początku rŚał.

Albo ze mnie kpicie dziadku, albo z siebie, powiada uczycielka i do Ziutka się odwraca: Jak się nazywasz? On oczy kułakiem zatyka.

Nie wstydz się, mówi ona. Ile masz lat? Chłopiec fajt, obrócił się do niej tyłem i w kątek się wciska, Handzia bach jego po zadku, bach drugi raz: Co ty, dziki? Gadaj jak pani się pyta.

Ona pogłaskawszy główkę pociesza jego, Śeby się nie bojał, my się jeszcze polubimy, mówi. Dunaicha odmykają drzwi na chacie, pokaś Handzia pokój panience, mówio, kfaterować u was będzie. Wchodzi, wchodzim, uczycielka rozgląda się, a dzie spojrzy, nasze oczy za swoimi ciągnie. Tak oglądęli my łóŚko, na łóŚku poduchy, na poduchach poduszki; na poduszkach poduszczeni, obraz Matkiboski pocentkowany, ławę, kuferek, szmatniki na podłodze.

To pani tkła, pyta się uczycielka i Handzia czerwienieje, na nas patrzy, nie wie, czy przyznawać się, czy nie.

Ładne, mówi uczycielka.

Naprawdę?

Bardzo ładne.

Dopieroś pochwalona, przyznała się Handzia, Śe to jej robota: Ja tkła mówi. I teraz jak tak stój o koło siebie, baba przy babie, teraz ja widze, jaka różnica między uczycielką a Śonko! Jak brzoza przy stogu! Różga przy kopicy! Jak konopka, konopielka i jak kapusta. Aś się widzi, co by było, jakby tak ja Handzia wpół złapała swoimi renkami: toś mogłaby nie wywijać jak snopkiem konopiow, jak gałęzie, jak grabiami!

Ładny pokój, podlizuje się uczycielka A poduszkę z okna chyba wyjmemy: dopóki szyby nie ma, moś dykto zasłonić? Dunaj przyrzekają, Śe Kozak to zrobi. I moś juś pani się rozgaszczać. Wynieś, Handzia, trochu poduszkow, przysposób łóŚko' do spania. A ty, Kaziuk, chodź na stronę. Wyszli my do sieni.

Najtrudniejsza sprawa ze sraniem, mówio Dunaj po cichu. Dzie ona 'chodzić będzie? Toś

nie za stodołę!

A cóŚ takiego?

Y, jakoś nie wypada, Śeb urzędniczka dópe na wiater wystawiała.

Przyzwyczajai sie. A u was dzisiaj dzie chodziła?

Do świńskiego chlewa.

ToŚ i u mnie chlew jest.

Ale przydałby sie specjalny budynecek.

E, nie bede deskow marnował na czyjeś wydumki. Jak jej w chlewie kiepsko, niechaj kroi do waliski!

Wracamy sie do chaty, a ona akurat te waliske odmyka, rzeczy z waliski wyjmuje i z plecaka, i po chacie rozkłada. Stajem przy drzwiach, tato, Dunaj, Dunaicha, Handzia, ja, Szymon i dzieci, patrzym.

Wyjęła najsampierw papierowe torebkę i nam podsunęła, częstuje, biore i ja cukierek czarniawy, lepki, słodki, w samym środku trochu gęstej marmuladki. Smoktawszy, patrzym co będzie.

Wyciąga ona z torby koszule w paski i nogawki, tak, nogawki teŚ w paski. Sfeter. A potem jakieś pudełeczka i słoiczki, szczoteczki na trzoneczkach, pantofelki i gumiane boty z cholewkami.

A z waliski wyjmuje papugę koszulow, majtków, bluzkow, z sześć ksiąŚki i kajety. A wszystko to rozkłada na ławie, stole, kufierku. W końcu odwijaj ze szmaty zy-gareczek, nie większy od kułaka, zygarek ten nakręca, wskazówki nastawia: naraz dzwoni on drobnym dzwonieniem!

O, dzwoni, chwało Szymon, ale półgębkiem, bo cukierka w gębie obracajo, a Dunaj tołkuje nam, Śe to budzik: nastawiasz na jake chcesz porę i sam tobie dzwoni. Chcesz rano, zadzwoni rano, chcesz w nocy, zadzwoni w nocy.

To co, będzie noco wstawać, pytam sie, choroba niedobrze, naftę będzie wypalała. A Dunaicha rozczulajo sie nad nio jak nad sierotko: Pani pewno jeść juŚ chce? Tak, tak, na pewno panienka zgłodniała, moŚe Handzia przyszykujesz co prętkiego? MoŚe jajeczni?

E, na co smaŚyć, jajka najlepsze syrowe, doradzajo tato, a cukierek oblizuje jak kot patelnie.

A dzie tam syrowe! SmaŚ, rozkazuje Dunaj, hojne, bo z cudzych jajkow ta jajecznia: Jajeczni niech sobie panienka zje, a co, nalatała sie! Jajecznie smaŚcie! Handzia smaŚyć poszła, a my patrzym, co uczycielka jeszcze ma.

Atramenty miała w buteleczkach, ołówki i obsadki, poustawiała ich na stole jedne przy drugich, tata tak ciągnęło oglądnoć to z bliska, Śe aŚ za kuferek zawendrowali: A panienka ni majo takiej kręcawki, co jak zakręcić, to jedno wylatuje, a drugie z boku naskakuje i brum! stukaj o sie i sie błyska? pytaj o sie mlaskawszy nad cukierkiem. Ona mówi, Śe nima takiej kręcawki. Tato chwało sie: A w SuraŚu jedna pani miała. Ale ona nie wyszła za mąŚ, bo chciała do klasztoru. A jej tatko

rower miał, uczył się na nim jeździć, uczył się, uczył, aś wzięli i ukradli jemu te maszyny!

Nie znała ich panienka?

Oj, nie zawracajcie pani dopy, obsztorcowali Dunaicha, ploto, ploto, a pani pewno potrzebuje do pokoju jakieś wiadro z wodą i miskę? Nie zapomnij, Kaziuk, wyszykować pani jakiś

czystszy skopek. A ty, Handzia, co ty, jajecznic w patelni dajesz? Na miskę raz dwa przesyp i nie łyśkę, nie łyśkę dawaj, widelca poszukaj! Ni masz, to pośyczę.

Ale tatko dobrze pamiętali, dzie nasz widelec leśy: Jest jest, na policy koło kubka z mączko! Handzia nic nie powiedziała, tylko pogroziła im palcem, juś oni wiedzo za co, przyniosła widelec, miskę, powycierała jedno i drugie fartuchiem, jajecznic przesypała do miski, a sama stanęła z boku, popatrzeć na jedzenie tego. My tak samo rozsiadamy się, kto na ławie, kto na kuferku, dzieci na progu, Szymon na kuśtyku.

Usiadła przy obrusie, chleba ukroiła sobie nie skibkę, ale listek i trzyma w dwóch palcach przed sobą, jakby pokazywała co trzyma. I widelec ściska leciutko i zgrabnie i robi tak: skosem ucina trochę jajeczni, nabiera, niesie widelcem i pac! ni to wrzuca do środka, ni zgarnia językiem, przedziusko, leciusko. Teraz łypy zacisnąwszy, śuje, a prześuje, to chlebem zakąsi. Chleb śuwszy opuszcza widelec do miski, ale jeszcze nim nie dziobie: dośuwa, a widelec sobie czeka w misce, ona w tym-czasie popatruje po ścianie, po szlaczku, co leci pod sufitem, kogutki tam namalowane i róśyczki. Potem znowuś jajeczni łyknie, śuje, prześuwszy popatruje to na Matkeboske, to na makatkę z gołombkami. Jadła tak, jadła, wtem na nas spojrzła i jak nie buchnie śmiechem! No to i my się z nią śmiejemy, bo ładnie się roześmiała, wesoło. Wyśmiawszy się, patrzymy sobie dalej, ona juś nie rozgląda się, tylko w miskę patrzy. Nareszcie kładzie widelec, powiada dziękuję, wstaje. Zaraz podchodzi Handzia po miskę: A co, dziwi się, nie smakowało? Smakowało, bardzo smakowało, ale najadłam się, mówi ona. Handzia niesie miskę zapiecz, my za nią, patrzymy: z pół

jajka niezje-dzone! I czemu? Czy kto widział kiedy takiego, co by wszystkiej jajeczni nie zjadł!

Kartofli, bywa, nie zje się do końca, kapusty bywa, zostanie, czasem i śuru nagotuje śle za duśo.

Ale jajeczni, ludkowie, czy komu kiedy było za duśo jajeczni!

A mośe ona, uczycielka, jaka chora? Mośe się za co obraziła? Mośe jakiego robaka znalazła zapieczzonego i zbrzydziło ją? Obraca Handzia jajecznic na drugą stronę: nie, nic hadkiego nie widać. A mośe przesolona? pytają się cicho Dunaicha. Próbuję: dzie tam! dobra, tylko jeść i z palców zlizywać!

Jak jej ta jajecznia nie smakuje, to czymśesz, do choroby, bedziem my ją karmić, pytam się Dunajów. Nie boję, pocieszają Dunaicha, przyzwyczajają się do was, wy do niej.

Uczycielka wchodzi zapiece: znowuś w paltosiku z kapuzą, kajet w rękę ma i obsadkę: To co, panie Dunaj, ruszamy po chatach stódentów spisywać? Ty, Ziutek, teś będziesz chodził do szkoły, mówi, głaskawszy chłopca po włosach. I wychodzę z chaty, Kuśtyli z nimi.

Nareszcie my sami w domu, bo cały dzień ruch był jak na weselu. Patrzymy się, ja na Handzie i tata, tato na nas, Handzia na mnie, patrzymy się i czegoś straszno się robi. A już ciemnowo w chacie.

Tak, straszno. Wszystko niby jak było: piec ten sam, sagany, stołki te same, dzieci te same, niby tak samo, a jakoś inaczej! Nasza chata, a trochę jakby nie nasza! Słysząc zygarek za drzwiami: straszno, nikogo tam nima, a on cyka, jak Śywy. Jak jaki zwierzątek!

Śeb ona jakiego nieszczęścia nie przyniosła, powiadają wreszcie tato. A Handzia: E, taka cieniutka?

Sto złotych za miesiąc, pocieszam. A tu zaszamotało się w słomie i co się nie robi: cielak wstaje na nogi! Wstał i zaraz bach gębo w słomę.

Ale nic, znowuś próbuje: mocuje się, podryguje, stęka, i co widzimy: dŚwignął się jakoś!

Przednimi nogami stoi, zadnimi siedzi, jak pies. Jak wilk. Tylko brakuje, Śeb mordę zader i zaczął wyc do pułapu.

Co za dni się zaczęli, jakie wieczory! Prawie jej nie było, niby tylko na obiad zachodziła i spać, ale wkoło niej kręciło się wszystko w domu. Niby my nad nią nie skakali, toŚ nie królewna ona, nie panna młoda na weselu, ale na to wychodziło, Śe ona w chacie najwaŚniejsza: nie ja, gospodarz, nie Handzia, nie tatko, tylko ona, przyczepka. Ale teŚ, prawdę powiedziawszy, wszystko co robiła, ciekawe było:

ciekawilo, jak myje się, kiedy mówi pacierz, czy umie prząć, czemu nie smakowała jej zacierka z brukwie, co powie na kluski z makiem, czemu kłustych skwarków nie je, czym glansuje trzewiki, co znaczy słówko: -w buszu, całkiem jak w buszu, tak powiedziała, ciekawilo teŚ, ile razy chodzi do chlewka, jak często myje skarpiety, co za lekarstwo łyka, ile majtków ma. Już

pierwszego ranka przecknął się ja inaczej, nie-było wygrzewania się, czochrania, wysiadania: od razu oczy odmykam, od razu myśl: czy ona śpi? Nasłuchuje: cicho za drzwiami, pewno śpi, ciekawe jak teŚ taka śpi? Na boku? Na plecach? A moŚe na brzuchu, młode dziewczęta lubieją na brzuchu, się widywało. Choć ona nie taka młodziutka jak wygląda, ho ho, Dunaj mówio, Śe dwadzieścia i pięć, choroba, toŚ to prawie tyle, co moja Handzia. Tyle lat, do tego miastowa, e, niemało musiała spróbować. Prawda Śe na delikatne wygląda, nienaruszone. Ale jak to się, łasica, przegina idący! E, widać wyginali już j o w róŚne strony. Nu, trzeba powiedzieć na jej obronę, Śe taka wysoka cienka nie moŚe nie przeginać się, toŚ talja jej się łamie. Ale czy jej tam nie zimno samiutkiej? Bo mnie tutaj przy Handzi ui, gorąco, ciekawe, skąd te baby tyle Śaru majo, czy nie z brzucha? Tak, na pewno w tych ich brzuchach się ono, gorąco, kłębi.

Szturcham Handzie, Śe czas: trzeba mleka nadoić, zaparzyć, wody ciepłej zagrzać do mycia. I Handzia budzi się prętko, nie maŚe się w pościeli, raz dwa sukienkę naciąga, kaftany, ona teŚ wie.

Prawdę powiedziawszy nie bardzo chciało się mnie tego rana w stodole robić. Pokręcił się ja trochę po gumnie, krowam dał, kuram sypnął, cep poprawił, bo się gązwa obluźowała, ale młócić nie zaczął: wracam się do chaty, siadam koło pieca, czekam co będzie.

Na dworze rozwidniło się prawie całkiem, woda do mycia ze dwa razy zdążyła ostygnąć, mleko gorące czekało na płycie, w sagankach dochodzili kartofli świniom. Nareszcie zadzwoniło!

Zadzwoniło i zaraz zatrzeszczało łósko. Chwilka jeszcze i wysowa się z drzwiów głowa poczochna czarna, słyszym: Dzień dobry, o, już wszyscy na nogach! Poproszę trochę ciepłej wody, paniu Haniu!

Dzieńdobry, mówi Handzia i na brzuchu saganek z wodą niesie za dwa ucha. Siadam przy cielaku z ceberkiem, głowę jego wtykam w mleko, poje, ale wszystko słysze: jak tam ona pluska w kopańce, chodzi, pośpiewuje, pije mleko. Może maczki dać do chleba, pyta się Handzia, a ona nie, dziękuję, wolę bez.

A potem, już w tej kurtce z kapuzo, z kajetem pod pachy, grzawszy ręce przed popielnikiem mówi, że dziś będzie dalej spisywać dzieci do szkoły. A ciebie, Zutek od razu zapisze, i kajet rozpościera, obsadkę rosłada:

Józef jesteś, a jak dalej? No, pochwal się.

Kaziukow, mówi chłopiec i oczy rękami zasłania.

Kazimierz, to twój tato. Ale ty masz i nazwisko. No, jak?

Handzia pogania: Nu gadaj! Toś wiesz!

Kirelejson, on na to, a my w śmiech: Kirelejsonami przezywa ją w wiosce nas i Michałów za tata, bo takie ich przymówisko. A ona: Kirelejsony to wasz przydomek wioskowy? A nazwisko?

Prawdziwe nazwisko? Ba, a jak dalej? No? Bar?

Bartoszko! nie wytrzymuje Handzia, tato przeciwko się zaras: Wcale nie! To tylko mówi się Bartoszko. A naprawdę jest Bartosz. Mój tato nazywali się Bartosz, Stanisław Bartosz!

Uczycielka do mnie się obraca, pyta jak ksiądz zapisał nas przy ślubie? Bartosz czy Bartoszko?

Zdaje się Bartosz. A mnie się zdaje, że Bartoszko, przypomina Handzia: Bartoszko Kazmier i Hanna.

A śladnych dokumentów pan nie ma? pyta się uczycielka. Ja wstaje, idę na chatę, jakieś

papiery leżały za Matkobosko, między nimi paszport, grubszy, twardziejszy z pieczętko, dali to jak do wojska brali: nie wzięli, bo coś im moje nogi nie pasowali.

Daje jej te papiery i ten z pieczętko, ona pod okno niesie, czyta, czyta.

Bartoszewicz! ogłasza.

A dzie tam! złość się tato: Bartoszewicze syjo w Surażu. A w Taplarach Bartosze!



Najbardziej zdziwiło Handzie. Śmiać się zaczęła: Bartosiewicz hahaha, patrzajcie, Kazimierz, tyle lat z nim Œyła, myślała, Œe z Kaźmierem, a on Kazimierz. I to Bartosiewicz! To ja Bartosiewicz Hanna? Ha, ha, ha, patrzajcie:

Bartosiewicz!

Bartoszewicz, poprawia uczycielka i zapisuje: Bartoszewicz Jozef! Zapamiętaj, Ziutek.

No, powtórz.

Ale dzie tam on powie, beksa! Płacze czegoś koło łóŒka, a czego sam czort nie wie. I na cóŒ

takiego zapisywać, mówie, nie szkoda to paninego czasu i kajeta na take Œabę? Ale ona widać serca miętkiego: głaszcze chłopca, pociesza, Œe bardzo miły chłopczyk, i będzie dobrym uczniem.

A drogo to będzie, ta szkoła?

Tyle co na książkę, zeszyty, ołówki. Ze sto złotych wszystkiego.

A nie dałoby się po znajomości wykręcić jego cd tej szkoły?

Ona śmieje się: Oho, po znajomości to się jeszcze dokręci! Dokręci się, Œeby chodził.

A czy to jemu potrzebne do czegoś to czytanie i pisanie, pytamy się: Tato nie umiej o, Handzia nie umie, ja nie umiem, a Chwała Bogu, Œyjem po chrześcijańsku.

Ale słyszym: i na was przyjdzie pora, moŒe juŒ za rok. Zapewniam panią, paniu Haniu, jak zacznie pani czytać książki i gazety, innymi oczami pani świat zobaczy. Handzia kręci głowo: A Broń BoŒe! Na co mnie oczy zmieniać, jak ja nimi prawie trzydzieście lat patrze i widze wszystko jak trzeba!

Dobrze, pogadamy kiedy wieczorem, teraz lecę do sołtysa, powiada ona z drzwi, a obiad proszę koło pierwszej, dobrze?

Uszykowała jej Handzia jak było umówione: kartofli, do tego kapusty kiszonej z cybulo pokrajano i olejem. Ale słońko przeszło na drugie stronę sokora, obiadowa pora minęła, uczycielki nima i nima, wszystko ostygło. AŒ przylatuje! Akurat Handzia spuszczała do ładyszki mieko z cycków: Co pani robi! przstraszyła się i patrzy jak urzeczona.

Mleko spuszczam, bo cycki bolo, mówi Handzia. I co z nim potem?

At, cielakowi będzie.

Ona stoi, stoi, nie mówi, nie rusza się, patrzy jak Handzia się nagniała. To ono nawet nie dzieciom, pyta się w końcu.

Dzieciom nie moŒno, bo znowuś płakalib nocami. Niech pani rozdziewa się, jeść zaraz podam, juŒ to kończę.

Trzy dniu później Ziutek poszedł do tej szkoły! Nie było jego prawie do obiadu. Ja polana rąbał i co raz naglądał, czy nie idzie. Pokazał się na drodze z Jurczakowymi dzieciarni: stanęli w koło i oglądają o coś pilnie, o coś sprzeczą się, rozpychają. Wołam mojego. Idzie, a taki ważny jakby kiełbasę jadł albo masło widział, Handzianymi klompami postukuje po zmarzlinie, poły serdaka rozwianie, nadęty jak wójt. No, no! Siekiere wstromlam w pień, wołani tego wójta, niech pokaże, co ma.

Podaje ksiązkę. Przeglądam, litery i litery, literow jak mrowia, aj ponawypisywali tego! A między literami obrazki: dziewczynka z psem, domek, kogut. Lalka. Jabłoń. A wszystko prawdziwe. Nawet wóz narysowali: na wozie furman, w hołoblach konik bardzo zgrabny, tyle że w hołoblach bez dуги, za Surašem tak jeżdżą, na szlachcie. I duży budynek, okna rzędami jedno nad drugim, dołem. Auto jedzie, jak te co na Boże Ciało kurę rozjechało w Surażu. Ale w Surażu domy tylko z jednym piętrem.

Podaje Ziutek kajet, mówi: Zeszyt. Kajet, poprawiam. Nie, zeszyt, upiera się. Zeszyt? U

Grzegora było to kajet, ołówkiem zapisywał w tym, kiedy krowy bydłowali, świni lochali się, prosili, Domin podśmiewali, że pewno dzieci robi tym ołówkiem, bo bez skutku.

Taki sobie graniasty patyczek, prosty jak strzała. Zaostrzony. Kolor zielony, literki na nim białe. Przyjemny w oglądaniu, przyjemny w trzymaniu.

Ładny, mówię, ładna rzecz, miastowa. Oni w chfabrykach ładnie robio, niejeden stolarz tak nie robi. To pisać tym będziesz?

Aha!

Toś ty nie umiesz!

Pani mówiła, że za zimę nauczy.

Za zimę? Zdziwiło mnie, że tak prędko smurciel będzie uczony. Jako za zimę?

Mówiła, że za zimę. I smurciel po zeszycie niby pisze, wodzi po liniijkach, ale tępo strono.

Daje mnie zeszyt i ołówek: Napiszcie latu.

Nie można psuć kajeta.

To po desce.

Szkoda ołówka.

To patykami, po ziemi.

Spodobało mnie się, że będę pisał. Bierę patyk, walonkiem wygładzam ziemię i pisze. Pisze sobie różne litery, jak Grzegor pisał, okrągłe, kanciaste, rozgałęziane, zawijane, podkręcywane, z kropkami, kreskami, krzyżkami. A smurciel się patrzy z góry, a głowo kręci, że tak prętko ja pisze.

To walonkiem wygładzam jeszcze kawał gumna i pisze litery jeszcze bardziej rozgałęzione.

A co tu napisane, pyta sie. On sie pyta, co tu napisane! Ho ho! Tu jest duŜo napisane, same waŜne rzeczy tu napisane, byle czego sie nie pisze. Pisanie to nie gadanie.

Tu jest napisane, opowiadani z wysoka, patykiem pokazuje chłopcowi, napisane tak: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Nazywam sie Kaźmierz Bartosiewicz. Tato nazywajo sie Jozef. ŝonka nazywa sie Hanna! Smurgiel dopomina sie, co o nim napisane.

Czekaj, mówie, napiszem coś i o tobie. Aha Mój pierwszy syn nazywa sie Jozef, tak samo jak dziadko. Ten syn Jozef jest bardzo leniwy, nie chce pomagać.

Nie tatu, nie, przestraszył sie, tu napisane, Ŝe ja robotny! Czy ja polanow nie nosze? Nie podkładam do piecy? Czy nie grabie siana, nie Ŝniwuje? I w bek!

Widze, chłopiec przestraszył sie bardzo, Ŝe kiepsko o nim napisane. Nu juŜ dobrze, dobrze, pocieszam, napiszem tak: Ziutek to dobry chłopiec, posłuszny, do roboty chętny, ale za łakomy!

Wszystko by zjad!

Oj, nie, nie! Niełakomy ja, niełakomy! Boi sie, widze, a niech sie trochu poboï, bardzo dobrze, będzie lepszy. Tylko Ŝe on juŜ prawie płacze, no no, Ŝe tak to sie boï pisanego! A, starczy strachu, pochwale: czytam ja, Ŝe chłopiec z niego dobry, wszystko zje, czy to kraszone, czy z postem. Ucieszył sie, pyta sie co tu napisane o naszej kobyle.

Siwka jest bardzo dobra kobyła, nie narowista, czytam.

A wy co robicie! słyszym. To Handzia, cicho z tyłu zaszła, Ŝe i nie zobaczyli, po polanka przyszła: Co ty Kaziuk czarujesz!

Tato nas opisali, mówi chłopiec. Handzia oczy na mnie wyraczyła: AboŜ ty pisać umiesz?

To Ziutek tłumaczy, Ŝe wszystko tu opisane! On, dziadko, mama, Siwka. Ona obchodzi wkoło moje litery, przygląda sie, o, innymi oczami teraz na mnie popatruje. Naprawdę? Ja tu opisana? Ja? A rowki na ziemi trochu juŜ przyschli i stracili wygląd, to walonkiem wygładzam nowe pleche zmarzniętego i dalej pisze, litery ido mnie teraz bardzo prętko, a rozgałęzione jak raki, jak kwiatki, jak pajenczyny.

No no? I co tu napisane? ciekawi sie Handzia.

Nic nie mówie, na razie sie pisze, nie czyta, Grzegor nie gadał jak pisał. AŜ jak napisał, odstawił kajet na całe rękę i czytał. Przeczytawszy pisał dalej. To i ja pisze, pisze. Jak sie zapisało całe gładzizne, tłumacze im, Ŝeby wiedzieli:

Krowy nazywajo sie Raba i Mećka. Suka Muszka. Dzieci młodsze Stasia i Władzia, Jadzia umarła. Zimy so zimne, lata gorące. W rzece so ryby. W lesie brzozy. Słońce wschodzi i zachodzi.

Ojej, wschodzi i zachodzi! dziwi sie Handzia. Patrzajcie no, wszystko prawda!

Tatu, a niech tato przeczytajo z ksiąŜki, prosi smurciel i ksiąŜkę daje. Jeszcze raz przeglądam: dziewczynka, pies, domek, koń z wozem, auto. Czemu nie, mógłby ja im poczytać o tym aucie co w SuraŜu kurę rozjechało. Ale jakoś nie wypada, litery te jakieś takie nie moje, w rządkach.

Z tej ksiąŜki nie umiem czytać, mówie im, to inaksze litery, szkolne.

Handzia bierze pooglądać: przekłada kartkę po kartce, o, takie makatkę wyhaftuje!

Pokazuje nam bardzo ładny obrazek: dziewczynka w środku, tato i mama trzymajo za ręce, z boku piesek skacze.

Wyhaftujcie, wyhaftujcie mammo! cieszy sie chłopiec i pod spodem litery pokazuje. Ale z tymi literami! Z literami.

A pewnie Œe z literami! mówi Handzia i za polana sie bierze. Nabrała brzemię, poszli. Na obiad uczycielka zachodziła krótko, prętko jadła, leciała, i nie było jej do późna, przychodziła jak dzieci juŜ spali, ja teŜ nieraz pod pierzyno leŜał, tylko Handzia czekała, Œeb podać jej mleko.

Wypije po cichu, a umywszy sie, abo ksiąŜkę czyta, abo spać idzie, prawdę powiedziawszy, to sie z nio prawie nie gadało. I tak wszystkie dni mijali, kromie niedziel.

JuŜ w pierwsze niedziele zegarek nie zadzwonił, spała i spała, nie wstydzivszy sie słonka, dawno było po śniadaniu, Handzia dzieci pomyła, koszuli nam pomieniała, przymiotła, ja cielaka napoiwszy, ogolił sie, umył i siedział na stołku koło popielnika, tatko po swojemu na zamiecie kości podgrzewali, ot, gadało sie półcisziem o tym dziadu co u Grzegorychi zadomowił sie całkiem, Œpi tam, Œyje, pomaga w robocie.

Handzia rozsiadła sie na łóŜku: wyczesawszy sobie włosy, zaplotszy w czepek, dzieci iska, to tego, to tamtego, bo cisno sie z głowami, wiadomo, iskanie.

AŜ pod obiad dŜwi brzdęk, ona wchodzi: w nogawicach w paski i w paski kaftanie, a widać

Ŝe na gołe ciało odziana, nawet bez stanika, czubki cycków sie zaznaczajo, i siada przy ta-tu na murku, rozespiana, leniwa, oczy mruŜy, rękami sie po twarzy maŜe, poziewuje.

A co to pani Handzia takiego ładnego śpiewała rano, pyta sie. Bardzo ładne, jakoś tak. I nuci, jak. Handzia dziwi sie: Ach, to nie wie pani? Zaaacznijsze wargi nasze chwalić pannę

świętooo! Zacznijsze opowiadać cześć jej niepojentooo! ToŜ to godzinki.

Wyobraźcie sobie, opowiada ona, troche sie ocknęłam i słysze to śpiewanie, myślę, co to, radjo? Ale zobaczyłam sufit i domyśliłam sie, gdzie jestem. PrzecieŜ tu nie ma radja! Tak, bardzo ładnie pani śpiewała.

A Handzia ciągnie dalej: Przybądź nam miłościwa pani kupomocyyy, a wyrwij nas spoteŜnych

nieprzyjaciół mocyyy! A ty sie nie kręć, sztorcuje Stasie, Śe głowę z podołka wykręca: Chcesz patrzeć na panie, to siadaj i patrzaj. Abo patrzanie, abo iskanie!

Stasia na nowo wciska mordkę w brzuch, Władkowi odepchnąć sie nie daje. A Handzia włoski szybko palcami rozdziela i co tylko wesz znajdzie, to pstryk paznokciami, pstryk! rozdusza, oj dzieci lubio to strasznie. I nie tylko dzieci.

I ja w podłogę patrzywszy, od czasu do czasu spoglądawszy na uczycielke, takie rozespiane, leniwe, rozczochrane, poczuł ochotę, Śeby jo iskać. Niechby połoŚyła głowę mnie na kolana, ech!

Cycki sie wpierajo między moje nogi, twarz w pachwiny, a ja wpuszczam palcy w te kręcące sie włosy i rozgarniam ich w ścieŚkę, w białe, a moŚe niebieskawe, ciekawe jaka skóra, ech, rozgarniam włosy i popatruje, czy na tej ścieŚeczce wesz nie przycupnęła. A jakŚe, znajduje weszke, ale oho, to nie Śadne czarne wszystko, ale weszka delikatna jak serwetka, bieluśka, pazurki ma jak frędzelki. I te weszke biore między paznogci i pstryk! weszka pęka, krew pryska jak mgiełka, perfuma, a ona aŚ sie wciska mocniej z przyjemności, aŚ nie dycha. A ja smyk smyk palcami, szukam nowej Śywioly.

A dokąd do kościoła chodzicie, pyta sie ona. Opowiadamy, ze prawie nie chodzimy. Oto, czasem, na pasterke, w Gody, czasem i na Wielkanoc, jak lody utrzymajo. Bo po wodzie nie dojechać. A Pana Boga moŚno chwalić i w stodole, mówio tato, kiedyś ludzi całkiem nie umieli pacierzow, a poboŚnie Śyli. AŚ im czort księdza nasłał, nu i dowiedzieli sie co to grzech, co pacierz i zaczęli sie kościoły, procesji, ołtarzy. Handzia ich ofuknęła: Co wy, księdzow z czortami mieszacie?

Oj, czego krzyczysz, ja ot, tak sobie, aby tego, a ty wrz, wrz! Mowie, co kiedyś siwy Orel opowiadał.

A pani chce do kościoła i sie martwi, Śe daleko? domyśla sie Handzia: To moŚe pani z nami róŚaniec zmówi? Cało rodzino mowim, jak w kościele. Co? Ona na to, Śe dobrze, zmówi z nami.

Stasie wyiskawszy, bierze Handzia na kolana Władka. A ja widze, Śe ten kaftan i te nogawicy na pewno odziane na gołe ciało, klapki rozchyliłi sie i duŚo skóry widać, a nawet miejsce, gdzie zaczynaj o sie cycki, ta rozpadlinka. A kolana tak rozstawiła, Śe nic tylko głowę połoŚyć, niechby ona iskała. I juŚ widze, jak głowa moja leŚy u niej w podołku, w pachwiny wciśnięta, a ona mnie iska białymi palcami. A palcy cienkie i sprytne, wślizguje sie we włosy, przemykaj o sie jak wenŚe, a takie czujne, Śe same, bez patrzenia namacajo kaŚde wesz. Bo i nie so to jakieś tam weszki gnidki, weszki pyłki, ale kaŚda duŚa, tłusta, orełska: wesz gęś, wesz krowa! A jak i&ke stonogę

weźmie ona między paznogiećki, to ho ho, trzask taki, jak z purchawki pięto strzelić, a krew to jej pół palców zalewa! I znowuś palcy smyk smyk: strupa znajdo zeschniętego, złuszczo. Kłoska, wyskubio. Nowe wesz, rozduszo. Ech, Handzia dobrze iska, ale uczycielki iskanie, to musi być

iskanie!

A wy dziadku ile lat macie, pyta sie ona. Siedymdziesiąt?

E; więcej! chwało sie tato: Nie rachuje, ale po paznogciach widze, Śe więcej, w nogi powrastali. Sta

nimam, bo sie śmierć mnie jeszcze nie kłaniała: jak człowiek sta dośywa, Śmierć

przychodzi, kłania sie i pyta: brać was, czy chcecie Śyc dalej? Bo nad takim śmierć juŚ władzy nima, taki moŚe Śyc ile chce, ona przyjdzie tylko, jak sie jo zawoła.

E tam, bajki bajecie, na to Handzia, nikt nie moŚe wiedzieć, kiedy umrze. A tato: Ale kiedyś ludzi wiedzieli wszystko o swojej śmierci, kiedy umrzo, dzie, jak. AŚ raz Pambóg szed, a za dziada był przybrany i widzi, człowiek łata płot słomo! Zdziwił sie Pambóg: czemu ty nie łatasz płota łozino, Jak Bóg Przykazał, pyta sie, toŚ tobie słoma raz dwa zgnije! A ten człowiek mówi tak: A co ja mam za łożo chodzić, jak ja i tak w druge środe bekne. Zezłościł sie Pambóg: O, nie, bekniesz czy nie bekniesz, ale gównianej roboty ja nie lubie. I zrobił tak, Śe ludzi nie wiedzo, kiedy umrzo, i pracujo sprawiedliwie. Tak. A panienki ociec matka Śyjo?

śyjo.

Urzendniki?

Nie bardzo. Ojciec kierowco jest, no, szoferem. Autobusem jeździ.

I nie boi sie?

Nie. A mama w fabryce pracuje, w tkalni.

No, no? I co tam tkajo w tej tkalni?

Materiały na ubrania i sukienki.

Ale to maszynami?

Oczywiście.

Oczywiście? Ho, ho! WaŚnych ojca matkę panienka ma, pańska rodzina. To krów nie trzymacie?

Nie mamy ziemi.

A, to juŚ terez wiadomo, czemu panienka taka cienka w sobie. To niechaj u nas je duŚo kartoflow, to sie rozbendzie. A w mieście był ja kiedyś na Jana. Straszny targ, jak dziesięć

suraskich. Miastowe Śuliki obcięli mnie wtedy chwosta.

Nie wam, tylko waszej kobyle, poprawia Handzia.

ToŚ mowie, obcięli chwosta mojej kobyle.

A czy w tem białym kościele ta większa wieŚa juŚ dobudowana?

Nie, jest jak było, tylko ta mniejsza.

O, i ona strasznie wysoka! Gada j o, Œe jak z niej wyskoczyć, to sie leci juŒ nie na ziemie ale do nieba! A podobno dzieŒ koło stacji jest takie miejsce, Œe dołem jado pociągi, góro samochody, czyŒ to prawda?

Tak, wjadukt koło dworca.

Dołem pociągi, góro samochody! słyszysz Handzia? A tego człowieka, co chodzi w czapce z dzwoneczkami, zna?

Znam, znam. Ma dzwoneczki na czapce i woła: komu terpentyny! Komu terpentyny!

To ten! Mówio, Œe on bardzo uczony i od nauki sfiksował, prawda?

Tego nie wiem.

To moŒe i NatoŒnikowego Stacha zna, pyta sie Handzia, on teŒ w Białymstoku. Nie zna? W budce stoi, piwo sprzedaje?

Chyba nie znam, budek w mieŒcie duŒo.

E, jego to na pewno zna: ma dwa złote zęby na przedzie.

Nie przypominam sobie.

Mieszkanie ma takie, Œe opowiadajo, woda sama leci. Pan teras z niego, w kapelusie chodzi. A do Taplarow całkiem nie zagłąda. Œenił sie i nikogo, nawet matki nie zaprosił. Wyrodził sie.

Pogadawszy, dzieci wyiskawszy, Handzia do garkow sie bierze. W jednym ciepła woda czeka, w drugim kapusta i zacierka pod przykrywko. Z komórki przynosi miskę z masłem, bo sie w subote zbiło w tłuczce trochu Œmietany. Uczycielka umyła sie, odziała, a pojadszy chce iŒć do Dunaja, ale Handzia przypomina, Œe w te porę wszędzie po chatach róŒaniec mówiono: niechaj odczeka póki zmówio, abo jak chce z nami klęka.

Jak róŒaniec, to róŒaniec. Wołam Ziutka z drogi, bo buszował z rówieŒnikami: krąŒek kaczali jedne przeciw drugim, kto kogo przetoczy, a po grudzie daleko sie toczy, dobrze podskakuje. I klękamy. Handzia piersza, na przedzie, z róŒańcem w palcach, dzieci za nio, tato przy piecy, ja koło okna, uczycielka trochu z boku, koło popielnika, dzie ja przedtem siedział: na stołku łokciami sie podperła, popatruje w węgli.

Handzia zaczyna: Ojcze nasz, któryŒ jest w niebiesiech.

Dołączamy sie. Ojczenasz kończym, wchodzim w ZdrowaŒ, ze ZdrowaŒ w Wierze w Boga Ojca, z Wierze w Dziesięcioro Przykazań. A potem juŒ zdrowaŒ idzie za zdrowaŒ, Handzia kaŒde słowo wyraźnie księduje, my za nio poburkujem, pojękujem: dziesiątkę odliczy na róŒańcu, puszcza ostatni

paciorek, mówi Chwała ojcu, synowi, duchowi świętemu, a my: Jak Było Na Początku, Teraz i Zawsze i Na Wieki Wieków, Amen.

I znowuś ojcie nasz i zdrowaśki zaczyna, jakby nowy dziesiątek stawiać zaczynała: zdrowaś do zdrowaś, jak snopek do snopka, chwała ojcu przykryć i zaczynać nowy. Abo jakby sie trawę kosiło: zdrowaśkami pociachać, pociachać, potem chwała ojcu kose postrzyć i zaczynać

nowy przekos.

W chacie niedzielnie, ale i na dworze inaczej niż co dnia: niedzielne powietrze zawsze jaśniejsze, łyskliwsze. Gumna cichsze, bo Święwinie lepiej dano, nie ryczy, stodoły odpoczywa-jo od cepa. Wrony śpio sobie na sokorach, a obudziwszy sie leco pomalej, cięśej. Za jacy śmieiej chodzo w oziminę, kica j o bezpieczniej, parami sie zmawiaj o, abo i całemi familjami, kuropatwy suno broźnami pod same chaty i stodoły, mało sie bojo, musi wiedzo, że w chatach różaniec sie odprawia. Niedziela, święto. Choćby ja dniow nie liczył, dajmy na to niech mnie kto raptem zbudzi: od razu poznam, czy budzień, czy święto. Po czym, nie wiem. Ręce i nogi same wiedzo, że dziś

robić nie bedo. Ogień w piecu ładniej pali sie. Kapusta słonino pachnie. Krowy senniejsze, kobyła przymilniejsza, świni nie takie nachalne. Nie mówiwszy o kurach, które w święta dłuśej śpio, o kotach, że dłuśej sie my j o, o babach, że od rana podśpiewuje przy piecach. Uczycielka parę

cieńszych polankow na węgli cicho położyła i sie przygląda, jak sie pało, brodę łokciami podperła, pomrukuje z nami. Handzia zmęczyła sie klęczyć na wyprosi, na pięty sie obsuwa. Ziutek kręci sie, chciałby prędzej odmawiać, naciska, ale coś jego głosik przy Handzinym, tatowym, moim. A spokojnie mówim, nie pomału, ale i nieprędko. Jakby szło sie za bronami, za pługiem: za prętko niedobrze, za pomału niedobrze, najlepiej w sam raz.

Tak do litanii doszlim. Ucichli my, Handzia sama:

Kirelejson, Krystelejson, kirelejson! Kryste usłysznas, Kryste wysłucha j nas!

Ojczezniebaboże!

A my jednym głosem: Zmiłuj sie nad nami!

Synu odkupicielu świata Boże.

Zmiłuj sie nad nami!

Duchu święty Boże.

Zmiłuj sie nad nami!

Święta Trójco jedyny Boże.

Zmiłujcie nad nami, odpowiadamy po raz ostatni, teraz odpowiemy co innego. Ona mówi: Święta Marjo, a my:



Módsiezanami!

Święta BoŜa Rodzicielko.

Módsiezanami!

Święta Panno nad Pannami.

Módsiezanami!

Uczycielka rozmodliła sie, na łokciach sie wozi, w przód, w tył. Matko niepokalana, mówi Handzia, a uczycielka odgina sie do tyłu, i zaraz wprzód sie kłoniwszy: Módsiezanami!

Matko nienaruszona.

Módsiezanami!

I tak kiwa sie, tam i nazad, tam i nazad, rozmodlona, w węgli zapatrzona. Jakby belkę

piłowała, stojawszy na wierzchu, na kobyłkach: to puszcza piłe do dołu, to ciągnie do góry, tam i nazad, tam i nazad. Jakby Ŝyto siała' to odwodzi ręce, to posiewa. Tak samo i kosi sie: odwodzi kose w prawo i ciach w lewo rękami, tam i nazad, tam i nazad: tam trawa chórem jęknie, nazad kosa pusto syczy. Handzia do nas: Panno roztropna! my do Handzi: Módsiezanami! Do nas: Panno czcigodna, od nas:

Módsiezanami, wte i wefte, tam i nazad, o, kaŜda robota z tego tam i nazad: cepem tam i nazad, siekiero polana, grabiami siano, sierpem Ŝyto, za pługiem tam i nazad, na pole i z pola, na pole i z pola, tam i nazad, tam i nazad: rozkiwasz sie i ręce, nogi, plecy same robio, same kiwaj o sie raz za razem, z lewa na prawo, z dołu do góry, wte i wefte, tam i nazad, tam i nazad i robota sama sie robi. Ja zreszto kaŜde robotę lubie, byle było bez nadaŜania za kimś. Zęby było tak: zechce usiąść, siadam. Zechce jabko zjeść, jem. Zechce nogi pomoczyć, mocze. Handzia prawie śpiewa: RóŜo duchowna! My prawie śpiewamy: Módsiezanami!

WieŜo Dawidowa!

Módsiezanami!

WieŜo z kości słoniowej.

Módsiezanami! kiwa sie uczycielka jak na czólnie i nie mówi juŜ, a odśpiewuje Handzi, no, no, nie myślał ja, Ŝe będzie taka poboŜna, jak stare baby w kościele sie rozkiwała, juŜ i w ogień nie patrzy: oczy zapluszczyła i kiwa sie po babsku tam i nazad, tam i nazad. A jak doszło do Baranku BoŜy Który Gładzisz Grzechi Świata, to juŜ całkiem jak Dominicha sie rozkiwała: Przepuść Nam Panie, mówi i głowo do stołka sie zgina. Baranku BoŜy, Który Gładzisz Grzechi Świata, zaczyna Handzia, a my: Wysłuchaj Nas Panie, i kułakami w dekę i sie kłonim. A najniŜej uczycielka.

A jak Handzia Pod twoje obronę zaśpiewała, to kiwała sie ona z zapluszczonymi oczami, jakby

głowo coś w powietrzu rysowała.

Odmówiwszy Anioł Pański wstali, zdrętwiałe kolana poluzować, i co widzimy: ona jeszcze ze zdrowaśke przekłęczła, zaczęła się przeckneć! Aś usiadła przed ogniem i kruczką w węglach grzebie, grzebie. I taka zamyślona siedzi.

Widzę, że pani też lubi modlić się, mówi Handzia, o, ładnie pani się modliła. Bardzo ładnie, chwalać taty.

Bo ja to lubię pomodlić się w niedzielę, opowiada Handzia. Pomodlić się długo, nieśpieszkiem. A potem tak dobrze, jakby się było dzieło w jakiejś świętej krainie, nie? A tato: To się z Panem Bogiem rozmawiało! Uczycielka oglądnięta się na mnie i pyta: czemu ja nic nie mówię i raptem wydało się mi, że ona mnie lubi, bardzo dobrym głosem spytała się.

Dobrym, ale i śmiałym, jakby prosiła: A dopuszczicie mnie wędrownika zjeść z wami wigilję? I patrzy, jakby prosiła, żeby my ją lubili, ja, Handzia, dzieci, tato.

A może pan Kazik niezadowolony, że ja do was na kwatery się wcisnęłam, pyta się ona.

Handzia za mnie gada, że zadowolony, zadowolony, tylko że taki Niegadalski. Ech, dobrze, dobrze posiedzieć sobie w taki święty czas, wzdycha.

A w niebie to tak jest zawsze: niedziela bez końca, cieszą się tato, szczęśliwi że już im do tej niedzieli wiecznej niedaleko. Tylko skąd oni pewnie, że nie będzie trzeba gdzie indziej wstąpić, Nie Daj Boże. Wzdychnąwszy, Handzia wstaje, chłopotem się opasuje, kartofli w ceberku siekać

świniam będzie. Uczycielka w ogniu grzebie, a zadumana! W węglach grzebie, dumki snuje. Aś

przyznaje się, że tak tu z nami dobrze, że aś nie chce się jej iść do tej szkoły.

Handzia pod boki się bierze nad ceberkiem:

A pewnie! Niechaj pani rzuci te szkoły, na co nam ona? A i pani szkoda! Wydamy panię za jakiego kawalera, będzie dzieci rodziła, świnie karmiła, to się pojęta, raz dwa nauczy się obrządku! A ona: A to zechciałby mnie kto?

Oho, już tu niejedną za firanki za panią świdruje! Nu to jak? Powiedzieć Dominowi?

Zaraz posypie się rajki, że tylko z miotłą stać! Kiedy ja posagu nimam.

E, nie jużby tam czegoś tato mama nie dała? Tylko że panienka za cienka, skrabio się w łych tato: Za przeproszeniem, panienko tylko lufty w piecach czyścić. Ja tam by takiej cienkiej nie brał.

A ona śmieje się, śmieje się z czegoś, nie wiadomo z czego, z kogo, ale chyba nie z nas. A Handzia podpytuje: Ale ale! Nie wierze, Źeby tam pani nimiała w mieście narzeczonego! Na pewno jakiś doktor abo urzędnik, postawny, w okularach, z brzuszkiem? A?

O nie, ja nie chcę z brzuszkiem!

A czemu? MęszczyŹnie z brzuszkiem ładnie! Od razu widać, Źe pan.

Ale pan Kazik, widze, niezbyt brzuchaty.

Bo jaki tam pan z niego? Chłop! krzywi się Handzia. A tato zaraz dajo zagadkę: co takiego chłop wyrzuca na ziemie, a pan nosi w kieszeniu?

Ona myśli, nie wie. Tato chwało się: A kozy, hehehe! Chłop smarka na ziemie, a panowie kłado w szmatce do kieszenia!

I tak ploto, gadajo, tatko z przypiecy, uczycielka spod popielnika, Handzia znad ceberka.

Nasiekawszy kartoflow, zasypała ich otrębami, zalała pomyjami i wodo. Trochu zaraz w sieniach nalala do korytka i zawolała kury, resztę poniosła do chlewa. Uczycielka się dziwi, czemu my kury trzymamy w sieniach, ona pierszy raz widzi coś takiego. To tłumaczmy, Źe blisko przy ludziach, poŹywio się, zawsze im coś kapnie, to kartofla, to okruszki.

Handzia wróciła, obłupała nogi z gnoju i cielakowi szykuje mleko z zasytko. Przepraszam, mówi uczycielka, i spod pieca na dzieci patrzy, na Stasia i Władka, jak kotłuje się w pierzynie, nogi zadzierajo gołe, bo w sukienkach jeszcze, ciągnaj o się, przewracaj o: Mnie ciekawi, mówi, kto ich przyjmował przy połogu? Babka? Oczy spuszczone, bo pytanie nie za delikatne. Na co jej o takie rzeczy się pytać, niezamęŹnej dziewczynie?

Nie, mówi Handzia, nie babka.

No i chyba nie doktor?

A na cóŹ doktor?

To kto?

Handzia mnie pokazuje głowo, Źe ja, a ona aŹ odkręca się od pieca: Pan, panie Kazimierzu?

Pan?

Wszystkich czterech, chwali Handzia. A ja bierze ceberki i ciele poje. A kątek zagrodzony drabino, Źeby nie wylaziło z słomy na chate;

I pan potrafił? dopytuje się ona jeszcze, pan się na tym zna?

Toś chodzi sie koło Śywny, ja na to, toś i świni rodzo i krowy i kobyły, owieczki. I Śeb sie odczepiła od tej sprawy, mowie o cielaku: Nu, zdaje sie niezadługo będzie mośno wyprowadzić juś jego z chaty. Juś on mocny.

A ciele z ceberka siorbie, oczy przypluszcza jak narzeczona, a tak jemu dobrze, Śe od razu w słomę popuszcza. Uczycielka marszczy sie, rozgląda sie po chacie dokładnie, jakby świdrem badała i głowo kręci. Jak w buszu, mówi, całkiem jak w buszu, ech, niedziela niedzielą, a szkoła szkołą, wzdycha i wstaje od popielnika.

Tak sie między nami ułośyło, Śe po szkole Ziutek wstępował najpierw do stodoły, opowiadał co było: ja, usiadшы na przystronku, papierosa pale, słucham. A czasem zamykali my dŚwi i szli pod ścianę, tam jaśniało ze szczelubinow między dylami. Rozkładali my na paku, na deskach, książkę, zeszyt, papiery i pisali. Ktoś z boku pomyślał by, Śe ojciec syna głupiego doucza, a było naodwrot: Ziutek mnie uczył. I tak to po kryjomu nauczył sie ja pisać, a, be, ce, ale nijak nie mog pojąć, co to za As, Ala. Chłopiec mnie tołkuje, Śe As to pies, taki jak nasza Muszka.

A ja patrze, patrze na te litery i nijak nie moge zobaczyć tego psa. Jedna litera duśa, szeroka, druga za nio mała jak haczyk. To ma być pies? Ty gadaj, Śe stóg a przy nim krzaczek, uwierzę. Abo Śe koń, za nim pług, mośe uwierzę. śe krowa a za nio cielaki

Pies wygląda tak, mowie i rysuje coś w podobie naszej Muszki, Dunaj owego Kruczka czy Mazurów Burka: głowa z uszami, wierzch, brzuch, cztery nogi, chwost zakręcony. Tak samo sprzeczalim sie o sad: dzie ty masz tu jabłunki, wiśni, gruszki? Sadek to sadek! I rysuje jemu drzewka z gruszami, jabkami. Aś przyłapał nas na tej szkole dziad od Grzegorychi: zaszed do stodoły reszoto pośyczyć, zmłociny miał czyścić, bo wiatr od dŚwiow wiał, najlepszy.

Pytam sie, czy duśo namłocił, mówi, Śe ze dwie kopy będzie.

To widze niezabardzo wam idzie?

Ano, jeszcze wprawia sie człowiek. Za zimę zmłóce.

O, to myślicie zimować w Taplarach? T mośe i poste j ecie wdowie? A o przystępach .czasem nie myślicie? U wdowy chleb gotowy.

A zechciałaby?

A czy to wam brakuje czego? Chłop z was widać silny nie tylko do cepa! Odziany był nie po dziadosku: W Grzegorowych walonkach i nogawicach, w jego czapce i kośuszku, gruby, silny, nie wyglądał juś na takiego, co rękę wyciągał. Przyglądam sie jem;.; i coś mnie nyje, Śe skądś jego znam, twarz znajoma i to mocno. Ale skąd, skąd znajoma!

A jak tam Grzegor, nie przychodzi? Nie boicie sie? Podpytuje jego. I co słysze? śe nie przychodzi i nie przychodził! Jakśe nie przychodził. kiedy ja sam słyszał, prawie widział, jak młoci.

On na to, Œe Grzegorycha młóciła! Nie chciała pomocy prosić, sama próbowała, tyle Œe odziewana sie w męŒowe nogawicy i pewnie stąd gadanie, Œe niby Grzegora nad cepem widzieli.

Nieprawda, zdawało im sie.

AleŒ sama Grzegorycha sie przyznała.

Gadała, bo gadała, on na to. Ot, przyśniło sie kobiecie, sama w chacie, bez chłopa. Wy widre leszcze nie wiecie, ile człowiekowi wydawać nie moŒe! A jeszcze noco.

Ale zobaczył ksiąŒkę i papiery na desce: O, widze w stodole szkołe macie! I kartkę bierze, ogląda, czyta, i pyta sie, kto pisał, chłopiec mówi, Œe tato i wstyd mnie sie robi, ze sie wydało.

A on pisze coŒ na kartce, napisawszy pokazuje:

czy przeczytam. Ale dietam, literow a literow, jedna za drugo, splątane. On mówi, Œe to jego imię i nazwisko. Ale nie czyta, tylko prętko zamazuje i pisze drugie słowo i czyta: Taplary!

Taplary! Przyglądam sie temu co wyrysował, papier oczami drapie i nie moge, nic moge choroba wypatrzeć Taplarow, dzie Taplary, czemu Taplary, jak to zaczarowane, Œe jest wioska, a ja jej nie widze!

To i mnie napiszcie, proszę jego: Bartoszewicz Kaźmierz!

On raz dwa pisze i pokazuje: kółeczka, kreseczki, litera za litero, a wszystko razem to ja?

Jak to sie zrobiło? Które z tych kulasków moimi walonkami, które oczami, uszami, dzie nogi, dzie czapka? Przekręcám kartkę w te i nazad, do spodu i w bok i nic, nic nie widze! AŒ ręce drŒo, bo niewiadome: zdusić to? porwać? zjeść?

Ale dziad tłumaczy jak czytać: pisze litery s, a, d, najpierw oddzielnie, potem razem i nakazuje mówić głoŒo. Mówie sad, sad, sad, ale, jej Bohu, nic nie widze. Teraz zamknij oczy, nakazuje, i przedstaw sobie jabłonki, gruszki, wiśni koło chaty. Widzisz? A teraz gadaj głoŒno: sad, sad, sad, sad! A teraz odemknij oczy i patrzaj co napisane I prawdziwie: litery literami, ale pod literami, nad literami zobaczył ja gruszki, jabłonki i moje złamane wiśnie! I zaraz sad Dunajów, sad Maciejkow, wszystkie sadki przy drodze. Gruby chwali, ogłasza Œe umiem juŒ czytać:

teraz pójdzie samo, jak z górki! Na uczonego ten człowiek wyglądał, aŒ dziwne, Œe z torbami przyszed: ToŒ wy by mogli urzędnikiem być, wójtem, mówie jemu, ale on macha rękó: Najbardziej to bym gospodarzył, do gospodarstwa mnie ciągnie. I patrzy sie po ścianie, a na kołkach wiszo cep, reszota, duga, lejcy, zgrzebło, widła, grabi. PoŒyczywszy reszoto, poszed zmłociny przesiewać.

Ziutek róŒne dziwy przynosił ze szkoły, nie tylko literami sie zajmowali. Raz mówi, Œe ziemia nie jest jedna na świecie, takich światów jak nasz strasznie duŒo, jak gruszkow na gruszy, byle gwiazdka z nieba większa jest od ziemi, a maleńka sie wydaje, bo daleko. A ziemia to okrągła jest, jak głowa!

Co ty, mówie, okrągła? JakŒe okrągła, kiedy sam widzisz, Œe nieokrągła!

Ale pani mówi, Œe okrągła. Tylko Œe człowiek małecki i nie widzi, Œe tam dalej to sie ziemia zagina.

E, co, ty! Sie było za rzeko, nic tam sie nie zagina. I nic nie mówio, Œe sie dzie dalej zagina.

Ale pani mówi, Œe wesz na głowie teŒ nie wie, Œe głowa okrągła, lezie i myŒli, Œe po płaskim lezie. Pani mówi, Œe jakby człowiek szed prosto i szed, to do Œadnego końca Œwiata nie dojdzie, tylko przyjdzie wkoło na to miejsce, skąd wyszed. Tak samo wesz, jakby szła prosto, to przejdzie o, tak: z czubka głowy, koło ucha, pod brodo, do drugiego ucha i znowuŒ na czubku siedzi.

Ale ale, mowie, toŒ by sie tam pod spodem człowiek urwał i poleciał!

Tak samo spytał sie Kaziuk Dunajów. A pani na to: a wesz urwie sie? A mucha z sufitu?

E, bajdy, mucha co innego. ToŒ człowiek pazurów nima!

Ale pani opowiadała, Œe zna człowieka, co tak ziemie wkoło objechał jak wesz głowę i pod spodem nie zleciał i na stare miejsce wrócił.

O, choroba! I Œyje?

Œyje. No, to juŒ pójdę. Do widzenia. Tak powiedział: dowidzenia! A co on, urzędnik? Co on, stary męszczyzna? Dowidzenia? MoŒe dzie wyjeŒdŒa, do wojska, na słuŒbę, do więzienia?

Dowidzenia! powiedział, nogo nogę przybił, sie skłonił czapkę zdjawszy, odyjŒć chce.

A chodźno tu, mowie, widać rozpuŒciło jego, Œe swojego ojca pisać uczy, za mądrzejszego ma sie, czy co? Biore smuręla za ucho niezamocno: Ty widze szutki stroisz, a? Jakie dowidzenia?

Dzie dowidzenia! Tu bratku, tobie nie miejsce na Œmieszki! Zapamiętaj: szkoła, szkoło, ale Œmieszków z tatka to ty stroić nie będziesz!

Buntuje sie, wrywa, pani tak uczyła, krzyczy, ja pani powiem! Powiem!

Kręciwszy ucho, uczę smuręla, co to ojciec i Œe nie będzie mnie swojo panio straszyl. Aba, i Œeby ty ani słówka nie pisnoł co my tu w stodole robim. A to dla pamieni! Zgioł ja srala na kolano, przyklepnoł ze dwa razy, ale jakoŒ beku nie słysze, co to? Przyklepnoł ja mocniej, oho, widać zacioł sie smuręiel. To jeszcze raz. Jeszcze raz. I jeszcze. AŒ wrzasnoł. Nu, jak wrzasnoł, nie zapomni.

Na trzy dni przed Œwiętami uczycielka wyjechała: zabrała sie z Kramarem, a jechał do sklepu po gaz, mączkę, zapalki na hendel, sklep koło stacji, w Strabli, duŒo drogi, i to kopnej, bo Œniegu nawaliło po kolana: wyjechali wczesnie, ledwo dniało, wrzuciła na sani walske i torbę, szmatami nogi poobkręcywali i przepadli w białym polu.

W chacie zrobiło sie bez niej pusto, przestronne, tymbardziej Œe i cielak przeszedł do chlewa, za specjalne przegródkę, Œeb krowie mleka nie podbierał, Œłób sie tam jemu wstawilo oddzielny z delikatniejszym jedzeniem.

W wigilije Handzia napiekła pierogów z pytlowej mąki, cztery bochenki, skore pomazała Sóltkiem z mączko, pozapiekało sie, a wyjęła z piecy, aj, jak zapachniało! Pierogi napieczone na święta, a na wigilije uszykowała barszczu grzybowego, grzybów z cybulo, zalewajki z suszonych gruszkow, kuci i połamańców z makiem. Po wieczery mycie było w balei, szorowanie dzieci takie, Śe rozparzone, maku najedzone, w świeŚe pościel połoŚone pozasynali od razu. I my z tatem sie pomyli, poodziewali czyste koszuli, gaci, niedzielne spodni i marynarki, a budzienne odzienie i koŚuch! nasze i dzieciow wrzuciła Handzia do piecy, Śeb sie wszy wyparzyli, póki piec gorąca po pierogach. Potem poszli tatko do Michałów posiedzić pogadać z drugim synem, synowo, drugimi wnukami. Ja siano spod obrusa wzięwszy, krowom niosę.

A na dworze święto, zorki wyroili sie na niebie tysiącami, skrzy sie, śnieg bieluški, strzech!

bieluški, zmierzch nie szary, ale sinawy, tylko okna Śólcieje, i ciuchutko jest, cichuteńko, .

mięciutko, czasem pies zaszczeka, ale niegłośno i bez złości, ach, co za wieczór święty, noc przeswięta, Dzieciątko sie Rodzi, Chwała na Wysokościach, pokój na ziemi, radość wszelkiego stworzenia i zgoda: tej nocy zajączek swoje głowę na wilczym boku kładzie, jastrząb kuropatkę

pazurami głaska, pies kota liŚe, krowy ludzkim głosem gadajo o gospodarzach. Na palcach, Śeb śnieg nie piszczał, podszed ja pod dŚwi: a nuŚ i moja Raba z Mećko rozmawiaj o? Posłuchał ja, ale nic, Śadnego głosu, tylko postękiwanie. A podścieliło sie im na święta bogato, leŚo w słomie jak w pierzynach, leŚo, Śujo i postękuje, z sytości: Mećka stęknie, Raba odstęknie oho, czy oni gadać nie probujo? Mnie zobaczywszy, łby do dŚwiow obracaj o: widzo, Śe gospodarz przyszed, siano wilijne przynieś, wstajo, a jakŚe, siano z ręki skubio naboŚnie jak opłatek, po trawce, po dwie.

Jedz, Raba, jedz, mówie, za rogami drapie, szyje gładzę: jedz, ale pilnuj sie, bydlaczku, Śeby więcej takich fokusow nie było, jak z tym cielakiem.

Nu i karmie jeszcze mojego wyrodka, niech zje wilijnej strawy, będzie pewniejszy. A ładnie rośnie, Śadnej skazy nima, wesolutki, rozbrykany, tyle Śe do Siwki częściej sie łasi niŚ do Raby, o matce całkiem zapomniał, ech, róŚne dziwy dziejo sie na świecie, nie obejmiesz ich rozumem.

Reszta siana do Śłobu kładę i dŚwi zamknąwszy odchodze, ale na niby: zaraz cichutko wracam, moŚe teraz, po opłatku, bedo gadać? Nie, postękuje tylko, siano Śujo. Święta świętami, na kolędach zesli, gadaniu, róŚańcach. Ziutek z szopko latał. Herody, jak co roku zaszli, śmiechu narobili, podwędzili pół pieroga, ale tak trzeba, jak pamięcio pamiętam, zawsze tak samo dokazywali, to samo przedstawiali: kaŚdy w wiosce, kremie małych dzieci, wie na pamięć co robi i wygłasza Herod, co Śmierć, Anioł, syd, Koza, Cudzoziemiec, ludzi kaŚde słowo, kaŚdy krok pomiętajo i ni zmylić sie, ni przejnaczyć nie daj o. I dziwne: choć sie umie przedstawienie co do słowa, jakoś tak jest, Śe nie nudziejo nikomu Herody, za rok znowuś czeka sie, Śeb gadali, skakali, dokazywali.

Gody jak Gody, ale Bogaty Wieczór, ten przed Nowym Rokiem, był wesoly. Wyszedł ja pilnować gunna, Śeby chłopcy czego nie wyfiglowali. Akurat w porę, bo sypali słomę od Jozika Dunajów do Mani Bartoszkowej: sypali grubo, całego okołota nie poŚałowali, oj, póki sie zadcpczo te słomki pogadaj o sobie ludzi, pogadajo, juŚ sie młode nie wybronić przed wiosko: będzie musiał Jozik iść do niej z rajkami. Akurat kończyli sypać. A skończywszy rozglą-dajo sie co robić dalej. Podchodze

ciszkiem, słysze, zmawiają sie zamazać okna uczycielki glino z popiołem.

Jej zamaśecie, a ja bede czyścił? mówie raptem, aś podskoczyli. I podmawiam, śe Michałowi wartoby co zrobić.

Zatkać dymnik sianem, doradza któryś i wszystkie w śmiech! wiedzo śe u mnie i Michała dymnik jeden: u niego dym by sie kotłował, to i u mnie.

Sobie to ja nie bede zatykał mówie.

To mośe wośa wciągnąć na stodołę, podradza drugi i znowuś śmiech, bo wiadomo, śe woż teś mamy spoiny.

Skończyło sie na tym, śe woż wyprowadzili my ze stodoły Kozakowi, rozebrali na kawałki i po kawałku wciągnęli na dach: tutaj poskładali i stanął woż na stodole, na koźlinach, z hołoblaroi zadertymi do góry! Tylko konia brakowało. To zamiast konia postawili my pomiędzy hołobli kulik słomy.

A dymnik zatkali Dominowi. Dalej czarnym Litwinom załośylim słomo drzwi: całe stertę ułośylim gomlami na sztorc. A drzwi u nich odmykajo sie nie do sieniow, tylko na dwór!

Mazurowi Co to ja zawiązałim od nadworza drzwi lejcami: śeby wyjść z chaty, Nowy Rok zacząć, będzie musiał dubeltowe zimowe okna wyjmować! Szymonowi Kuśtykowi operlim o drzwi cięśki kloc: rano, jak naciśnie zamyczke, nachylony kloc zwali sie do sieni, na łeb Szymonowi, mośe i po Kuśtyku haknie. Dalej poszli beze mnie, do Mazurowych dziewcząt poszli, przebierać sie: chłopcy za cyganki, wysztukujjo sobie cycki i zady z siana, podkraszjo burakiem policzki, słomiane kosy pozaplatajo i spod chustkow wypuszczę, nałośo sukienki do piętow. A dziewczęta boty z cholewkami obujo, nogawki wpuszczę i poodziewajo kawalerskie marynarki, i czapki na bakier, i wąsy podomalowujjo węglem i ech, cyganów bedo udawać, pójdo po chatach z ręki wróśyć, z wody, czarować dymem, o dzieci sie targować, podpytywać ojców, matki dzie ich syny, córki z domu pogineli, i przyśpiewywać, i tańcować, a i myszkować za plecami, z garkow wyjadać:

tego wieczora wszystko dozwolone, wszystkie śarty. A potem tygodniami będzie sie zgadywało, która była tym cycatym cyganiukiem, jakaś to pleczysta cyganka łokciem cegłę z pieca u Dunaja wywaliła, miesiącami będzie sie opowiadało, jak Mazur co to jak oknem wylaził z chaty, Kuśtyk guza złapał, a Kozak zjeśdśał wozem ze stodoły, i wyglądać sie będzie wesela Bartoszanki z Jozikiem.

Dzień po Nowym Roku Dunaj wysłali na stacje Natośnika. Wyjechał rano, a nie wracał i nie wracał, bojelim sie juś z Handzio, czy uczycielka nie ostała sie w mieście na zawsze. A mośe ich wilki przestąpili? Ale przyjechała, tyle śe noco, podobno pociong spóźnił sie: miał być przed obiad, a przyszed wieczorem. Z saniow wyladowali my ze dwa worki ksiąśkow, wielkie okrągłe gule, worek jakichś brzekotkow i waliske. Uczycielka nogi pomrozła i trzeba było ich śniegiem nacierać, Handzia nacierała. Ale choć bolało, ona śartowała, pytała sie jak święta przeszli, Handzi dała na



prezent sześć talerzów z widelcami i nożami, dzieci pobudzili się, dostali po cukierku, smoktali i się przyglądali spod pierzyny, tatko dostali latarkę, takie się jak pstryknąć świeciła: bawili się, zapalali, gasili, zapalali i wypytywali o miasto. Handzia uszykowała mleka z pierogiem, specjalnie dla niej zostawionym, w chacie poweselało.

Sześć talerzów i sześć łyżek, nożów i widelców sprezentowała Handzi uczycielka, ale czy kto wiedzieć mog co dalej będzie? Wydawało się, że oni nie do czego, ot, do leśnienia na policy i Handzi do chwalenia się przed babami. A tu w niedzielę staje uczycielka przy piecy za gospodynie, Handzia tylko ognia pilnuje i donosi jej: to woda, to cybule, to jajka, a ona coś szykuje, jedzenie jakiegoś niezwykłego. Gotowali w trzech- sagankach: w jednym jakiś barszcz czy krupnik, w drugim kartofli, oskrobane, w trzecim buraki stertę na miazgę. Jak się im ta miazga ugotowała, saganek zdjęli i zaczęło się najgorsze: postawili patelnię, a co na tej patelni?

Kawał kumpiaka, taki się kapustę można by na nim gotować przez pół miesiąca, pokroiła ona w plastry! Te plastry obstukała na desce polankiem i zaczęła smażyć. A smalcu to rzucała bez miary, jakby błotem chlapała, a nie sadłem topionym! Smażąc nałupiła cybuli i cybulo mięso obłuszyła, prawda, strasznie skwierczało, pachniało, Handzia dzieci odganiała, bo całkiem zgłupieli, leżli do piecy jak muchy w mleko, tato zastygli na murku, patrzyli babom na ręce i postękiwali: O Kirelejson, cybula! Omatkoboska, jajko! a z tego wszystkiego różaniec wyjęli i dawaj modlić się oczy zapluszczywszy, tytko dychają, zapadli łykają. A mnie serce boli patrzeć, na język ciśnie się jedno: czy wy baby w Boga nie wierzycie? Tyle dobra na raz marnować! A może my dziś parszuka zakłuli i temu tyle smażenia, bo świeżyny dużo? Może dziś kłusty czwartek? Nie, cholera, to wiem dobrze, że dziś niedziela a do czwartku i do popielca z pięć

tygodni jeszcze! A parszuka to my kłuli po kopaniu, parszuczka niedużego, jak on ma do postu wystarczyć, to po kostce trzeba brać, po troszku. A tu masz! że uczycielka się szasta, pojąć mogę, ale Handzia, czemu ona. miary nima!

W głos powiedzieć nie wypada, trochę wstyd przed uczycielką. Ale tylko wyszła Handzia do komórki, idę za nią: Co tobie, babo, ty chcesz wszystko zmarnować na jeden raz, pytam się złapawszy ją pod boki i trzęsę, trzęsę ją po ciemku: Czy ty kobieto rozum za stodołę wyszła!

Uch, walnęłoby się babę kulakiem, ale nie wale, rozbeczy się jeszcze i ściągnie uczycielkę. Trzęsę, ale Sonke opętało: Puść, zły się, puszczaj, ona czeka na mąkę!

Co wyrabiacie, szalone!

Zaraz spróbujesz, zobaczysz! chwali się ona bez wstydu brydu. I wyrywa się, ucieka.

Uczycielka nożem stół oskrobuje, zeszkrobuje czarne, co się ułożyło od kąpienia z łyżkami i miśków. Oskrobuje, myje z popiołem i decha bieleje jak nowa! I zaraz talerki rozstawia, sześć, przy każdym kładzie łyżkę, noż, widelec.. Do talerzów nalewa tego krupniku i odgarnawszy czub z czoła pod boki się bierze, zaprasza: Proszę bardzo, siadajmy, pierwsze danie zupa jarzynowa.

Handzia napędza: Nu, siadajmy, Kaziuk, dzieci, tatu, siada jmo, spróbuję jak w mieście jedzą.

Napęda, bo jakoś nikt się do tych talerków i nośców nie rwie, choć każdemu Kaszki myczy, tyle smaków i zapachów w chacie krąży. Patrze ja na sześć talerków, sześć widelców, nośców, łyżków, blaszanych, z białym połyskiem, patrze na stół biały, wyszorowany i widzę, że z mojego stołu zrobił się stół cudzy, nie mój! Jakże w swojej chacie do cudzego stołu siadać? Oj, czuje jak złość obejmuje mnie całego, wielka złość mnie w głowie huczy, i strach niemały ręce trzęsie. Sześć

talerków? Każdey sobie będzie jadł? Na co noścy? A widelcy? A co zrdbio z burakami, z to czerwono mamałygo, jak jeść takie straszne hadztwo? Z kartoflami je podadzo, czy do mięsa, czy do tej tu, jak to ona mówi, zupy? Czemu obiad nam zepsuli, obiad niedzielny!

Siadajcie, mówi Handzia, spróbujem po paninemul

A to już niedobrze po naszymu, pytam cicho, a uczycielka pódmawia: Cóż szkodzi spróbować, jakie dzie indziej obyczaje. I na patelni mięso przewraca, dosmaża. Handzia siada pierwsza i dzieci siadają i tato, uczycielka staje za plecami, pewno ciekawa czy pochwalim te jej zupy. Posiadali, łyżki wzięli i na mnie czekają: Ładne zacząć jeść nie może, póki ja, gospodarz, łyżki nie umocze.

Trudno, siadać trzeba, siadam przy tym stole cudzym, niby moim a nie moim. Prześegnać

się trzeba, ale jakżeś się śegnać, kiedy tu jakieś widelcy, noścy błyszczą, a deska bieleje, jakby z niej skórę zderli. Sześć talerków w rzędach stoi, każdemu talerz, i jak to, każdy sobie ma się śegnać, każdy do swojego talerka? Ręka co zawsze mnie sama śegnała, cięży teraz jak polano.

Próbuje prześegnać się tym połamem, zaczynam i nie mogę skończyć, nie prześegnawszy się biore łyżkę, a blaszana ona, zimna, błyszczy.

Niechaj pani siada z nami, zaprasza Handzia, uczycielka dziękuje: dzisiaj raz dla odmiany ona gospodynie.

Bratniewola, zaczerpam ja pierwsze łyżkę, niosę, choroba, łyżka niegłęboka, ręka drży, póki ja donios do gęby, pół się wylało na podłogę i kolana. Druge łyżkę zaczerpam, jeszcze gorzej! Trzecie niosę, ręka tak skacze, że rac do gęby nie donosze, nie wiem nawet czy dobra ta zupa, czy niedobra: łyżkę na stół rzucam! I przygarbiwszy się na moim stołeczku, patrze się po tych sześciu talerkach, po blaszanych łyżkach, że moje dzieci nimi jedzą, moja Sónka, że i mój ojciec łyżko musi się męczyć. To i tymi widelcami jeść bedo, i tymi noścami te zmarnowane mięso i te miazgę? O niedoczekanie twoje, przybłendo ty kusa, łazęgo miastowa, czego ty swojego nosa między nasze miski wypychasz!

Ale już i tato cicho łyżkę kładzie, już Handzia i dzieci, na mnie spojrzawszy, jeść przestali.

Co się stało panie Kaźmierzu, pyła się ona, zdziwiona bardzo, moja zupa wam nie smakuje?

Chce się powiedzieć: twoja dopa! ale jakoś słowo w zębach dusze, siedze zły, aś w oczach błyska, nie wiem co zaraz będzie: może zgramę rękawem te talerczyki: może stołek 'przewrócę, może świsnę widelcami w uczycielkę!

Jeśli wam zupa nie smakuje, trudno, mówi ona zmartwionym głosem, to może najpierw drugie danie?

Drugie sranie! mówie i kulakiem łups w stołek, aŜ te noŜyki widelczyki zabręczeni i z talerkow sie polało.

Co ty, Kaziuk? pyta sie Handzia i wstaje, a bardziej prosi, niŜ pyta sie, a ja jak nie huknę: Milcz ty!

Uczycielka zakręciła sie koło komina i stoi cichutko jak trusia. Wtem chwartuch odwiązuje: Ach, zapomniałam, Ŝe na trzecią obiecałam być w szkole, mówi cienko, pani Haniu, niech mnie pani zastąpi przy kuchni.

I raz dwa swoje kurtkę bierze, w biegu sie odziewa i niby śpieszkiem z chaty wychodzi.

Tylko jej głowa mignęła za oknem, mówie do Ŝonki:

Stawiaj michę!

Cichutko, wie Handzia Ŝe nie Ŝarty, miskę stawia na środku między talerkami.

Zlewaj!

Zlewa ona z talerkow do miski, jeden po drugim, wszystkie sześć, miska duŜa gliniana, pomieściła, talerki składa jeden w drugi, zabiera. Ale pozostali sie na stołku i błyszczce tamte łyszki, noŜy widelczyki.

Won i te pizdryki! rozkazuje.

Ona ich zabiera, a kładzie łyszki nasze, drewniane. I wybieramy, kaŜdy swoje, moja największa, z trzonkiem trochu wykrzywionym na sęczku. Wzięli łyszki, trzymajo, na mnie patrzy, kiedy łyszke umoczywszy jedzenie zaczną. .Zaczną, ale przedtem rozkazuje: Zegnać sie od nowa!

Zegnajo sie, Ŝegnam sie i ja i łyszke umaczam w tej jej zupie. Smakuje te zupe smakuje i czuje, Ŝe moŜe ona i niekiepska, ale nie do jedzenia.

Zabieraj te hadztwo, mówie, syp kartofli! Nasypała Handzia, całe michę, zaskwarzyła kłuszczem z patelni.

A mięso wrzucisz jutro rano do kapusty, rozkazuje, mięso sie gotuje w kapuście, rozumiesz? A teras rób kwas do kartoflow!

Prędko drugie miskę stawia i nalewa z ładyszki zakwaski i zaraz nad misko czosnek noŜem drobi. Posoliła, zamieszała, siada do stołu. Pokazuje jej palcem jedne michę, drugie: O, to jest moje i moich dzieciow jedzenie! I zapamiętaj, mówie, palcem groziwszy pod nosem: Ŝeby więcej takiej rozpusty jak dzisiaj nie było! Nu, jemy.

I jemy. Jemy zwyczajnie, po naszymu, jak Pambóg przykazał, jak święty Jozef z Matkobosko i Jezusem jedli: z jednej miski. Jemy i smakuje, i dobre, i jak trzeba! . A jak zjedli, obter sie ja rękawem, przeŜegnał sie. Posłuchał, jak sie w brzuchu odbija, odkachnoł i kazał

Ziutkowi, Œeby wody dał: podał cały kubek, ja odchyliwszy głowę w tył, pije, pije duŒymi łykami, bo lubie jak rozgrzane zęby drętwiejo od zimnej wody i szkło na nich pęka i lubie jak chłód rozchodzi sie kiszkami po brzuchu. Potem possawszy z zębów, bo dobre, splunowszy 'na podłogę;

'bo lubie, oblizawszy sie bo trzeba, klade ręce 'na kolanach i mówie: Nie pódziesz więcej Ziutek do szkoły!

Czemu? pisnoł.

Bo ja tak mówie! A Handzia, cicho jak trusia: Ale ona sie obrazi.

A niechaj obraŒa sie!

To jak my z nio bedziem Œyli?

A moŒe sobie iść od nas Kczortumatiery!

Co ty, Kaziuk? I piędzow za kwatere nie Œałujesz ?

Czortbiery i jej piędzy! Niepotrzebne mnie jej piędzy. Zapłaciła za dwa miesięcy i co? LeŒo.

LeŒo. Ale sol; wychodzi, mączka, nafta, trzeba kupić!

Na to starczy, samych jajkow co ona wyŒera.

A trzewiki dla mnie? A kortu, tobie na odzienie? A pług?

A dzie to chodzisz, Œe tobie, trzewikow trzeba? Na tancy?' Walonki masz? Masz!

Drewniaki na zimę dzieci majo? Majo. A mnie i stare odzienie dobre!

A pług?

Tylko piętke kupić. Dawniej rosochami orali i rosło, nie tatku? A te talerki i widełcy oddaj jej nazad abo wyrzuć. My nie panowie!

Ale czy nie moŒno było raz spróbować jeść inaczej? Œali sie Handzia.

Inaczej? zerwali sie tatko: A co to, czy my parszywe jakie, Œeb kaŒde z innego koryta jadło?

To krowy muszo mieć kaŒda swój Œłób, bo sie nie dopuszczajo. A toŒ człowiek nie krowa!

Razem Œyjem, razem robim, razem jemy! zakończył ja. A ty Ziutek pamiętaj: koniec ze szkoła!

ZnowuŒ Dunaj kluczkę posłał od chaty do chaty, Œe wieczorem zebranie. Tym razem zebranie miało być z uczycielko, bo przywiozła ze Œwiętow jakieŒ waŒne nowiny, udumała, Œe ogłosi. Wszystkie gospodarze poszli, ja nie poszed, na złość uczycielce, przejrzał juŒ ja całe szczerocść jej na wylot. Ładniutka, milutka, cieniutka, panie Kaźmierzu, pani Haniu ludziom sie zdaje, Œe sama dobroć, sama

prawda, a ona swoje robi! Po cichu, ale robi. Dziś podsunie w ręce latarke co sie sama pali, jutro talerki, widelczyki, zupe, a pojutrze te maszyny! Czego wy boicie sie elektryczności, mówiła Dominowi, toŜ będziecie sobie rodzili sie, Ŝenili, Ŝyli jak Ŝyli, tyle Ŝe w chatach będzie widniej, oczom zdrowiej, rękomi lŜej. Czego boicie sie szosy? Do miasta będzie bliŜej, łatwiej! Odpowiedzieli jej Domin: a beczka jak wyjąć jedne klepkę, choćby najcieńsze, czy utrzyma wode? Tak samo będzie z nami, Taplarami. Na zebraniu przeczytała uczycielka z gazety, co pisało o bagnie i Taplarach: Ŝe za rok woda będzie spuszczone i zaczną sie mejloracji, układanie szosy i stawianie słupów do elektryczności. I pokazała narysowane w gazecie: u góry było jak jest teraz, Narew ze wszystkimi odnogami i Taplary. A u dołu tak, jak będzie: jedna rzeka koło Zawyków i SuraŜa, a na bagnie łąki i drogi. Pokazywała teŜ na tym zebraniu duŜe gule, Ŝe niby ziemia tak samo okrągła jak ta gula: sinawe miejsca na niej to morza, zielone ziemia, Ŝólte centki na niej, to góry, a sine węŜyki rzeki, i pokazała maleńki ogonek, ze to Narew, ogonek nie dłuŜszy niŜ włos na ręce.

Jakto, pytam sie Domina, cała Narew krotsza od takiego włoska? ToŜ oreli opowiadajo, Ŝe tylko do Tykocina płyną dwa tygodni! A toŜ rzeka jeszcze dalej płynie, dziś het, pod Kanadę!

JakŜe take rzeke w ogonek przemieniać?

Wytlómaczyli Domin, Ŝe to tylko tak sie przedstawia. A bagna podobno całkiem nie było na tej guli: bo za małe, mówiła ona, a Ŝe ludzi to złościło, wzięła i sama postawiła im na guli tej kropeczkę.

Podobno znowuŝ była zajadła sprzeczka między nio a ludziami: ludzi ostro obstawali, Ŝe ta mejloracja i elektryczność niepotrzebne, nam dobrze i na bagnie, my przyzwyczajone, na to uczycielka: wy nie chcecie zmiany, ale ludzie koło Bokin chco! Napisali podanie, Ŝeb bagno osuszyć, jeździli, prosili. No i władza wysłuchała ich. To my napiszmo drugie: Ŝeb nie osuszali, mówie słuchawszy tego, a Domin: A umiesz pisać? Co, uczycielki będziesz prosił Ŝeb napisała?

Grzegorz napisze, mówie, a Domin, Ŝe podług uczycielki Ŝadne pisanie juŜ nie pomoŜe, bo za późno: juŜ roboty zaczęte. Nie interesowali sie my światem i przegrali z Bokińcami.

AbodajŜesz tych bokińców, rozkleli sie tatko: MoŜe wybrać sie tam do nich po lodzie, podpalić, powybijać! Nie darować ancychrystom! A Domin: w więzieniach by my zgnili.

To co robić, stryku, pytam sie Domina, radźcie coś, musim bronić sie. A co sołtys na to wszystko? I co słysze. Ŝe Dunaj teŜ nie chco tej mejloracji ni elektryczności, ale jak ludzi dawaj krzyczyć, Ŝeby i szkołę znieść, Dunaj zaczęli szkoły bronić: niechaj dzieci uczo sie, Ŝeb umieli swojego dochodzić! I poprosili uczycielke, Ŝeby coś nam doradziła, na to ona, Ŝe im prędzej sie zgodzim na to co ma być, tym lepiej dla nas, nima co dmuchać przeciw wiatrowi, co ma być będzie na pewno. Tymczasem uczycielka całymi dniami mnie nie oglądała, ja jej. Z rana jak budziła sie, ja dawano był w stodole. Obiadem, jak przychodziła, w stodole. Wieczorem u Domina abo KuŜtyka.

Abo juŜ w łóŜku. Specjalnie musiała zająć na gumno, Ŝeb spytać, czemu nie puszczam chłopca: Dlaczego pan, panie Kaziku nie pozwala Ziutkowi uczyć sie?

Akurat ja młócił. Młóczę, pościel pomału obchodze, tak kręce Ŝeby do niej być plecami.

Niech mi pan powie, bardzo proszę, dlaczego pan nie puszcza syna do szkoły, piłuje ona.

Bo nie trzeba, mówie wreszcie.

AleŜ on ledwo sylabizuje!

Starczy!

Ale co sie stało, panie Kazimierzu? Za co pan sie na mnie tak zagniewał?

Nic nie mówie, młóczę. Niech mnie ona nie panuje, kaźmieruje, kazikuje, wiem ja co sie szczyrzy pod to jej dobrocio. Prawda, szkoda jej trochu, po głosie słysze, Őe rozŐalona bardzo, zbiedzona. Nu, pewnie, jak jej połowa dzieciow przepadła, za tydzień, dwa sama ostanie sie w klasie, najwyŐej z Dunajakami, Kramarukami, to nic dziwnego Őe nie chodzi rozeŐmiana.

Proszę mi powiedzieć, co sie stało, błaga, moŐe ktoś was namawia? Czy nie ten włóczęga?

Ja nic, młócił i młóczę, plecami do niej. Widzi ona, Őe jak do Őciany gada: postojąła, postojąła i poszła do chaty, przygarbiona z Őałości. MoŐe i dobre ma serce, ale co z tego, na co wciska sie nieproszona, taka nie wiadomo skąd i czego, łazęguje zamiast Őyć jak ludzi Őyjo, tam dzie sie rodziła. Z litoŐci tylko jeszcze nie wygonił ja jej na dwór, trochu wstyd człowieka ze swojej chaty wypychać, goŐć sam, jak sumienie ma, powinien wiedzieć, kiedy jego nie chco. A wszystko przez te zebranie, po zebraniu pół wioski nie puŐciło dzieciow do szkoły, drugie pół waŐyło sprawę. Koło półpoŐcia szkoła opuŐciała, pięciu Dunajakow ostało sie uczycielce i Kramaruki.

Próbowała po chatach chodzić z sołtysem, namawiać, ale bez Őadnego skutku. Szymon KuŐtyk nie wpuŐcili ich za próg, a Dunaja obezwali od judaszow, a dziewczynę od kózytkow, konopielkow.

Kozytko straszy sie dzieci, Őeby Őyta nie deptali: Őe w Őycie siedzi kózytka, taka pokutnica, młoda, goła, włosy długie, rozpuszczone, chuda, cienka, z ostrymi cyckami. Takiego co Őyto klekcze kózytka łapie i tymi cyckami łachocze: z początku nie bronisz sie, Őmiejesz sie od łachotania, a ona ciebie łachocze, łachocze bez litoŐci, Őmiejesz sie coraz straszniej i na koniec umierasz od Őmiechu.

I tak samo konopielka, tyle ze ta jeszcze cieńsza i pilnuje nie Őyta, ale konopiw, lnu, warzywow.

Nu i szkoła ustała za tydzień. Z tydzień przesiedziąła uczycielka w domu, tyle wychodziła co do Dunajów, pogadać. Czekala, Őe sie moŐe co odmieni, a smutna była, jakby jo pobito, tylko z Handzio gadała: nauczyła sie na prątkach robieć, uplotła sobie szalik z wełny. Ja chate omijał jak mog, w stodole czy w chlewach siedział z roboto abo i bez roboty, abo szed do ludziow, byleby z nio nie rozmawiać.

AŐ raz szła od Dunajów i wyszed na droge Filip Pierdun: szed za nio blisko jak przez chate i trąbił po swojemu. Co ona stanie, on stanie: stoi i trąbi. Ona coŐ powie, on odtrąbi. Ona idzie do niego, on odŐępuje, trąbić nie przestaje? Te co to widzieli, nie dali rady opowiadać, na same wspomnienie kładli sie ze Őmiechu. Tak odprowadził jo pod nasze chate. Weszła i zaras rozbeczała sie, Őlozy puŐciła, nawet Handzi nie przyznała sie od czego. Płakawszy, poskładała szmaty do plecaka i choć Handzia podobno pocieszała, nie wypuszczała, poszła Őniegami na las, w stronę

stacji. Ktoś nakazał Dunajowi, Dunaj prędko konia założyli i pognali za nią sankami, żeby nie zbladła, albo się nie utopiła gdzie na oparzelisku. I tak Filip pomógł mi pozbyć się tej całej przybłądy miastowej i bardzo dobrze.

W piątek przed Palmowo Niedzielo poszło się do Dominow posłuchać Gorzkich śalów: lubie sobie wcisnąć się gdzie w kątek między szmaty, kośuch!, skulić się zgarbić oczy przypluszczyć i roić sobie Mękę Pańską, serce kruszyć, o, tylko niektóre kolędy mogą równać się z Gorzkimi śalami. I może godzinki. Baby już zeszły się, chata pełna jak na kadzielnik, babskie to przeważnie nabożeństwo, z męszczyznami byli tylko Domin, Kuśtyk i ja. Lampę zawiesili Domin pośrodku na drocie, wykręcili na całego, baby poschodzili się z roboty: Natośnica z wituszkami, rozsiedli się kole pieca i talkowali szpulki, Kozaczycha Jej Bohu z workiem szmalów: derli szmaty na pasma do chodników, Szymonicha kotko przynieśli, przędli wełnę, drugie baby albo robili na drotach sfetry, szaliki, szkarpiety, albo łątali, albo wyszywali ręczniki na Wielkanoc, w różyczki i koguty. Kuśtyk na progu łątali reszoto końsko chwościno, Dominicha przędli pakule na worki.

Tylko Domin przy piecy siedzieli bez roboty i drapali się po nogach i ja, w kątku przy drzwiach, na ceberkach. A jeśli ktoś pyta się czemu to Grzegorz nie nadchodzi, czas śpiewanie zaczynać, ile czekać. A czekali bo miał przyjść.

A Domin na to: Obrządził Śywine, teraz pewno Grzegoryche obrządza!

A Dominicha: Fe, plejto, łapiesz tym językiem w poście jak Śydzisko!

A Kuśtyk: Nie obrządza, nie obrządza, toś on nie kiernoz, nie będzie w poście łąż do baby.

A Natośnica: Kiernoz! Bo bez ślubu Śyje. A Dominicha: Toś nie będzie w poście ślubu brał. Ale zaraz po Wielkanocy, Grzegorycha gadała, zaraz ponioso na zapowiedź!

Na zapowiedź? No no! Dawaj baby obrabiać nowinę: będzie miała Grzegorycha nowego Grzegora.

Trzeciego!

Trzeci Grzegor!

I wtedy Dominicha mówio, Śe po prawie, to kto on taki? Co za jeden? Przybłąda, ale zdaje się, Śe jakby znajomy. Jakby znajomy, ale bijcie, zabijcie, nie mogę przypomnieć skąd, kto, zabyło się na śmierć. Kuśtyk na to, czy on czasem nie suraśak, Śe widziało się jego w Suraśu i to nie raz, i coś zdaje się Śe w kościele. Jakby do księdza podobny? Ale nie, nie do księdza. Może do biskupa co był bierzmować? Nie, nie do biskupa. To do kogo? A Domin mówio, Śe Grzegorz na pewno bywał i w Taplarach, ale jakby za kogoś przebrany, kogoś ważnego, pańskiego. I mnie tak samo świdruje coś, Śe on znajomy. Grzegorychi się pytało, gada Śe sama nie wie: próbowała wyciągnąć

z niego, czemu z torbami chodził, ale podobno tylko machnie ręką: stare sprawy, mówi, szkoda język zdierać. To było wiadomo tylko co było widać: Śe człowiek z niego zgodny, sąsiedzki, nieleniwy.

Ale skończyło się gadanie, bo zahuczało w sieniach, słyszym: idzie, śnieg obtupuje. A jakśe, czapkę zdjął, powiedział co trzeba, siada z boku, wyjmując listewki, nośyk, widze: struga treszczotkę na Wielkie Subote. Nu to Dominicha zaczynają z za kołka i kądzieli: Gorzkie śale Przybywa jciee, a zaraz dołączają się baby:

Serca nasze przenikajciee, serca nasze przenikajciee! I od razu taka Śałość mnie łapie, Śałość i nabośeństwo, Śe nogi drŚo, ręce drŚo: Rozpłyniecie się me źrenice, lejcicie smutnych łeskrynice, lejcicie smutnych łeskrynice! I smutno się robi, uj jako smutno, oczy mgłło zachodze, Śal dusze ściska, sercee boleść czuje gdy słodki Jezu na śmierć się gotuje, klęczy w ogrójcu, gdy krwawy pot leje me serce mgleje! JuŚ kółko nie furczy, wituszki nie popiskują: uszy juŚ słyszycie co innego, babskie pojękiwanie, oczy widzą Kalwarię, górę spiczastą, wysokie, na niej czternaście Stacji Męki Pańskiej, cała Droga Krzyśowa jak w suraskim kościele, mordercy zęby szczerzą, szyderują, rechocze, w rękach trzymają obcęgi, młotki, między nimi święta osoba w cierniowej koronie, twarz umęczona, broda czarna pańska, ach, ubiczowany, cierniami koronowany, Jezu za trzydzieście srebrników od niewdzięcznika Judasza sprzedany, Jezu mój kochany! JuŚ na śmierć

skazany, krzyś jemu na plecy wpychają, zaczęła się droga krzyśowa: Pan Jezus pierwszy raz pod krzyśem upada! I zaraz najsmutniejsze: Matkę swoją spotyka: Czemuś Matko ukochana, ciężko na sercu stroskana, czemu cała truchlejesz? Co mię pytasz wszystkim w mgłości, mówić nie mogę z Śałości, krew me serce zalewa! AŚ litościwy Cyrenejczyk krzyś dopomaga nieść. Potem Święta Weronika twarz obciera Jemu z krwi i potu i na płótnie twarz Jezusowa odbija się jej jak Śywa! I jeszcze raz, i jeszcze raz Jezus pod krzyśem pada, droga cięśka, pod górę, na kalwarię. AŚ

napawają jego Śółcio i stacja je-dynasta, najsmutniejsza: do krzyśa przybijają tępych goździami, oczy bolą patrzeć strasznie, ileś to razy, od małego, co Post, co Gorzkie Zali, ileś razy samemu się do krzyśa przymierzało, ręce nogi na drzewo kładło w strachu, Śe takiego bólu nie wytrzymają, a On, On aświęty. delikatny, wytrzymał! Oby się serce we łzach rozplęwało, Śe cię mój Jezu sprośnie obraśało, Śal mi ach Śal mi cięśkich moich złości, dla twojej miłości! Pod krzyśem Matka jego stoi, boleje. Ach mnie Matce Boleściwej, pod krzyśem stojąc smutliwej, serce Śałość przejmuje! I tak słowo po słowie śpiewanie kończy się: Dominicha przestaje prząść, klęka ją, i my wszystkie klękamy, bijem się kółkami w piersi: Któryś za nas cierpiał rany, Jezu Chryste zmiłuj się nad nami! trzy razy odśpiewawszy Śegnamy się, siadamy, a usiadłszy, kaśde robi swoje robotę, tyle Śe tu tam trochę płakania, wycierania, śłozów, ale juŚ wituszki popiskują, szpulki furczą, ale bez gadania, kaśdy jeszcze rozpamiętuje krzyś, cierpienie, o śmierci się myśli, Śe umrzeć trzeba będzie, Śe choroby, nieszczęścia, Śycie marne, proch z prochu.

AŚ Grzdgor odzywa się Śe to wszystko przez czorta: przez czorta ludzi Pana Jezusa ukrzyśowali, za czortowo namowo wódkę wydumali, chfabryki stawiają. To przez niego świat zaginie armaty, rowery, jeroplany tak samo czortowy wymysł. A na co to wszystko? Czy to kiepskie Śycie starodawne? Czyś może być coś lepsze jak gospodarzem być, orać, siać, młócić, konia trzymać, krowę! Ach, Śeby wrócili się dawne czasy, króle w koronach, hetmany, wojsko na komach, dwory, dzwony, odpusty, herody, posty, pobośność. A pamiętacie dawniejsze lata, zimy?

Jakie mrozy, jakie śniegi zimo! Jaki Śar, ile słońca latem! A co dzisiaj? Zimo odelga za odelgo, śnieg z deszczem, plagi. Lata mokre, pochmurne, stonice zimne, wystyga, pomieszanie się robi. A Domin na to, Śe trzeba będzie dać na msze: niech ktoś przejedzie się po wiosce fóro zbierze ofiarę



na klebana i organistego, niech msza będzie z organami. Bieda wisi nad Taplarami, niechaj nas Pambóg chroni od wszystkiego złego, amen. A Grzegorz: Bieda, nieszczęście wisi nad całym światem, koniec świata bliski, tak dalej być nie może. Któregoś dnia raptem zatrąbić trąby, ziemia zatrzęsło się, luna stanie na niebie i pokaże się Pan Jezus w chwale: Machnie ręką i niebo rozpruje się na połowy: I wtedy on machnie prawo

ręką na sprawiedliwych i pokaże im raj, szczęście wieczne po prawicy. Potem machnie ręką lewą na sydów, antychrystów, złodziejów i pokaże im ogień wieczny! Opowiada, słuchamy w strachu, a tu Kuśtyk: Ojezu! i ręką obraz na ścianie pokazuje: widzicie?

Co? co takiego?

Nie widzicie?

Patrzmy, a Szymon spod proga to obraz palcem pokazuje, to Grzegorza: na obrazie Święty Piotr wielki klucz trzyma w obydwóch rękach, klucz do nieba. Przyglądam się, to na obraz, to na dziada, to na obraz, to na dziada: alesz tak, tak, na pewno! Ta sama twarz, włosy siwe nie siwe, szczoki pomarszczone, po bokach nosa po zmarszczce głębokiej jak broźna! I brwi takie same i oczy! Straszno się robi, baby wstają od roboty, każda co ma w ręce łapie, do proga odstepuje.

Co? co takiego? pyta się Grzegorz, rozgląda się po nas, po ścianach. Co tak patrzycie? Nu co? co takiego? Ale już dŹwi branseli, jedno po drugim odstepujemy, tyłem przez próg, Ostańcie z Bogiem mówim, głowy kionim, wychodzimy przez sień, a cicho a w strachu, jak przez zakrystię!

Całe subote nic tylko gadało się o Grzegorzu. Takich obrazów jak u Domina było w wiosce więcej, Dunaj mieli, Litwin czarny i jeszcze paru, obraźnik kiedyś furo jeździł po Źniwach, Źytem ludzi kupowali, kto Matkeboske, kto Pana Jezusa, a kto Pietra. Nu i masz tobie: taki sam święty między nami Źyje! Straszno się zrobiło, coś wisiało w powietrzu, dobrego albo złego, cudem pachniało przed Wielkanoce! W Palmowe Nidziele jak co roku raniusko, równo z kogutami chłopcy, kawalerka ruszyli po chatach z łozami, biczować. A jakŹe, i do nas wpadli, ale ja już

przyodział się, przyobuł, a palmuje się tylko tych co śpio. Nu i z Handzi i dzieciów pierzynę

zerwali i dalejŹe siekać łozami po nogach, po plecach, po dŹpie, sieko, podŹpiewuje Palma bije nie zabije, kości łamie nie połamie, pamiętajcie chrześcijanie, Źe za tydzień zmartwystanie! biczuje, a Handzia skacze i wiszczy w łŹsku, poduszko się zasłania! Ziutek teŹ oberwał, ale mniej, paŹłowali, tatka tylko dla fasonu tknęli po koŹsuchach, dziadków się nie siecze. PoŹytek z tego biczowania taki, Źe kto wypalmowany, całe wiosnę lato będzie budził się ze słońkiem, wstawał

letko.

Palmowanie palmowaniem, aleŹ obiadem, pieśni się Źpiewało, a za oknami widzimy: dwa nowe dziady ido drogo!

A nawet dzieciak poznałby, Źe to nie dziady, tylko ktoś inny: nawet psy nie szcz/ekali za nimi, jak za dziadami szczekają. On wysoki był, z czarno brodo, lat pod czterdziestkę, paŹskiej postawy i

pańskiego chodu, choć torbę powiesił, a odzienie poszarpane, brudne, -walonki ubłocone do kolanów. Ona teŝ większego rostu niŝ nasze baby, cieńsza, twarz delikatna, oczy mądre poboŝne. Oboje gadali nie po naszymu, po pańsku: byłem, poszedłaś, chodziłabyś, często wstawiali jakieś słowa całkiem niejasne, jakby ŝydoskie. Zaszli do Grzegorychi i na wioskę juŝ nie wyszli! A cóŝ to za dziady, co nie ŝebrajo? Cóŝ to za dziady co ręce, nogi, oczy maj o, co po cudzym bagnie ido jak po swoim, ŝcieŝki znajo, nie potopie sie na oparzelach? Dwa dni mijajo, trzy, oni z chaty nie wychodze.

Wypytyjem sie Grzegorychi, co to za najazd ŝebraczego rodu, moŝe klasztor u niej będzie?

Tłómaczy, ŝe nie wygania, bo co tam, jedzo jak pustelniki, byle co, na słomie ŝpio, a, niech bedo. Grzegor gospodarzy, po ŝwiętach da na zapowiedzi, kobieta tkać na krosnach próbuje, tylko brodaty siedzi na stołku, dumki duma. Aleŝ czemu oni pojawili sie w Wielkim Tygodniu? Co to za dziw? Co za cud wisi w powietrzu?

Jak mnie dzieciak umar, wspominam, stanół Pioter nad kołysko jak ŝwięty, ręce podnies i mowie wam: mało cudu nie było! Jeszcze trochu, a wstałob ŝywe!

Twarz ta sama co na obrazie, mówio Domin, te dwie broźny, od oczow przez twar, to od ŝłozow, bo płakał zawsze, ŝe Pana Jezusa sie wypar!

Tylko to jedno nie pasuje, mówie, ŝe on jakoŝ niebardzo poboŝny: raz ŝe z babo w jednej chacie ŝyje bez ŝlubu. Dwa, ŝe jakiś taki w obejŝciu sie zwyczajny, niepański. A Domin: ŝwięty Pioter zawsze zwyczajny był, toŝ z prostego człowieka wyszed, rybaczył! Ale o brodatym słowa my nie wymówili: ze strachu, ze ŝczęŝcia język truchłał! Jakŝe o Nim gadać, jak On tutaj, koło nas! Przypomniało sie mnie, co kiedyŝ dziad gadał:

czemu podług dziada sodomagomora robi sie na ŝwiecie: Pamiętacie jak wywodził, ŝe przydałoby sie, ŝeby On, wiecie Kto, znowuŝ na ziemie zstał i piekło trochu uspokoil?

Pamiętacie?

Nu dobrze, pytajo sie Domin, a w takim razie ta kobieta z nimi, kto ona?

Tu Szymona poniosło: Co wy, Domin, tego nie wiecie? Nie wiecie kto Przy Nim ŝył? Kto Jemu Prząd, Tkał, Jeŝc Gotował?

Wiem, Kto Jemu Prząd, Tkał, Jeŝc Gotował, przyznaje sie Domin, wiem dobrze, ale boje sie powiedzieć! I jak było między nami umówione, w Piątek ruszyli Szymon Kuŝtyk z saniami po wiosce, od Mokrych Jurczakow poczawszy, zbierać ofiarę na msze z organami. I dawali ludzi bogato, nie ŝałowali, bo wiedzieli o co idzie: o ratunek dla Taplarow, o bagno, o nasze rodziny.

Jechali Szymon zajdami, w obydwóch półkoszkach stali worki i koszy: zajeŝdŝali Kuŝtyk przed chale i zaraz gospodynią albo gospodarz wynosili abo pół kadłuszka ŝyta, abo czapkę jajkow, czy sitko grochu, kawałek słoniny, doniczkę maku, sznurek grzybów, torebkę suszonych gruszkow.

Dominicha dali ŝywe kurę, a Dunaj pół wemrohy i saganczyk juszki, bo akurat ŝwinie zakłuli.

Tylko Grzegoryche Szymon przepuścili, ona i tak zaślusona, darmo chowa całe trójkę. Jeszcze przed zachodem zbiórkę zakończywszy, zajdy w stodole postawiwszy, dary szmatami przed kotami i myszami okrywszy, bo wyjechać mieli rano, zachodzo do mnie Szymon i wiodo do Domina na radę i odzywajo sie tak mniej więcej: Wy nic wiecie pewno Domin na co Kaziuka ja zawołał. Nu to powiem. Ha, jak ja dziś tak jeździł i jeździł od chaty do chaty, taka myśl mnie naszła: Śe wy Domin i ty Kaziuk, wy obydwu naznaczone!

Naznaczone? przestraszyli sie obydwu: Przez kogo naznaczone? Do czego?

A tak, naznaczone: ksiądz w kościele o was śpiewa! Nu przypomnijcie: czy ksiądz nie śpiewa Dominus Wobiskum? Czy to nie o was Domin, Śe wy macie być naszym taplarskim biskupem?

Domin przestraszyli sie: prawdziwie, jakby o mnie, Dominus Wobiskum! Coś tu o mnie jest!

Jest i o Kaziuku, mówio Szymon: CzyŚ nie śpiewa sie w kościele Kirelejson? A jak na nich, na Banoszkow, przezywajo? Nie Kirelejsony?

Domin aŚ wstali: prawdziwie, Kirelejsony! Nu i sam Kaziuk, czyŚ nie podobny do Kirelejsona? Mało gada, duŚo myśli: usiądzie, podeprze sie: myśli, myśli!

A Szymon, smutno: Tylko o mnie nic nima, ech, juŚ widać taka moja dola kulawa, Śe ja zawsze na końcu.

Nie, mówie, jest i o was! Szymon podskoczyli: Jest? O mnie? Nu gadaj!

A czy ksiądz nie śpiewa Sekulase Kulorum? Sekulase Kulorum! Czy nie słyszycie: coś

tutaj jest o kulasio! Czy to nie o waszym stryku?

Szymon prawie rozplakali sie ze szczęścia: Patrzajcie, ludzi, i o mnie kulawym Pambóg nie zapomniał! Sekulase Kulorum! A jaz tyle razy słyszał to w kościele i nic nie wiedział, Śe o mnie śpiewajo! Patrzajcie: Dominus Wobiskum, Kirelejson i Sekulase Kulorum? ToŚ my teraz jak Trzej Królowie! Nu i co teraz?

Usiedzieć nie moŚno było z radości, chodzili my po chacie, głowami kręcili, dumali, Szymon co raz po kuśtyku sie klepio, klepio. AŚ mówio:

Ha! Rano mam wieźć ja te dary do SuraŚa. Ale wiecie co? Nie pomyście Śe ja boje sie roztopów. Abo Śe lenie sie rano wstać. Nie boje sie, nie lenie. Ale wiecie co radzę? Na co nam ofiarę Panu Bogu ofiarowywać przez księdzow jak my sami moŚem dać!

Jak?

A jak Trzej Królowie dawali! Zaraz bierzem sani i jedziem do Grzegorychi: sami poprosim świętych o ratunek! Co wy na to?

E, bez księdza ofiarowywać, kręco głowo Domin, jakoś nie bardzo.

A na co ksiądz! rozpalili sie Kuśtyk. A na co tyle drogi? ŝeby to sie wiedziało na pewno, ŝe oni ŝwiête, mówie, to moŝnoby i bez księdza ofiarować.

To ty jeszcze nie wierzysz, ŝe oni ŝwiête? Ty, naznaczony?

Chodźcie! wstajo Szymon z pieńka i prowadzę na gumno. Pomogli my Kuśtykowi załoŝyc konia i jedziem o te parę domów dalej, do Grzegorychi.

A zima sie przesilała, najczęściej tak bywa ŝe zima puszcza w nocy z Piątku na Subote Wielkiego Tygodnia: w Piątek jeszcze mroźno, śnieg, lody, i naraz w Subote ciepło jak w maju, wiaterek mięciuski, szpaki ŝwiergotajo, a kury wrzeszczę jak szalone, nioso sie na ŝwiéta ojcom chrzestnym matkom chrzestnym, ŝeby mieli swoim chrześniakom włoczebne, a po cztery jajka daje sie kaŝdemu, Domin i Dunaj po kopie rozdaje, obydwu po tyle samo maj o chrześniaków, obydwu równo szanowane. A i chłopcom trzeba jajkow dać, jak przydo pod okna ŝpiewać Alleluja i Konopielke, ach, co za dzień piękny, wiosna, radość, w pole niedługo, chłopcy odkryje głowy, a co ŝmielsze bedo bose, bose stano na ziemi jeszcze niedogrzaney, zimę naciskawszy bosymi nogami, ŝeby prędzej odchodziła, Konopielke zaŝpiewajo, o wioŝnie, o polu: Ej cienka lenka w polu konopielka, a jeszcze cieniejsza u ojca coreńka! I tego Piątku tak samo czuło sie na drodze, ŝe jutro wiosna wybuchnie, kury sie rozkrzyczę, na płotach pierzyny zabieleje a kto niekto moŝe i dubeltowe okna wyjmie i porozmyka chate na oŝcieŝ. Radość ma sie zacząć na ŝwiecie, a czemuŝ

Taplary ma j o być smutne? Ach, przypomnimy sie jemu, Zbawcy ŝwiata, ŝeby i o Taplarach pamiętał, poratował od zagłady! Zatrzymali Szymon fóre przed samym progiem Grzegorychi, ŝeb bliŝej było nosić dary do komórki, lejcy zawiązali na kołku, straszno sie nam robi, ale nic to: przeŝegnawszy sie, wchodzim do sieniow, z sieniow do chaty, Domin na przedzie: Niech będzie pochwalony Jezus Hrystus! Przy samym progu Grzegorycha nad koszem kartofli skrobała i drobiła na piątkowy krupnik. Brodaty siedział na pieńku i do piecy chrost podkładał, kobieta pod lampo krosnami sie bawiła, koło niej pod lampo Pioter chomont w kolanach trzymał, skórzane uŝcielke przy poduszce zszywał. O, powiedział, popatrzyszy na nas, sąsiedzkie odwiedziny, siadajcie!

Usiedlim na ławie, patryzm na nich. Pioter szyje szczerze, Brodaty podkłada do piecy, ale na nas popatruje skosa, podparszy sie ręko na kolanie, kobieta tka, ale teŝ spogląda.

A wystarczyło raz spojrzeć, ŝeby wiedzieć kto Oni! On, jaki postawny, jaki waŝny, oczy jakie czarne i mądre. Niestary, a ileŝ siwych włosów bieleje w czarnej brodzie, ach, wycierpiał On, wypłakał niemało. Ręce pańskie, figura pańska, spojrzenie pańskie'. A ona: jaka delikatna i dobra!

Jaka twarz poboŝna. Włosy rozczesane na ŝrodku, cienka chustka na szyje sie zsunęła. Jak sprytnie białymi palcami łapie czólenko, puszcza między osnowo, jak zgrabnie płocho watek przybija. A spokój jaki od Niej idzie, łaska, dobroć!

Na razie nie zaczynamy sprawy, boim sie tej ŝwiętości w chacie, w kościele strach szepotać, a tutaj ŝwiętość jeszcze większa. Domin namyŝlajo sie, juŝ juŝ rozdziawić sie, ŝeb mówić, ale ciamkno

tylko i zacichno. Takie wygadane, wszystkich przegadajo, a tym razem ich zatyka!

AŜ szturcham ich w bok. Obterli sie, jabko im zachodziło, zaczęli, Őeb łatwiej, to od Grzegorychi: Ofiarę my tu dla was przywieźli od całej wioski!

Grzegorycha skrobać przestała, nóŜ o chfartuch wyciera: Dla nas? To wy nie na msze zbierali?

Na msze, mówio Domin, ale uradzilim, Őe lepiej będzie od razu przywieść ofiarę Temu, Komu ona naznaczona. Fora stoi pod progiem, bierzcie, Grzegorycha, noście sobie do komórki, Warn Wszystkim na zdrowie! I kłaniajo sie Domin Jemu, Jej i Pietrowi, my tak samo wstajem, i kłonię głowy jak w kościele. Pieter szyć przestał: dla kogo niby ta ofiara, pyta sie, dla niego? I pokazuje na Brodatego. Kiwamy głowami, Őe tak.

A za co?

Bo po ratunek my przychodzim!

Do mnie, udaje zdziwionego Brodaty. Do mnie po ratunek? A od czego?

Od zniszczenia i końca świata!

A to koniec świata ma być?

ToŜ wiecie: bagno spuszczaajo!

Aha, bagno. A moŜe tylko straszoo?

To juŜ nie straszenie, za duŜo znaków było.

Na przykład?

A dajmy na to ciele u Kaziuka? A to Őe nieboszczko Grzegor straszyl? A do tego jeszcze, hm.

I Domin urwali. A Brodaty pyta sie, kto im doradził jego prosić o ratunek. Na to Kuśtyk: Nikt nie doradzał, my sami wiemy, czy to my nie chrześcijanie?

Nie odmawiajcie panie, proszo Domin, nie zostawiajcie nas, wy wszystko moŜecie! A On wstaje i pyta sie groźno:

Zaraz zaraz! Wy mi lepiej dobrzy ludzie powiedzcie, co wy o mnie wiecie? I Ona, i Pięter, i Grzegorycha patrzoo sie na Darnina jakby wystraszone. A Domin podchodoo do Brodatego, pochylajoo sie i w rękę chco pocałować jak księdza, On rękę wrywa: ToŜ dziad 'ja, dziad tylko, od kiedy to gospodarz dziada w rękę całuje! A Domin: Święta Magdalena, choć święta, Panu Jezusowi nogi słozami skraplała, włosami wycierała, On sam w Wielki Czwartek nogi mył swoim apostołom, a cóŜ ja, człowiek marny? Nie odmawiajcie nam swojego miłosierdzia, Panie! Teraz Pieter gadać zaczyna: Ludzie, nie szalejcie, spokojnie pogadajmy. Czy wy ludzie nie bierzecie nas czasem za kogoś innego?

Nie, nie, mówio Szymon, juŝ my dobrze wiemy, kto wy!

Naprzykład Ŝe kto? pyta sie Pioter i patrzy groŝno. A Szymon pytajo, czy on czasem rybaczeniem nie zajmował sie kiedyŝ?

Czemu nie, odpowiada, rybaczyło sie trochu.

Aha, to przy sieciach nauczyli sie tak dratwo robić?

Nie tylko. Próbowalo sie w Ŝyciu, jak to w Ŝyciu, wszystkiego: i krawiectwa i szewstwa i ciesielki.

A powiedzcie czemu wy Taplary upodobali? Czemu Taplary? Bo tu cicho. Spokój.

Wszędzie po świecie strasznie sie wyrabia: fabryki, pociągi, rowery, a u was po dawnemu. Jak sto, jak tysiã lat temu.

Tysiã? tknęło mnie: To wy pamiętacie jak przed tysiãcem było? Toŝ słyszało sie, czytało, on na to. A Domin:

Jak wam sie podoba w Taplarach, jak wy chcecie Ŝyc z nami po naszymu, to czemu wy nie chcecie pomoc? Toŝ jak oni nas zniszczę, to i was zniszczę!

A cóŝ ja moge zrobić, na to Pioter. Wy? Szymona rozpalilo, ręce złoŝyli, patrzy znad podłogi błagalnie to na Piotra, to na Nio, to na Niego. Wy? Wy wszystko moŝecie, a co Warn, Warn tylko powiedzieć słowo, a wiatery ustanie, rzeki popłynę nazad, dzień w noc sie przemieni!

I Kuŝtyk klękaajo. Domin teŝ, ja za nimi, Zmiłujcie sie, prosim, pomóŝcie! Nie odmawiajcie! Nie zostawiajcie samych! A Pioter bach ręko w chomont: Wy, widze, bierzecie mnie za kogoŝ innego. To ja was, proszę, zapamiętajcie: włóczęga jestem, co sobie nareszcie chate znalaz, ja chce tu Ŝyc jak człowiek i wy mnie w Ŝadne swoje termedje nie wciągniecie.

Zrozumiano? A Brodaty nas pod pachy łapie, podnosi: Wierzcie mi ludzie, nie moge wam pomóc, to wszystko trudniejsze, niŝ myŝlicie, a Szymon: Jaktó, toŝ Wam tylko oczy w góre podnieŝć i Ojca Niebieskiego poprosić, ale Brodaty głową kręci, z klęczkow zrywa, wypycha, Domin proszo: A wy, Matko, chociaŝ Wy nas wysłuchajcie! Ona ręce rozklada, a Brodaty za próg mnie wypycha, bez litoŝci, nu to proszę: Pan Jezus krew na krzyŝu przelewał, a wy? On na to jak popchnie, ja o próg zaczepiwszy lece w ŝnieg na morde, koniowi pod nogi, leŝe, cały głupi, za co, czemu, co oni za jedne te ŝwiête, ŝal piecze i wstyd a tu koń w szyje paro dmucha, wszystko pomieszało sie, ŝwiête i nieŝwiête, w sieniach Domin i Szymon kotłuj o sie z Brodatym, Matkaboska ich rozdziela, uciekać, uciekać do chaty, tak, zamknąć sie w chacie, dŝwi kołkiem podepszyć i ŝledzić, ŝledzić po ciemku, głowę rękami ŝcisnąć!

Z rana nowina: Brodaty i Kobieta noco zginęli, tylko Pioter w chacie ostał. Szymon od chaty do chaty latajo, tłómaczo sie przed ludziami, czemu ofiary nie oddali dla księdza: Poczekaajcie, poczekaajcie do jutra, jutro Wielkanoc, zobaczycie, on wróci, toŝ on nie zdrajca, wróci sie i to nie sam, moŝe z swoim wojskiem, swoimi ŝwiętymi, poczekaajcie. Ale Dunaj powiedzieli krótko: Uciekli. Przestraszyli sie i uciekli.

Czego przestraszyli się, pytamy. Tego wam nie powiem, na to Dunaj. Ale przyszła Wielkanoc i nic: nie wrócili się święte ni noco, ni pierwszego dnia, ni drugiego, ani trzeciego, oblewanego.

W Przewodnie Nidziele przyjechała uczycielka, sama przyszła aŜ ze Strabli, w gumowych botach przez takie roztopy, a jakim cudem nie zabłądziła, nie utopiła się, tylko jej i Panu Bogu wiadomo. Zaraz dowiedziała się od Handzi wszystkiego: Nie moŜe być, kręci głowo, nie do wiary!

A Handzia: To niech pani porozmawia z Grzegorycho.

Uczycielka poleciała do niej do chaty, pobyła trochu, ale tylko wróciła się, zaraz przylatuje za nią Grzegorycha.

Nieprawda, nie uciekli! powiada, a prawie płacze, babsko z Grzegorychi prędkie, jak rozchodzi się strach z nią zadzierać. A teraz rozпалиło ją na Ŝarty!

Nie uciekli! Tylko noco, jak Dunaj przyšli powiedzieć, Ŝe zamelduje na posterunek w Su-raŜu, oni, święte, wstali, obuli się, odzieli i naradzają się co robić: Idziesz z nami, pytają się Pietra. On mówi: Nie, z Helko zostaje, gospodarzem bede.

A Pan Jezus: Znowuś chcesz mnie opuścić? A Pioter: To wy mnie, Panie, opuszczacie.

Zostańcie z nami, bedziem sobie doŜywać jak zwyczajne ludzie!

A Pan Jezus: Oni mnie znowuś ukrzyŜuje! A Pioter: Nie bójcie się, ja was obronie! A Pan Jezus: Nu dobrze, ale co potem? Ziemie mam orać? A Pioter: Czemu nie? Ziemie.

A Matkaboska: O tak, synku, tak, i mnie chce się Ŝać, len pleć, krowy doić, zостаńmo się! A Pan Jezus: E, jaż nie na to po ziemi chodze, Ŝeby w niej ryc się, toŜ ja nie Chłop Jezus, ale Pan Jezus.

A Pioter: To panem doktorem będziecie, toŜ umiecie leczyć, uzdrawiać.

A Matkaboska: O tak, doktorem synku, doktorem, a ja przy tobie akuszerko!

Ale Pan Jezus usiad na pieńku i jak to on, głowę renko podper i zadumał się smutny jak Kirelejson. I taki zamyślony mówi: Całym światem się trzęsło, narodami, królami, i teraz tu w bagnie siedzieć jak dzik? Nie cudować, nie przemawiać? Czy na to ja krzyŜ cierpiał? A Pioter: O, wa! Od tamtego czasu tysiąc tysięcy umierało straszniej niż wy czy ja: dusili ich, truli, wętroby odbijali, podpalali Ŝywcem: a czy oni co z tego majo? Co z nich teraz? Proch! To jak wy, Panie, chcecie być naprawdę człowiekiem, to mięŜ ludźmi zостаńcie: poŜyjcie po ichniemu, marnie, i umrzyjcie po ichniemu, marnie!

.Na to Pan Jezus: Ty Pioter jak chcesz, a my, mówi do Matkiboski, nima co wracajmy się na .swoje miejsce.

I jak siedział na pieńku, tak od razu w figurkę się przemienił, kirelejsonika. A Matkaboska, Ŝe to Ŝać

chciała, przemieniła się w równiankę z Śyta, take, co święco na Wniebowzięcie w kościołach!

Uczycielka słucha rozdziawiona: Czy to Piotr wam opowiada takie przypowieści?

Nie! tupie nogo Grzegorycha: Tak było prawdziwie, na moich oczach! Brodaty w figurkę

się przemienił? A tak! I Grzegorycha odwija koŚuch, spod poły wyjmuję co? Kirelejsonika! O, wte figurkę! mówi. A wianek Matkiboski wisi na goździu kole obrazu.

Figurka, sprawiedliwie, całkiem jakby brodaty na pieńku siedział, tylko Śe maleńki i drzewiany: ręko brodę podper, duma.

A moŚe oni zapomnieli wziąć to, jak odchodzili? pyta się uczycielka.

ToŚ mówie, Śe oni nigdzie nie odeszli! tupie nogo Grzegorycha: Blask w chacie się zrobił i poprzemieniali się.

Blask blaskiem, ale czy to nie Pioter wam to wystrugał?

Ręce ma sposobne do wszystkiego, przyznaje Grzegorycha, ale takiej by nie wystrugał. Ta z Przemienienia Pańskiego jest! Uczycielka to obejrzy figurkę, to pochodź po izdebce. A nie odstąpiłaby mi tego pani na pamiątkę z Taplar? pyta się.

Nie, nie moŚno. Dla mnie to tyŚ pamiątka, po Nim. To ja zapłacę!

Zaciekawiła się Grzegorycha: Pieniędzami? O, nie wypada brać piēniēdzow za świętego. A uczycielka pyta, czy sto złotych wystarczy, kierlejsonika na ksiąŚkach stawia, portfelik wyjmywa.

Grzegorycha spogląda to na figurkę, to na piēniēdzy jak uczycielka przelicza.

A, wezmę, mówi, na zapowiedzi dajem, będzie dla ksiendza.

Szkoła ruszyło na nowo, Ziutek dowiedziawszy się, Śe pani uczyć będzie, poleciał nie pytawszy o pozwolenie, tak samo inne dzieci: jedne z chętki do ksiąŚki, drugie lubiwszy uczycielkę, trzecie wykręcawszy się od roboty, a z wiosno nie 'braknie jej i dla dzieci. A nie puszczać ich nie wypadało: jakoś tak się zrobiło, Śe kaŚdy wstydział się za Filipa Pierduna, za jego szyderstwo nad uczycielko, i wstyd było za pomyłkę ze świętymi. Wyszło na to, Śe się do uczycielki odnosiło nawet delikatniej, milej niŚ zimo, Śeb wynadgrozić, co się wycierpiała, napłakała z naszej winy.

A jak się wyszło z zimowej chaty w pole, całkiem inaczej się na duszy zrobiło, jaśniej, letczej. Zasiał ja owies, groch, nawoził gnoju pod kartofli, zaorał. Pod koniec kwietnia poszlim z Ziutkiem na kurhan kartofli z jamy wybierać. Zdjoł ja rydlem ziemię, odrzucił słomę, dobrał się do kartofli, dawaj ich koszem na wierzch wywalać. Chłopiec siedzi na workach i przebiera bulwę po bulwie, na trzy kupki:

mniejsze do sadzenia, większe do domu, zgniłe na bok. Zrzucam ja koŚuch, bo zgrzało, w koszuli robię. Wywaliwszy z pół jamy, wyłaŚe oddychnąć, zakurzyć. Ćmie i patrze sobie z góry po polach:



na ludzi na płoskach, jak gnój roztrząsają, zaorują, sieją, bronują. Na mogiłkach ptaszki świszczą, w brzożach parzą się. A rzeka błyszczy, aś oczy boją, Na błotkach kaczeńcy śółcują o.

Między rzeczko a krzywo rzeko krowy łaso, trawa jeszcze słaba, to przeciągają się, brują, bydłują, a Filip leniuchuje, psa sztuczko uczy, dobrze ma: póki rzeczka nie wyschnie, krowy chodzą mięśwodami jak w zagrodzie, nie przepływają, bo woda za zimna.

Na wioskę patrzę: wróble hurmami latają z jesiona na jesion. Na sokorze bocianica klekocze, szyje wykręciwszy, a boćko raz za razem patyk w dziobie z lasu niesie, gniazdo podszykowuje. Drogo dzieci się ganiają, w kręce się bawio, w pikra, ściśa, kaczora, krasnopałeczke. Ładnie, letko i dobrze, powietrze błyszczy prawie jak w niedzielę.

A ona czego was teraz uczy, pytam się małego.

Jakie bywają o zawody, mówi.

Zawody?

Co kto robi, co krawcy, szewcy, co stolarze.

To fachi, poprawiam, fachi nie zawody. A o jakich gadała?

Ślusarz: robi rzeczy z śelaza.

Jak z śelaza, to kowal!

Kowal bez maszynow. A ślusarz ma maszyny, śe struga j o śelazo jak hebel.

E, i ty w to wszystko wierzysz?

Toś pani opowiadała!

A moś ta wasza pani łśe?

Ona dobra, ona nie łśe. A śeby wy posłuchali tego radja, co pani przywiozła Dunajewi.

Dawała nam posłuchać, jak gra!

Ten drot co Dunaj powiesił nad chatę?

Ale to nie drot gra! Nakłada się takie klapki na uszy i słyszą: grają, gadają, śpiewają! Jak śywe! Dunajaki całymi dniami słuchają!

E, kaśdy drot brzęczy.

Nie, to nie drot, pani mówi, śe to teś elektryczność.

Ech, ta elektryczność, przypomniało się mnie zebranie, tamto gadanie i Syniera o maszynach, wójt, przypowieść o koniu: na stare chwoje patrze, a jak Œe, stoi ona, rosochaty jełowiec koło niej. A tu rydel przy nogach leŒy!

Przebieraj tu kartofli, ja zaraz bede nazad, mowie małemu, i wstaje, i z rydlem idę.

Idę po kurhanie, wierzchem, stare dziewanny trzeszcze pod nogami, idę coraz prędzej, bo ciągnie. Mijam mogiłki, idę pod chwoje, wrony z niej zlatuje, uciekajo. Staje pod staro chwojo, zadzieram głowę, czy co jeszcze na niej nie siedzi: nie, niczego nima, tylko chwoja szumi, ale ledwo, bo wiatru nima, i nie straszno, dzień, jasno, tylko co obiad minoł. Pod jełowcem czapka moja leŒy, ale jaka! Zapleśniała przez zimę, poszmaciała! Ruszam jo rydlem: nic! Przewracam: pleszka trawy się odkrywa, zapóźnionej, białej. Brać te czapkę, nie brać? Biore za kozerek: jakaś

hadka! fe;

Odrzucam j o na bok, w dziewanny! Staje pod jełowcem i rydel stawiam na ziemia i strachu nie czuje! Niestraszne! Tylko ciekawość, strachu prawie nima. Naciskam nogo, rydel wstroił się do rąbka, czekam chwilkę: nic! Odrzucam piach na bok, drugi sztych: znowu nic! I trzeci sztych, i nic, nigdzie nic się nie odzywa. Tylko pot się leje, czuje mokre na czole, szyi i pod pachami. E, teraz juŒ kopie śmiało, szybko! Piach idzie letko, tylko korzeni przeszkadzaj o, to ich odcinam rydlem jak siekiero, wyrywam i kopie. Pokazał się Œwir grubszy. ZnowuŒ Œólty piaseczek. Potem biały. JuŒ i do paska w ja-mię stoję!

Ty bardziej pod jełowiec kop! mówi ktoś, oglądam się: Kozak. Bicz ma w ręku. OdwaŒniej kopie, zawsze to śmielej z kimś niŒ. samemu. Korzeniow duŒo, tyle Œe cienkie, toŒ, jełowcowe, najlepsze na koszyki, cienkie i długie. Przecinam, wyrywam, kopie. JuŒ pod pachy w jamie stoję.

Ty pokop, mowie do Stacha, bedziem mieli konia na dwoch!

To myślisz, Œe jest?

Myśle, Œe nima.

To czemu kopiesz?

Chce wiedzieć na pewno. WyłaŒę, on Œegna się, wskakuje. Kopie, a. ja, z góry patrze. Ale juŒ nie sam: juŒ i Natośnik przyszed konia w polu zostawiwszy, Stacha co to ja i Władko co je komose i Jaśko Zębaty i Ziutek przyleciał.

Jakby się ziemia ruszyła, prętko podaj trzonek, wyciągniem, ostrzegajo Władko Stacha w jamie.

E, studnie się kopało i strachu nie było, on na to z jamy.

Nie ruszy się, jak my nie uwalim, mowie i odpycham ludzi od jamy.

A głęboko kopać chcecie, pytajo się nas ludzi.

A z półtora chłopca, ktoby co głębiej zakopywał.

Nasłuchujem, czy rydel nie zadzwoni, nie ŐdŐęgnie. ŐdŐęga, ale o piasek, o Őwir: prawdziwego ŐdŐęgu o Őelazo, o blachę nima. Kozak stęka z jamy: Uf, zdaje sie, Őe ten koń rozgnił!

Zdech i zgnił! Őmiejo sie ludzi na wierzchu.

MoŐe dzie poszed pod ziemio na piekielne łaki!

UwaŐaj Stach, bo do piekła sie dokopiesz!

A ogona tam nie widać?

Za ogon ciągnij!

A moŐe to kobyła! UwaŐaj, Őeby zębów tobie, ha ha ha, nie wypierdziała!

Jak Filip Jadźce!

A zagłdnij w podogonie, zlotne ono czy srebne!

A co wy, kurwa, durnego ze mnie robicie! pozłościł sie Kozak, trzonek w góre podnosi: Wyciągajcie!

A posiedz! Őmiejo sie nad jamo: Tej kiełbasy, co wójt mówił, pojedz sobie!

Mączki weź w kieszeni!

Marmulady!

Ktoś mnie popchnoł do jamy i zwałił sie ja Kozakowi na głowę, on przestraszył sie! Coś na nas zlatuje mokrego, podskoczyli, odbijamy rękami: czapka! moje stare czapkę ktoś rzucił.

Podsadam ja Kozaka, wyłazi i mnie zaraz wyciąga jak z grobu, a na wierzchu męszczyzny ganiajo sie wkoło jamy, to tego napychajo, to tamtego, obsypuje sie piaskiem, duŐajo sie po ziemi, mocuje jak chłopcy za koniami, a wrzasku, a Őmiechu! Nas bioro w obroty, mnie i Kozaka, przewracaj o, nawalajo sie wielko kupo, jeden na drugiego: szarpiem sie, siłujem, uch, walim kułakami, nogami dŐwiergamy, łońskie dziewanny trzeszcze pod nami, ziemia stęka.

Dzień, dwa później, z rana, Őniadamy, uczycielka wychodzi z pokoju. Ale nie idzie na dwór: zatrzymuje sie koło proga, stoi, coś chce powiedzieć, nie mówi: rozgląda sie tu, tam na kwoktuche w pałubce patrzy. IleŐ ona tu siedzi? pyta sie aby pytać: Z tydzień, nie?

JuŐ tydzień i jeszcze ze dwa! na to Handzia.

Aleś to ma cierpliwość!

Oj wej, na to tatko od miski: kiedyś jak kwoktuchi zabrakło, mama pod pachy parkę wylęgli!

Aleś to trzeba mieć pachę! dziwi się uczycielka, głowo kręci. Zamyczke naciska, ale pomału. Aha! mówi, udaje że przypomniła:

Chciałam panu powinszować, panie Kaziku.

Jemu? zdziwiła się Handzia. A toś czego?

A tego kopania pod jałowcem.

Kiedy oni nic nie wykopali!

Wiem, że nic. Ale ja wieszczę, no, odwagi. Zatrzymuje ją łyskę w gębie, nasłuchuje.

Handzia śmieje się: A to on niby taki odważny?

Jeśli się nie bał duchów, co tego konia pilnowały, tłumaczy uczycielka, znaczy, że on już nie bardzo wierzy w czarymary. Czy nie tak, panie Kaziku?

Zacierkę, psiakrew, dawaj, mówię ostro do Handzi, w pole czas! A tamta wychodzi, do szkoły idzie. Do pół maja w polu głównie się siedziało: po owsie zasiało się len, konopi, posadziło się kartofli, uszykowało się zagon pod warzywa, na koniec zasiało się grykę i nastali dni wolniejsze, koło domu. Handzia nacisnęła, że szlabanek dzieciom zrobić, pewnie za namową uczycielki. Prawda, podrastali, Ziutek piętami po pachach nas szturał. No dobrze, zbił ją z deskow ten szlabanek, pod okno wstawił, wtedy Handzia dawaj pilić, żeby kurom kucze sklecić przy stodole, takie jak u Dunaj a. A na co, pytam się. żeby lisy mięso mieli? Ona na to, że z sieniow śmierdzi.

Ho ho, jaka pani, już jej kury śmierdzo! To niedługo może i mnie z chaty wyprawisz?

Ale koniec końców zbił ją te kucze przy stodole, serdki wstawił, stare koszy wyszykował na gniazda. Akurat i Muszka okociła się, pięć psiaków przywiodła. Wybrał ją jednego z czarnym podniebieniem, sprawdził czy nie suczka a cztery zawiązał w stary rękaw i dał dla Ziutka, że wrzucił do rzeki. Poszedł, ale coś długo nima. Przychodzi: widzę, że oczami ziemię zamiata: Co, nie wrzucił?

Wrzucił, mówi.

Ej, łesz. Nie wrzucił! Dzie oni? Chłopiec w bek.

Ty, ty, co ty taki litościwy, mówię, chcesz ty łazęgow nahodować, żeby kury dusili? Dzie oni?

Co zrobił? Za stodołę w słomę schował! Wziął ja ten Śywy rękaw i niosę, chłopiec idzie za mno, popłakuje, choroba, miętki syn mnie rośnie. Tłómacze: Taki ty litościwy? Dobra, zobaczmy, jak tego jednego będziesz doglądał, co zostawiony. A co mus utopić, to mus!

I chluś rękaw na rzekę, niech woda odniesie nieboraczków za wioskę: bultneło i po wszystkim.

Ale widze, rzeka jakaś mała! Płycizny sie poodkrywali do dna, wierzby wystajo korzeniami nad wodę: Matkoboska, to juŚ?! Nigdy takiej niskiej wody w maju nie było, czasem, ale i to nie co roku, w Śniwa rzeka duŚo wysychała! Patrze na małe rzekę, tam jeszcze gorzej, kaczkę na piechotę

mogo jo przechodzić!

Filip, krzyczę do pastucha, czy ja dobrze widze? Rzeczka wyschła?

A wyschła, mówi, co roku wysycha.

Ale nie w maju.

Bo wiosna była sucha, macha ręko mnie na odczepne: dzieciarni zajęty, w noŚy z nimi gra.

A jakŚe, nie pomylił sie ja! Parę dni potem zawurczało na drodze, wylatuje ja ze stodoły: motocykiel bach, bach, bach jedzie, siny dymek wypuszcza, siedzo na nim jakieś dwóch w beretkach, za nimi dzieci czeredo cwałuje! Stanęli koło Dunaja: zleźli z maszyny, jakieś skrzynki odczepiajo, wkło nich zbieraj o sie męŚczyzny. I ja lecę.

Jeden stary, lat z pindziesiąt, drugi ze dwadzieście parę, zuchowaty, rozgadany. Noszo skrzynki do Dunaja.

Ziemiemiery mówio Domin, bedo nas obmierzać!

Ale jak oni przez Topielko przejechali, pytam sie ja: toŚ tam błoto pod pachi, a ta maszyna prawie sucha!

Podobno Topielko wyschło, mówio Domin, ech zdaje sie, Śe będzie, jak mówili: musi w tych Bokinach juŚ przekopane.

Bagno spłynie?

Teraz, BoŚe ty mój, teraz zacznie sie! przepowiadajo Domin: Złodzieje, łazęgi, kaŚda zaraza wciśnie sie suchimi nogami. Jeszcze tego samego dnia wyszli oni po obiedzie na łąki, Maniek. Dunajów wozil za nimi taczkę z drewnianymi palikami, młody obuchem wbijał te paliki po drodze: koło Dunaja wbił, przy Kuśtykach, koło Litwina co zleciał z dachu, za Grzegorycho i na końcu przed mokrym Jurczakiem. Starszy miał na brzuchu deseczke zaczepione sznurkiem za szyje, na deseczce papier i coś rysował. Z drogi zeszedli na pole i brzegiem, popod łąkami doszli do brzeziny. Stamtąd skręcili za kurhan, zginęli, aŚ wieczorem pokazali sie na wierzchu, koło mogiłkow: wetknęli tam długie tyczkę z krzyŚakiem i drogo, wbijawszy paliki, wrócili sie do Dunaja. Pytam sie wieczorem uczycielki, co teŚ oni zaznaczajo?

Plany robio, tłumaczy ona: Muszo mieć plany wsi, gruntów i bagna.

śeb podatkami obłoŚyć!

Tego nie wiem. Wiadomo tylko, Śe nie moŚna zaczynać ni mejloracji, ni elektryfikacji bez planów. Niech sie pan nie boi, panie Kaziku, nikt nie będzie pana krzywdził.

Ale w Bokinach przekopane!

I cóŚ z tego? Więcej łąk będziecie mieli.

Więcej łąk i więcej złodziejstwa, ja na to, wszystkie tałałajstwo zacnie teraz nas plądrować!

A cóŚ wy tak boicie sie obcych. Ja teŚ jestem obca, a ukradłam co komu?

Pani nie, włączajo sie tatko. Ale inne?

Inni tacy sami. Tu nie tylko o złodziejstwo idzie, mówio tato.

A czegoŚ jeszcze tak boicie sie?

A bandyctwa! Czy kiedy u nas kto człowieka zabił? A w miastach morduje sie codzien! Ja za talem obstaje: śony męŚow rzucajo! W Boga nie wierzo. Z ludziow mydło sie robi! Gospody, kurestwo, sodomagomora! Ona pociesza: E tam, nie wierzcie, naopowiadano wam strasznych bajek.

A te maszyny? pytam sie: podobno Śyto końmi juŚ koszo!

śyto końmi? dziwuje sie tato: Konia w dośpiałe Śyto wpuszczajo? E, to chyba dzie u Niemców.

Nie u Niemców! Dunaj widział za SuraŚem!

E, u nas ludzi na to nie pójdo, przepowiadaj o tatko.

Uczycielka siedzi smutna, na nas spogląda litościwie. AŚ jo Handzia bierze w obronę: czy to pani temu winna? śeb wszystkie byli takie jak pani, nie byłob strachu. Ucinam: Tu o pani uczycielce sie nie mówi.

A dlaczego niby inni ma j o być gorsi ode mnie, pyta sie ona.

Drugiego dnia geometry chodzili od palika do palika z blaszane taśmo: mierzyli i zapisywali. To samo trzeciego. Tego dnia uczycielka wróciła od Dunajów grubo po zachodzie.

Czwartego wyszli z maszyno: trzy długie nogi miała, na wierzchu pudełko z lornetko. Stawiali nad kaŚdym palikiem i celowali, nazad i do przodu, na czerwone tyczki w białe paski: trzymali tyczki Dunaj owe chłopcy. Młody celował, stary zapisywał i coś podliczał. Tego dnia uczycielka siedziała u Dunajów moŚe do północkska.

Piątego dnia teŚ chodzili z maszynko. A wieczorem młody zaszed do nas.

Dobry wieczór, ja do pani Joli, mówi i idzie przez zapiec jak nie przez zapiec, jak nie przez chate, ale przez droge, pole, na nas ani patrzy, sunie prosto w dŚwi. Puka, uczycielka odmyka od razu, widać czekała, i juŚ coś gadajo, śmiejo sie za dŚwiami.

A u nas zapleco ciemnawo, tyle blasku co od ognia w piecu i od oknow. Zawsze dotąd lampę wzięszy, zostawiała ona drzwi nademknięte, było widno i u nas. A tato szepoczo: Pewno narzeczony! Nareszcie ma kawalera, a to sama była jak zazula. A tam śmiechi i gadanie, ona śmieje sie, on gada.

AŚ sie dŚwi odmykajo, prosi ona: Zrób, Handzia, jajecznicy, ale na dwoje, nie poŚaľuj. I daj dwa kubki.

Tato zbystrzeli od razu: Oho, bedo pili! i cmokajo i na murku sie kręco. A Handzia jakby skrzydłow dostała, tak sie nad patelnio zwija: sześć im jajkow, choroba wybiła! A usmaŚywszy, puka!

Uczycielka wygląda, bierze przez próg talerki z jajeczni, bierze chleb i widełcy, bierze kubki. Na zdrowie, mówi Handzia i mrug! okiem, oczko do niej puszcza, a ta śmieje sie urwisowato! Drzwi sie zamykajo i u nas znowuś ciemno.

A tam? A tam pijo sobie, śmiejo sie, opowiada j o, czasem głos ściszo, marmoczo coś, marmoczo, naraz jak nie hukno śmiechem! A na kogo oni szepoczo, przed kim sie ściszajo, z kogo, psiakrew, podśmiewujo sie? Nie, nie usiedzę, nie bede sľuchał jak śmiejo sie, kto wie czy nie ze mnie. Ot, cholera, znalaz sie opowiadacz, narzeczony w cienkich nogawicach. Zajdę do Domina, mówie. Czapkę bierę i idę.

Ale nie do Domina idę, tylko duŚo 'bliŚej, pod okno, tak, do swojej chaty, choroba, zaglądać bede!

A zaglądnąć nie łatwo, bo firankę zawiesiła sobie uczycielka na całe okno. Tylko od samej góry, dzie sie sznurek rozciągnął, szparka sie zrobiła, wężiotka, ale wysoko, za wysoko.

Na szczęście klon przy ścianie rośnie: wsuwam sie ja między pień a ścianę, za gałęź cichutko sie łapie, podciągam sie, oczami do szpary: siedzo!

Siedzo przy stole: butelka napoczęta, jajecznic sobie jedzo pomału widełcami, chlebem zakaszajo. Poczekam, aŚ wypijo. Ni to stoję, ni wiszę, ręka drętwieć zaczyna, czekam. Na ksiąŚkach, widze, figurka stoi. Lampa wisi na goździu koło łóŚka. Zygarek stoi na ławie.

AŚ on. nalewa, nawet niemało nalał: stuknęli sie, wypiła jak męszczyzna, głowę odrzuciła i hop! była wódka, nima wódki. Oho, numerek z ciebie panienko niewąski.

Ale ręka boli! ZłaŚę po cichu i wychodze na droge. Niedaleko, pod Dominowymi lipami, dziewczęta śpiewajo, Reczeńke śpiewajo, pieśń te kiedyś Dunaj od orelow przywiez, jak tratwy ganiał Narwio.

E, nic nie będzie, pocieszam się, ileś oni znają się, dzień, dwa. Posiedzi i pójdzie. A jakby co, to lampa zgaśnie. Aha, będę spoglądał, czy się okno świeci: w razie jakby zgasło, zajdę

znowuś, posłucham czy poszedł, czy jest. A żalić się nima czego, prawdziwie tato powiedzieli: mężczyźni spędzają całe dni z tymi bachurami, wieczorami zeszyty poprawia, albo ślepnie nad książkami, czyś nie ma prawa się rozzerwać? Niech odpocznie raz, toś ona niestara. Świeć wódki się napiła? A czy to na weselach baby nie pije? Nawet niektóre druhny próbują. A co tam, zapoznała kolegę, niech sobie pogada, pośmieje się, co tam.

Schodzę z drogi nad rzekę, w łąki, śmiechy huczą aś błota huśtają się od tego huk! Dzień na łąkach derkacz derczy. Po wierzbach ptaszki krzyczą, parzą się. Toś czerwiec.

Ciekawe co by było, śmieć tak kiedyś noco, jak Handzia zaśnie, zajść cicho na chatę. Ona spałaby, sama taka, pewno ręce rozrzucone. A wtedy ją ruszyć w ramię: odemknie oczy i co?

Krzyknie? Wskoczy z łóżka? Zawoła Handzie? He, a może posunie się? Nie, krzyku nie narobi, ale na pewno powiedziała by iść, wracać się! Choć czasem jakoś tak popatrzy na mnie, oglądnie się, zaśmieje, śmieć kto wie, kto wie. Ale nie! Za delikatna ona, za dobra dla Handzi, za wstydliva. A

lampa świeci się i świeci. Dziewczęta śpiewają Z kołowego ostu można płoty grodzić, choć prawie ich tu nie słychać, bo śmiechy głośniejsze, wiem, słowa zna się: z kołowego ostu można płoty grodzić, z kołowego ostu można płoty grodzić, mężczyźni matuli nie można dogodzić. Lampa świeci jak świeciła. A może już poszedł, a ona czyta? Idę znowuś, znowuś właśnie pomiędzy pień a ścianę, ręko się za gałąź łapie i tak wisiawszy, stojawszy, patrzy:

Stół odsunięty aś do drzwi, dświ stołem przyciśnięte! Butelka pusta. Ona na łóżku, pod lampo, goła! .Całkiem goła!

Ale on, dzie on? Nima! Jego nima!

Ona klęczy na łóżku pod lampo, cyckami i twarzą do okna, oczy zamknięte i kiwa się, jak baby w kościele się kiwają! Modli się? Czy pomieszania dostała? Tak, spała się i pomieszania dostała: wtuliwszy głowę, kiwa się i kiwa, jak wyprostuje się, widać nad szczytkiem jakie ręce ma cienkie, a cycki nieduś: chudziutka jak chłopiec, cieniutka, istna Konopielka.

Wtem nogę widzę!!! Jego kolano widzę, leśącego na plecach!!!

I tak jak ręko trzymał się ja dyla, tak od razu to ręko grechotnoł w ramę, aś się szkło posypało, a pod drugo ręko gałąź się urwała, i ryms ją na ziemię, a z ziemi jak dzik hyc przez płot i zadudniwszy nogami rzucam się w łąki, na łeb na szyję!

Rano Handzia ze trzy razy dobijała się do stodoły. Wpuść, prosi, mus pogadać! Nu wpuść, toś wiem, śmieć tam siedzisz! I zamyczko kołocze. Trudno, niech kołocze, pokołocze i pójdzie. Ale nie, uparła się, klepie, huczy. Mowie wreszcie:

Odczepś się, kurwo jedna!



Za co ty mnie tak, Kaziuk! Chodź, upiera się, trzeba coś zrobić z oknem, póki ludzi nie śmieją o się.

A co, pytam, widzieli może coś do śmiechu? Wstyd, że całe okno wybite! Plotkować zaczęło!

Ale nie o mnie, czy to mnie podglądali? Niechaj ona ładzi, albo ten jej narzeczony.

Posiedział ja jeszcze niemało na worku, niemało czasu zeszło, zaczęłam wyszed ja ze stodoły. Jezu, co się robi, narzeka Handzia i pod chatę mnie prowadzi, na nasze panie napadają! Napadają?

dziwicie się: I ten jej kawaler, nie obronił? Zachodzimy pod drzewo.

Prawda to, pytam się uczycielki spod okna przez dziurę, że ktoś na panie napadł?

Tak, mówi ona, okno rozmyka: ktoś wszed na drzewo i podglądał, a potem trzasnął w okno i udek. Mówi to, a na boki patrzy, oczy chowa.

To na drzewie siedział?

Tak, słyszeć było jak się zwałił.

Hm, pewnie ta gałązka jemu się urwała, mówię i gałązkę podnoszę z ziemi: Aha, mówię, w górę spoglądawszy, to z tamtej gałęzi się urwało, pasuje. Co za świnia, podglądał pani mówi, ciekawe czego taki szukał! A to może i po nim ślady? dziwicie się. A ślady na zagonku w cybuli jak po koniu! Patrząc ja na te ślady, gałązkę oglądam i myślę: lepiej było tobie na te drzewo nie wchodzić

człowieku, o, dużo lepiej byłoby dla ciebie, dużo. A ona:

Boję się! Może mnie co wieczór podglądano, tfu, okropność!

A jakby te gałęzie obciąć? radzi Handzia. W chatce będzie widniej i już nikt się nie uczepli?

Gałązki, mówię i całą drzewę, zębami latają: Gałązki? A dobrze, już, zaraz! Zaraz się zrobi, tak się zrobi, żeby już nikt nie wszedł na te gałęzie. Ziutek, piłę, siekiere raz dwa!

Trochę szkoda, mówi ona.

Szkoda? E, mnie tam już niczego nie szkoda, rzeki nie szkoda, chaty nie szkoda, drzewa nie szkoda! mówię, siekiere biorę i od dołu pień obciopuję!

Co?! Handzia oczom nie wierzy: Co ty, co ty, Kaziuk, całe drzewo? Nie tykaj, trzęs się tato, nie rusz kłona, bo źle będzie! Nie ścinaj, mówię, chatniego drzewa!

A co ono, święte?

Nieszczęście na dom ściągniesz! Nie ścinaj!

A to so jakieś nieszczęścia? dziwie sie. I obrabuje.

Od piorunów, broni, nie ścinaj! I próbuj za plecy odciągać, ale ich tak odpycham, Œe na Handzie polecieci.

Nie ścinaj! gwałtuje Handzia. Dziewczęta kiedyś dorosno, ławke dzie im postawim! A im bardziej sprzeciwiajo sie, tym mocniej rąbie, obrębuje kore, Œeby piła dobrze weszła, białe ciało spod kory sie świeci.

Nie ścinaj, bo ręka uschnie! straszo tato, nogami tupio, latajo wkoło, to z tej, to z tej.

Y tam, od jełowca nie uschła, nie uschnie i teraz.

AleŒ panie Kaziku, naprawdę szkoda, przemawia ona z okna, takie piękne drzewo! Cały dom w gałęziach! Naprawdę szkoda, co pan robi najlepszego!

Co tam gałęzi! ja na to, wyprostowawszy sie: Grunt, Œeby nikt pani nie podglądał.

To wystarczy tę jedną gałąź!

A co sie bawić po gałązce: całe drzewo zetniem! Po co ono? O, podwalinę rozsadza.

Strzecha gnije od cienia. I pani będzie miała widniej w izbie. Widniej, mowie, pani nie lubi, jak widno? Mnie sie zdaje, Œe pani lubi jak widno.

Ona na mnie patrzy, patrzy.

Jak widno, to lepiej czytać, mówie, oczy sie nie tak psuj. Pani tak duŒo czyta, a mnie paninych oczow szkoda. Klękaj, Ziutek!

Nie! broni sie: Nie bede drzewa ścinał!

Klękaj, mówie!

Wołajcie Michała! jęczo tato: Michał, Michał!

Klękamy, piłe przykładamy. Pociągam, drasnęło zębami białe, chłopiec piłe wypuścił.

Beczy.

Trzymaj, zasrańcu!

Nie bede! ToŒ to tatowy brat! Nie bede!

Trzymaj! i w łeb go: Ciągnij, psiakrew, bo zatłuke!

Co ty robisz! huknoł zza pleców Michał: Co ty robisz, kainie!

Slepy? Ja na to: Nie widzisz, Œe drzewo Œcinam!

Nie Œcinaj! I za piŒe łapie. Ja za siekiere:

Odczep sie, mówie, to moje drzewo.

Babka posadzili, ono i moje!

Ale komu posadzili, kto sie wtedy urodził, ty czy ja? A po czyjej stronie chaty ono? Po twojej?

Ty zdumiał! mówi Michał, spoglądawszy na siekiere. I odstępuje.

Ciągaj, Ziutek, nakazuje ja małemu, spokojnie. I juŒ nie słucham, co gadajo za uszami, ciągam piŒe, za dwóch ciągam i pcham, bo ileŒ chłopiec pomoŒe. Tyle Œe naciska. Nie wiem, czy ona patrzyła z okna, czy nie, mnie zdawało sie, Œe patrzy. Przepiłowali my Œnit z jednej strony, przepiłowali z drugiej, od Œciany, drzewo ruszać sie zaczęło.

Na bok! ostrzegam. Zaruszało sie, a nie leci. Jeszcze parę razy przeciągamy piŒo, odskakujem: rusza sie, a nie leci. Jakby Œyc prosiło, WłaŒe między drzewo a chate, kolanami naciskam pień, plecami wpieram sie w Œcianę: kiwnęło sie, chyli pomału. Naciskam, patrze w góre, ruszyła zielona czapa, widze, jak jedzie, jedzie, i w głowie mnie sie kołujo liŒci, chmury i myśl jedna: na co mnie kiedyŒ babka rękę przypalali, babka, na co, rękę, babka, kiedyŒ, przypalali, na co, czuje, Œe zaraz płaczem, bekiem rykne: gołe niebo sie odsłania, ktoś krzyknoł: UwaŒaj! podobno w gałęzi patrzawszy, chylił sie ja za drzewem jak przywiązany, a kiedy huknęło, odziomek buchnoł

mnie w bok, w koŒć, i pociemniało.

O, leŒało mi sie jak królowi! Nigdy w Œyciu nie wylegiwał sie ja tyle: leŒe sobie, a oni chodzo wkoło, jak przy jajku, na dybkach, półciszkim, o zdrowie pytajo, skwarki podtykajo, sieduch podstawiajo jak sralowi. Handzia Kazikiem nazywa, kaziuje, kazikuje, choć tytko Kaziukiem był ja u niej bez lat dziesięć.

Królowanie królowaniem, a co ja sie nacierpiał, tylko mnie i Panu Bogu wiadomo. Œebro mnie wyszło i coŒ pękło w kulszy, chyba koŒć sie nadłupała, bolało od najmniejszego ruszenia sie, od dychania nawet. Uczycielka napařa do szpitala mnie wieźć, do miasta, abo choć doktora przywieźć z SuraŒa, ja na to, Œe doktora moŒe przywieźć, ale sobie. Ona: Po co mi doktor? A pogadać sobie wieczorem, o ksiąŒkach, o miastowym Œyciu. Ucichła, patrzy sie pod nogi, wie, Œe ja wiem! Tak po prawdzie, to zdychać sie chciało, a z tej przyczyny, Œe Œyc sie nie chciało. Drzewo leŒało przez ogród aŒ na droge, droge zagradzało, póki Ziutek z Handzio czuba nie upiłowali.

Upiłowali, odciągnęli, droge dali. A jeŒć ,to sie przewaŒnie rybe jadło, dzieci pełnymi koszami nosili z rzeki płoć, jazia, szczupaka, okońki, rzeka przemieniała sie w sadzawki. Nie mog ja tego nijak sobie przedstawić: tego, Œe rzeki nima, prawie nima! Tato przyłazili znadwora zgłupiałe: Po Marcinowej Jamie, mówio, dzieci brodzo i majtków nie zamoczo!

Po Marcinowej Jamie? ToŒ j o mało kto zgruntował!

Tak, półpłaczo tato, po Marcinowej Jamie, po Stawisku, po Gaju, ryby leŚo w błocie jak w oleju, zdycha j o w słońcu. O Kirelejson, była rzeka, nima rzeki! Słucham i nie wierze: Śe zalewy wyschli wierze, Śe mała rzeczka, Śe Mazurowe koryto, Śe chlapa za wierzbo teŚ jakoś uwierzę, ale Śe duŚa rzeka zginęła? Jak to, Narwi ni ma? JakŚe moŚe Narwi nie być! Naszej nima, mówio tatko, wybałuszywszy dziw Śe im oczy na podłogę sie nie sypio, naszej nima. Mówio, Śe ostała sie tylko ta, co płynie koło Strabh, przez Zawyki. A wszystkie poboczne gałęzi pousychali. Z

Hołowczań-skich moczarów zrobiło sie błoto, Ciekuńska topiel przemieniła sie w rzeczke, Kowalskie grzędawy teŚ zeschli, sie w rzeczke, z całego Rozgnoju ostało sie trochu bagna mięŚ

Uhowem i Bokinami.

Handzia rybe smaŚy i na oleju, i gotuje krupniki, i suszyć próbuje. Rybo śmierdzi i w chacie, i za chato i chata.

A do Strabli moŚno wozem jechać jak po klepisku! mówio tato.

Ale czy prawda, Śe i Topielko suche?

Gada j o, Śe suche, błoto obsiadło i sucho.

I co oni w tych Bokinach zrobili?

Tam progi byli. A oni podobno wzięli rozkopali te progi mięŚ gorami. Nu i progow nima i bagno spłynęło.

Choroba, jak oni w wodzie kopali, dziwi mnie: A co z naszymi łakami?

Te wyŚsze podsychajo. Ale juŚ w szlamach trawa pokazuje sie, jeszcze rzadka, ale rośnie nawet ładnie.

I czyje bedo te nowe łaki?

Nie wiadomo, ziemiemiery obmierzajo.

To nie wyjechali?

Ha, jeszcze dwoch przyjechało!

Młode, stare? .

Same młode.

A Śeb ich małanka popaliła! To wy naprawde mówicie, Śe juŚ rzeki nima? Nijak nie moge przedstawić sobie widoku na kurhan, Śe sie wody nie odbijajo! Chce do okna wstać, ale dzie tam, plecami ruszyć nie moge. Póki moje oczy nie widzieli, wierze i nie wierze. Matkoboska, to my juŚ

nigdy, tatu, nie poj-dziem po rybe z bredniami? Z kłomlami?

Nie! Chiba wezmę połamię! Abo spale!

Nie łamcie, moŜe jeszcze co odwróci sie? A pola, jak na polach?

Pod kurhanem rośnie po staremu, ale od łąkow jęczmieni marnieje. Tak samo koniu-szyny, konopi. Pódsychajo.

A Ŝeb ich, tych dobrodziejów, spaliło! Ŝe to nima na nich kary!

Nie bojs, mówio tato, Pambóg im szykuje goŝcine, juŜ tam w piecach dla nich pało. I biero tatko róŜaniec, ale popaciorkujo trochu, znowuŝ wzdychajo: Mnie co tam, wzdychajo, ile mnie zostało, ale co z wami? Co z dzieciarni? okirelejson, co z nimi? BoŜe zmiłuj sie!

BoŜe, BoŜe, a co było ze świętymi? dycham:

Pouciekali! Chiba prawdę gadał Pioter, Ŝe Pambóg coraz starejszy.

Ludziom rozumy miesza j o sie. Co ciebie naszło, Ŝe ty klona ŝcioł?

At!

JakŜe święte .drzewo ŝcinać?

A jakie ono święte.

A nie pokarało?

Okaleczyło, bo zapatrzył sie.

A czemu zapatrzył sie? W zwyczajne drzewo nie zapatrzyłby sie. Wiesz jak teraz chata wygląda z nadwora? Jak bez duszy! Handzia w polu siedziała, len pięła, warzywo, oborywała z Ziutkiem kartofli. Uczycielka czasem siadała z nami: przypodchlebiała sie, ale ni tatko, ni ja za bardzo z nio nie rozmawiali.

MoŜe dać panu ksiąŜkę? dopytuje sie: Poczyta pan sobie.

Nie umiem!

To moŜe ja poczytam na głos?

Nie chcę.

Ale troche, na próbę?

Kiedy ja naprawdę nie chce paninych ksiąŜkowi Przez te panine ksiąŜki Taplary czort wzioł!

Nie wziął, nie wziął, pociesza słodziutko, teraz dopiero Śyc zaczniecie! Tyle nowych łąk, nowej ziemi! Do świata blisko, łatwo!

A cóŜ tam dobrego w tym świecie? krzywic sie tato: Judasz na Judaszu.

A jacy znowu judasze! źli sie ona. Porządni pracowici ludzie!

Porządni?! Uch, usiadby ja teraz, Śeby jej krzyknąć prosto w oczy: Porządni? JuŜ raz nam pani opowiadała o tej porządności! JuŜ ja wiem, jaka ona, ta porządność! I chce dodać: porządność, ale do góry nogami, taka, Śe baba na chłopą włazi, a chłop jak baba na plecach leŜy, ale w porę gębę zamykam.

Owszem, ciągnie ona, ale w oczy nie patrzy: inne obyczaje tutaj, inne gdzie indziej. Ale myślicie, Śe tylko wasze Śycie święte? I ksiąŜkę odmyka.

Odwracam oczy na ścianę, na muchi patrze jak po glince łaŜo, ona czyta o jakichś panach, jak na koniach jado, ścigajo sie, strzelajo niedŜwiedzia, potem jeden między nimi staje, gra.

Odwracam głowę do ściany, bo nie chce tego fiubździu słuchać. Co ona wie, co o naszym Śyciu ona wie, jak tylko raz z nami przezimowała, między stołem a szkołą, nawet czterech por nie widziała! A ja trzydzieście razy, a tato siedymdziesiont, a moŚe i osimdziesiont razy obeszli wiosnę, lato, jesień, zimę, i to nogami i rękami w błocie, w piachu, w rzece, w śniegu, w słomie, w gnoju! A co ona wie choćby o gnoju? O podrzucaniu słomy, dojeniu, cierpliwym przez krowy udeptywaniu, c soku, o zapachu, czy ona z raz gnój wywaląa? Ładowała na furę? Siedziała na furze, spodniami na gnoju, czy wie co za radość. Ściągała gnój na zagony, wie jak pola pachno, kiedy gnój woŜo? Rozrzucała kiedy gnój palcami! Ona nawet widłami brzydziłaby sie!

Przyorywała? Bronowała? Siała? Chodziła podglądać, jak wyłaŜo białe czubeczki? Jak przeczerwieniajo sie? A potem przezieleniajo? Jak sie listki wywijajo, potem kłos, jak kłos rosuje?

Jak pole pod sierp bieleje? Jak z gnoju ziarka sie zrobili?

A ona mi tu fiubździu czyta o jakichś alegantach i pańskich pieskach, w kaftanikach! I do tego w boku łupie, aŜ w oczach ciemnieje! Odwracam głowę i pytam wprost: Na co pani Śyje? To tu, to tam, to z tym, to z tamtym? Dzie panine dzieci? Dzie panina ziemia? Panine krowy? Świni? Kury? Panina rzeka, panina chata, panine drzewo? Dzie? Nic nie gada.

Mało, Śe sama nima, to i drugim zabiera! Dzie nasza rzeka? Kto klon zmarnował? Komu ryby przeszkadzali!

Ale panie Kaźmierzu, zaczyna tłumaczyć sie, wystraszona, czy to ja was niszcze? Ja tylko uczę pisać i czytać.

At, co tu gadać. Wszystkie wy dobre! I juŜ nie odzywam sie więcej. Posiedziała, podumała i poszła. I przestała zaczepiać.

Noco leŚała ja jak baba: od ściany, Śeby chorego boku Śonka nie trąciła, bo boli. Przykuwa sie, odsuwa, kręci sie z dopy na dopy, nogo po łydce mnie szoruje. Co z tego, kiedy kloc ze mnie, drgnąć nie moge. Za ściano tamta poskrzypuje łóŚkiem, czerwiec, krew babom sie burzy, a ja, ech wyszło: dwie baby w domu, jedna gruba, druga cienka i nie moge z Śadno! O, teraz to i do tamtej ja by sie dobrał, Śeby zdrowy był, a co! poszedby do niej w nocy, Jej Bohu poszedby, toŚ nie odepchnęłaby taka, uch, wysmulałby ja jo, bladziuszke, trochu inaczej niŚ tamten pizdryk!

A Handzia kolanami grzebie. To mówie: Jak tak chcesz, to leż na wierzch.

Ja na wierzch?

A co!

Jak?

A odsuń pierzynę, ja na środku sie ułoŚę.

Co ty!

Leż, mówie, juŚ mnie napaliło, juŚ widze tamto, co pod lampo było: Nałaż!

Wstydzę sie.

Kogo? Dzieci śpio, tato śpio. A tamta nie słyszy. A jak i posłyszysz, to co? Takie ogierowe koryto!

Co ty Kaziuk!

Nu właż, mówie!

Ale tak nie moŚno!

Czemu?

Ja tak nigdy jeszcze.

To zaczniesz.

Nie!

I odwraca sie plecami. I nie wiadomo czemu popłakiwać zaczyna, chlipie po cichutku, pochlipuje.

Czego beczysz? Ona nic, chlipie.

Czego beczysz?

Za Jadzio.

Ot, tobie masz, przypomniała! Ona dawno tam, dzie jej dobrze.

Ja chce znowuś.

Co?

Nu, zacięŚyć.

ZacięŚysz, nie bojś. Będiesz jeszcze miała tego dobrego, aŚ za duŚo.

Ale ona mówi, Śeby więcej nie rodzić: troje jest, starczy.

Jaka ona?

Uczycielka.

O, psiapara, jak to wszędzie nos wtyka! Sama rucha sie jak królicca, a komu odradza.

.Nie odradza. Tylko mówi, Śeb na pusto.

Na pusto?

A ja chce zacięŚyć.

No to włącz.

Ale wstydzę sie. Wstydzi sie, cholera!

A zatkaj ty sobie kolanem, mowie zły, no po psiamenda jedna zacznie, napali, a potem ze wstydem wyjeŚdŚa!

Tak męczył sie ja do pół czerwca. Po Antonim trochu chodzie zaczoł, na razie po chacie, wieszawszy sie rękami po ścianach. Potem z kija ładne kulasko wystrugał i z czasem na gumno wyszed. A jak zaczoł na słońcu przesiadywać i po ziemi chodzić, to juŚ z dnia na dzień letczało.

Rzeki, prawdziwie, nie było! Dno sterczało karpami i kłodami szczeriałymi na węgiel, trawy, bluszcz leŚeli zwałami, wyschli na siano. Gdzieniegdzie na błocie gnili ryby, kaczki czaplali sie w grzęzi, wybierali padło jak z koryta. Tylko głębiny przemienili sie w sadzawki i błota: tu dzieci buszowali z koszami, koszami rybe łapali! Nie, tego jeszcze nie było! Spojrzawszy na wschód, na północ, widziało sie plechy czarnego szlamu, ale więcej zieloności, dawne moczary, co ciągnęli sie hen, pod Turośń, Juchnowiec, Ryboły, przemieniali sie w dzikie łąki. Suchimi nogami moŚno było iść i iść, droga łatwa: tylko kto tymi suchimi drogami nadjedzie, nadejdzie i czego?

UrządNIK!, kołchoz robić! Przyjado jakim pociągiem, jak straszko Domin, załaduje całe Taplary i wywiozo dzie zechco!

Przechadzał sie ja z kulasko jak biskup: pomaluśku, po pół kroczk, bolało jeszcze. A lato było na całego.



Dzień po Janie przychodzi z łąkow, widze: na podwórzu stoi fora, Orelow Antoch na niej siedzi.

A co ty tak siedzisz? pytam sie ja z boku.

A czekam,

A na kogo?

A na uczycielke.

A co?

A powioze na stacje.

Uczycielke?

ToŜ mowie.

Na stacje?

Nu na pociąg. Dunaj mnie naznaczyli.

To odjeŜdŜa?

Jakby nie odjeŜdŜała, to by ja nie odwoził, Wchodze, prawdziwie, upycha szmatki w torbę i do waliski, Handzia nad nio, dzieci!

Ach, wrócił pan nareszcie, mówi, myślałam, Őe wyjadę bez poŜegnania.

To pani wyjeŜdŜa?

A tak, nareszcie koniec roku! mówi radoŝnie. Wakacje!

A w cieniutkiej sukience jest, w czerwone kwiatki: w talji przewiazana paskiem, ręce, nogi gołe, opalona mocno, ale nie tak czerwono jak nasze baby: skóra jakby przydymiona. Zwija sie po chacie bardzo wesoła.

Ale chiba nie na zawsze? pytam sie: Jesienio nazad wróci sie?

Wrócę albo nie wrócę, ona odpowiada bez Őadnego smutku: MoŜe ktoś inny tu do was przyjedzie. Lepszy.

Stoję jak zamarznięty! Jak to? Wyjedzie i nic? I po wszystkim? Niby niczego ja nie spodziewał sie od niej, ale jak to: szast prast i nima? Nu a my? A chata bez niej, jak to będzie! Niby sie z nio nie gadało, ale cały czas, choroba, cały czas jakby sie z nio kłóciło! W chacie jej nie było, a jakby była i to zawsze najwaŜniejsza. I jak to: siądzie sobie na fõre, pojedzie i nigdy jej sie nie zobaczy? AŜ mnie Őebro zakłuło, co to, jakoŝ tak jest, jakby coŝ zginąć miało, przepaść! Coŝ

waśnego! Wychodze z chaty. Jedź, mówie do Antocha.

Bez niej?

Ale do domu. Ja odwiozę.

Abo dasz rade?

Moja rzecz. Szkoda czasu na gadanie: juŜ woź od Michała ciągnę, spodówke, laterki wkładam, wrzucam półkoszki, grochowiny, przykrywam radnem, juŜ i Siwke z chleba wywodzę, prętko czyszczę, raz dwa chomont naciągam, zakładam duge, lejam: podjeŜdŜam pod chate, przywiązuje. I do chaty! Kubek wody, myje sie z ręki nad ceberkiem, z gęby, i do sieni: cholewki naciągam, biere lepszy palcik, lepsze czapkę. I na dwór, na woz.

Wychodzo obydwie, za nimi dzieci. To pan? dziwi sie ona, pan mnie odwiezie?

Nie dasz rady, Kaziuk, po co to tobie? szkoduje Handzia. Ja nic nie mówie, czekam. Kłado w półkoszki plecak, torbę, waliske, figurka do rączki przywiązana, papierem owinięta. Handzia wciska jej koszyk przykryty obrusikiem, cały czas ślozy obcierawszy. A ta nic, uśmiecha sie jeszcze, zimna jak z kamienia. Pocałowała dzieci w czoło, Ziotkowi rękę podała, a kiedy do Handzi przystąpiła, ta rozryczała sie w głos, po dzieciaku chiba mniej płakała. Nawet tato czapko oczy wycierajo:

A niech panienka przyjedzie do nas latem, zapraszajo.

Kto wie, moŜe wpadnę, tak pod koniec lipca.

Na Annę, mówio tato, będzie odpust w Turośni. Przyjedzie? Niech przyjedzie!

Przyjedzie! śmieje sie ona i macha palcami. To ja lejcami szarpie, ruszamy. Uczycielka jeszcze im rękę pomachuje: rozryczeli sie cało hurmo, wychodze za nami na droge. ObjeŜdŜamy klon. Ona siedzi przy mnie jak Őonka. A wzdłuŜ płotów widze głowy: baby stojo, mężczyzny, rozniosło sie, Őe ona odjeŜdŜa. Czekajo.

Dowidzenia panience! krzyczo za nami.

A kiedy przyjedzie?

A niech tam o nas nie zapomni!

Co złego to nie my!

Jaka ładna para!

A niechaj sie pani szczęści!

BoŜe prowadź!

Niechby na Śniwa ostała! Ona coś im odkrzykuje, to to, to tamto, ręką pomachuje, śmieje się. Dojeżdżamy do Dunajów, tu zeskakuje z fory, gibka to ona jest, a w tej sukience to się, choroba, przegibuje jeszcze bardziej. Całuje się z całą rodziną, a z piętnastoro ich stało: Dunaj, Dunaicha, chłopcy, dzieci, babka, Jozik z młodą Sonką.

Nie chcemy nikogo innego, pani musi wrócić! dopominają się Dunaj. Pani jak nasza druga córka, popłakuje Dunaicha. A babka skrzecze zza płota: Ładna para, ładna para.

Dowidzenia, dowidzenia! mówi ona, wskakuje zgrabnie boczkiem na siedzenie: Dziękuję za wszystko. Dowidzenia, nigdy was nie zapomnę!

A niech przyjedzie kiedy w odwiedki! zapraszaj o.

Ruszam, ona odkręcona jeszcze macha ręką, odkrzykuje: Może na Annę, na odpust.

Dowidzenia!

Jeszcze się ogląda, za wiosko. Ja siedzę wyprostowany, naprzód patrze. Jedziem. Na wygonie Filip lata wkoło topolki. Nasze turkotanie posłyszał: Pszczoły, krzyczy, pszczoły, cały rój siedzi! O Jezu, uciekno!

Wołaj Maciejka na pomoc! radzę. Uczycielka śmieje się, macha jemu ręką, ale na pusto, on lata jak opętany, kośluszką się opędza. Wtem myczenie słysze z tyłu! Oglądamy się: cielak, ciele za furo leci, stąpa sobie jak źrebiaczek! Do kobyły meczy, ona się ogląda, rzy do niego!

Nie dziwne to, mówie. Nie straszne?

Nic straszego, na to ona, w jednym chlewie stój o, zryli się.

Ciele z kobyłą?

Czemu nie, czytało się i o dziwniejszych rzeczach. I cichnie, duma. Jedziem, ciele stąpa przy kobyłę bok w bok, jak przyprężone! Objęliśmy kłodę, bo podrzuci, a boje się bólu w kości.

Jarzębina Jurczakowa. Wierzba co Wrona zamarz. Sokory. Kurhan, mogiłki, stara chwoja, jełowiec z rosochami: Sólty, usycha, korzeni ja popodcinał. Z kurhana zjeżdżamy, judaszowa osina, Marysia, dęb. I las już.

Nic nie mówimy, nic nie gadamy. Nasza brzezina. Mazurowa. Woź na korzeniach podrzuca, choroba, boli, w kulszy boli. Las kończy się, już i bagno. Ale co to za bagno! Dzie błoto, wody, dzikie kaczkę, czapli? Czemu ciasto nie ciamka na szprychach, nie chlupie o spodówkę?

Siwka sucho nogo idzie, stąpa sobie równusieńko jak panienka, jakby szła po gumnie, nie po bagnie, ciele przy niej drypcze, rabe, zgrabniutki, łasi się. A wkoło trawy i trawy, łąka, zieloniutko, tylko pierwsze trawy rosno tak zielono.

A dlaczego pan jedzie starą drogą, dziwi się ona. Przecież sucho, można by już na przełaj!

Prawdziwie, droga kręci się, zawija od kępy do kępy, od olszynki do brzezinki, o, niełatwo było kiedyś znaleźć dla woza trochu suchszego gruntu między błotami i grzędzawami. Kręcić trzeba było, chytryć, objeżdżać, nawracać.

Droga drogo, mówie.

To co: będzie pan okrążał wody, których nie ma?

Tak wszystkie jeżdżą. A ona:

Ale ktoś musi tę nową drogę zacząć! Dojeżdżamy do Topielka. Prawdziwie, jak gadali: ziemia obsiadła, widać to po drzewach, karpie się wydęli. A błoto porozpękało się, dziury, szczelubiny, jakby kto siekierą nasiekał, wkoło trawy rosło, pierwsze, ale już całkiem gęsto.

Szuwar pod olszyno posiwiał, schnie. Nawet kobyła się rozgląda, jakby i ona okolicy nie poznawała.

Topielko, mówie w głos. Ale czyś to Topielko? Jezu, latem tutaj koń do brzucha grzęznął!

Osi w błocie się chowali. A wiosno, jesienią? Niejednego konia, niejednego wóz łańcuchami się ścigało z tej topieli, ech, była droga! I nima! Ot, psiapary, co zrobili, nima Topielka!

Co oni, cholery, wyprawiają, a żeby ich! Takie bagno, takie okolice zmarnować! Toś tu teraz dzieciak przejdzie, Matkoboska co się robi. Czy napewno już co było nie odstanie się, nie wróci? pytam uczycielki: Nie odmieni się? Ona nic nie gada. Nu pewnie, co dla takiej Topielko.

Niby w Taplarach żyła, ale ileś żyła, jak żyła, onaś nie taplarska. Jak się radowała, że wyjeżdża!

Tak to z nimi włóczęgami: przyjedzie, naszkodzi, jedzie dalej.

To prawdziwie namyśliła się pani nie wracać już do nas? pytam się i słyszę, że nie, raczej do Taplarów nie wróci.

Czy to u nas tak niedobrze? A może pani na nas obrażona?

Nie, bardzo ładnie będę was sobie wspominała, odpowiada, ale chciałoby się gdzieś w nowe miejsce.

A to w nowym będzie lepiej?

Nowe miejsce, nowi ludzie.

To do nowych miejsców panią ciągnie?

Lubie zmieniać, mówi ona, to ciekawe.

U nas teŜ by było ciekawie, jakby pani z nami dłuŜej pobyla, zŜyla sie. Nawet kamieŃ jak dluŃo na jednym miejscu, to mchem poroŃnie, a co gadać o człowieku!

WłaŃnie, odpowiada ona, zasiedziałam sie u was, murszeję.

Tak? To woli pani ciągać sie z miejsca w miejsce, od ludziow do ludziow, i pozostać sie kamieniem gołym? Nie zakwitnąć? Ścichła, coś tam myśli, duma, grochowinke wyciągnęła, pogryza. AŜ tłumaczy sie, Ńe my, taplarskle, to co innego: siedzim jak kamienie w trawie, nie śpieszym sie, bo mamy w zapasie niebo i wieczność. Ale jak ktoś wie, Ńe po śmierci nic, tylko piach, to Ńałuje Ńycia na powtarzanie jednego, na nasze kręcenie sie w kółko, taki chce nowego i tylko nowego, jak najwięcej nowego.

Ale, machnęła rękę, nie czas, nie miejsce, zęby gadać o takich smutnych sprawach, tak ładnie dziś, zielono!

Przestraszyło mnie, Ńe ona w niebo nie wierzy! A jak w niebo to i w Boga! Pierwszy raz ja widział na swoje oczy kogoś, kto w Pana Boga nie wierzy! Słyszało sie, Ńe bywajo takie na świecie, opowiadali ludzi, podobno nawet Ńenio sie takie i dzieci majo! Słuchało sie, ale nie dowierzało: jakŃe moŃno w niebo piekło nie wierzyć! W aniołów, świętych, Matkeboske! Jak sie w to nie wierzy, to nic tylko nóŃ brać i ludzi rŃnać, i sobie głowę urŃnać, abo sie powiesić, utopić. Na co Ńyc! Patrze ja z boku na te uczycielke: ładna, uczona, ale to nie dziewczyna! To kozytka, czarcicha!

A pani z nami róŃaniec mówiła, pytam sie cicho, toŃ pamiętam: modliła sie pani!

Tak, odpowiada, przepraszam was za to, z ciekawości to zrobiłam.

Z ciekawości?

Jak ja słuchał o takich co w Boga nie wierzo, przedstawiali sie mnie zawsze ludzi nieszczęśliwe: jeden oczow nima, czerwonymi jamami świeci, drugi bez języka, trzeci z obciętymi rękami, inny z oberwano paszczęko, a kaŃdy smutny, głodny i jęczy! O tym, Ńe i baba abo dziewczyna moŃe nie wierzyć w wiare, nigdy ja nie myślał, to całkiem nie do pomyslenia, Ńeby baba abo dziewczyna w wiare nie wierzyła!

A ta tu siedzi przy mnie, w cieniutkiej sukience, ręce gołe opalone, twarz opalona, czerniawa. MoŃe od tej bezboŃności ona czarniawa, inna niŃ nasze dziewczęta, cygańska jakaś.

Ciekawe czy cygany w Boga wierze.

I znowuŃ lasek, przez Borki jedziem, na korzeniach podrzuca, a bok mnie boli coraz bardziej. Patrze przed konia i boje sie kaŃdego korzenia, kaŃdego kamuszka co sterczy w koleinie.

Chciał ja, to mam, cierpię za czarownice, nie trzeba było Antocha odprawiać. Ale jęczyć to ja nie bede: zęby zaciskam, boli psiakrew, uch jak boli! Ale ona pyta sie: To pan, panie Kaziku, nigdy z Taplar nie wyjeŃdŃał i nie wyjedzie?

Nie wyjadę, mówie, a jakby mnie chcieli siło wygonić, to poproszę Ńeby mnie przedtem oczy

wyłupili. Abo skóre zderli.

Oj, panie Kazimierzu, coś mi się zdaje, że nie tyle panu się stało starego, co strach przed nowym.

Nie chce pan zmiany, bo boi się pan, że nie poradzi sobie z nowymi ludźmi, z nową robotą. Tak, żeby w świat ruszyć, trzeba być trochę przygotowanym. A pan nawet pisać nie umie. ja już

niemłody, mówię na to, ja chce dożywać po swojemu.

Niemłody? Ledwo trzydziestka panu minęła, a pan już starego udaje? Toż z pana zdolny człowiek, raz dwa może szkołę skończyć. I nie musi pan siedzieć do śmierci w Taplarach.

A dzie?

A choćby do miasta wyjechać! Potrzebują robotników w fabrykach, na budowach.

Jakto? A żonka? A dzieci? A gospodarka?

Gospodarstwo można sprzedać, żonę i dzieci zabrać z sobą, tylko na tym zyskają. A tu boli, boli nie do wytrzymania: Uff, bliżej mnie na mogiłki, niż do miasta! jęczę i trudno: kobyłę

strzymuje i chce nie chce w grochowiny się obsuwam, boi kulsze rozsadza, w boku skręca!

Ona nade mną się pochyla zmartwiona: Znowuś przeze mnie, znowu przeze mnie pan cierpi, panie Kaziku!

I co się nie robi? Kiedy tak leże i jęczę, ona mnie czapkę zdymuje i po włosach gładzi i przestaje ją syczyć z bólu: truchleje ze strachu.

Matkoboska jedyna! Szarpie ją za lejcy: Jedziem! Nie, nie, niech pan odpocznie! zapiera się ona i, widzę, wszystko idzie do tego, o czym ja bojał się myśleć. I kto to robi, ja, ona, czy kto inny, kto sprawił, że leżę w grochowinach, a ona mnie włosy gładzi? Rękawem oczy nakrywam, żeby nie widziała, nie boi się zataić, ale strach, strach!

Gładzi po włosach, po rękach, a ja czuję, że to wszystko rozlatane w środku układa się, uładza. Zdyjmuje rękę z oczów i łokciami się podpiera patrząc z fory: wszystko w porządku, Siwka trawę poskubuje, ciele sobie listki z brzezinki obgryza, chwościkiem fajta, droga pusta. Słonko prześwieca się smugami przez chwojki, stoi wysoko. Nu i wyciągam ją rękę i przyciągam uczycielkę do siebie, jak ona w Boga nie wierzy, to pewnie i nie grzech z tego. I prawdziwie, nie opiera się: oczów nie zamykawszy sunę rękami po nogach i sukienkę podciągam i ściągam: żeby goła była, jak kozytka, i zaraz jednym szarpnięciem zrzucam i resztki, ona mnie całuje po głowie, fe, tego nie lubię, a sobie tylko pasek rozszpilam i rozchyłam się trochę, bo tu nie o to idzie, żeby ja był goły, ale żeby ona, i nie o zwyczajne tam i nazad, ale o coś jeszcze: robię to, co się robi, ale już

pomału przekręcam się, kładę się na zdrowy bok, z boku na plecy: tak kręce, żeby i nade mną pokiwała się rozmodlona jak pod lampo.

Jak z tamtym miastowym: nade mno. A było widniejniŝ pod lampo, słońce nas z góry oglądało. Ale wcale nie stanęło od tego, dalej zachodziło i wschodziło, Ŝyta doŝpieli i przyszła ta subota, zaŜynkowa, tato rozsiedli sie w trawie: trzyma j o w kolanach sierpa i ostrzo, a zapalczywie, jakby pół wieku zrzucili! AŜ przestawszy skohytać pilnikiem patrz sie na mnie: Ot medyk, zadumał sie. Jak baran w czólnie! A moŜe ty znowuŝ chory Kaziuk, a? Co z nim Handzia, co on taki?

Siedze na odziomku, a przede mno pieniek, w pieńku babka Ŝelazna: na takich babkach klepio kosy. Ale czemu ja w ten pieniek zapatrzyl sie jak baran w wode, czego ja chce od Ŝelazka.

Handzia czeka juŜ gotowa, w ręku koszyk, w koszu jedzenie, Ziutek konewkę niesie z wodo, czas iŝć: rosy nima, słońko het, stoi w pół nieba. A dziś subota, Matkaboska dziś patronko, do zaŜynku dzień najlepszy: ludzi ido za płotami, radość, śmiech, prawie święto, Koleŝniki hurmo wyszli, całym gniazdem, całym rodem, wyruszawszy zaśpiewali:

W Imię Ojca i Syna juŜ sie Ŝniwo zaczyna, Matkoboska we złocie dopomagaj w robocie!

Chata za chato puŝcieje, wszystko co ma nogi w pole idzie, tylko ja, czemu ja siedze, rozum marnuje, zamiast swoje druŜynę w pole wieŝć! A temu ja siedze, Ŝe w stodole na goździu wisi kosa prawie gotowa: kabłak obsadzony, płachta przyszyta. Tylko wyklepać i w pole brać! Siedze bo nie wiem: klepać czy nie?

Jego jeszcze w boku boli, gada Handzia. A moŜe my sami pójdziem, niech on lepiej w domu siedzi, jak on taki doniczego?

O, nie, pójdę! I to powiedziawszy wstaje, jeszcze nie wiem co ja zrobię, co ja wezmę, sierp czy kose. Co tu dumać, niechaj samo sie przewaŜa: iŝć zaczynam. Nu i widze, Ŝe mnie nogi wiodo prosto do stodoły: wchodze z niczym, wychodze z koso! I staje na ŝrodku gumna i patrzawszy na kose sam zdziwiony bardzo pytam sie ich wszystkich:

Co by ludzie powiedzieli na takiego, co wyszedby dzisiaj z koso?

Tatko patrz sie przestraszone: Jakby z koso taki wyszed, co by ludzie powiedzieli?

Powiedzieliby Ŝe złodziej!

Jakto złodziej?

Nu bo z koso między sierpy? ToŜ to gorzej' niŜ złodziejstwo! Ale ja przy pieńku siadam. I rozklinowuje zamek: jedno ręko trzymam kose za piętę na Ŝelazku, młotkiem w drugiej zaczynam stukać po brzeŜku, drobno, gęsto, równo, i dzwonienie równe, drobne leci po gumnie i poza płoty.

Tato za głowę sie łapio, uszy rękami zatykajo! Stanęli nade mno, wyraczyli sie, nie wierzo.

Handzia, wołaj o, ty zobacz, moŜe mnie oczy zaćmiło: Czy Kaziuk kose klepie?

Jakby klepie, mówi Handzia, teŜ nie wierzy. Tato odŝępuje: Kaziuk! odzywajo sie jak z grobu: Tu mnie Handzia powiedziała, Ŝe ty kose, kose klepiesz!

Kaziuk! dopominajo sie znowuś: MoŃe ty nie klepiesz, moŃe ty stukasz ot tak sobie. Czy mniej wiêcej wiesz co robisz? Kiwam głowo, Ńe wiem, wiem ja co robiê. Zakręcili sie tato w miejscu, jak koza w Herodach lataj o zbaraniałe, pytaj o sie to Handzi, to Ziutka, to powietrza: A moŃe on nam sfiksował? Na co on te kose klepie? Na łakê pójdzie? ToŃ sianowanie skończone, w tamte Ńrodê my skończyli. Do otawy? pyta j o sie i sami sobie tłómaczo: Do otawy z sześć tygodni!

E, ty Kaziuk myślisz groch kosić! Ale jak to, czy ty nie wiesz, Ńe groch kosi sie po Ńniwach? Nu to co on kosić chce? Nie Daj BoŃe co, serdele? Na serdele teŃ nie pora! Nu to co ty moŃesz kosić, co tu jeszcze do koszenia!

Dobrze latu wiecie sami, mówie cicho, co tu jeszcze do koszenia.

E, o Ńycie ty nie myślisz! Krêco głowo: Jak chcesz gadaj, nie uwierzę! Ńyto koso?

Nu to zaraz zobaczymy, mowie niegłosno 2 sprawdziwszy pod słońko, czy brzeŃek równo sklepany, osadzam kose w kosisku, zaklinowuje, osiołke biore, ostrze i próbuje kose na trawie, czy kosi jak trzeba. Tato dalej gwałtuje, lataj o wkoło, bose ale w czapce, w swoim koŃuszkuzku co im jest za koszule i za paltocik i za palto. Ty przyznaj sie, naciskaj o, ciebie znowuś naszło coś takiego jak wtedy co ty klona Ńcioł! Ja tobie Kaziuk radzę proszę: ty przeŃegnaj sie i zrób trzy razy BoŃe Bądź

Miłościw Mnie Grzesznemu!

Nima grzechu odpowiadam: za duŃo tej gadaniny: dobra kosa dla łaki, dobra będzie i dla Ńyta. Skończym Ńniwo za pół czasu! Ale Handzia teŃ coś gada, Kaziuk, prosi, będzie poŃmiewisko, zostaw kose, ale ja zabieram jej sierpy, wtykam w szczelubine nad dŃwiami, rêko zagarniam wszystkich, dzieci, Handzie, tata do drogi! Idziem!

Tato sierpem wymachuje, leco naprzód, kino, dychajajo, chco być pierwsze, zająć Ńyto, dyrdaj o przygarbione, oglądaj o sie na kose, dawno byli w takiej złości!

Wioska pusta, ani Ńywej duszy, juŃ wszystkie w polu. Idê z koso na ramieniu, płachta Ńwieci sie nad głowo jak chorągwią, idê waŃny, strachu mało. Jak ja ruszył rydlem konia, przekłêtego, diabelskiego, jak ja klona Ńcioł Ńwiêtego, jak spróbował z uczycielko, nu to czego mam sie boić? Wracawszy sie wtedy z stacji spróbował ja nowej drogi, przez bagniska podsuszone, na prostki i nic! Nie utopił sie, nie ugrząz, a przyjechał za pół czasu. Pomyślało sie mnie wtedy w drodze: a moŃe spróbować kosy? I akurat nawinęła sie pod oczy leszczynka, różga równa, prosta, w sam raz dobra na kabłaczek. W domu wygiół ja ten kabłak, spróbował osadzić w kosisku, wyszło. A zaras po nidzieli zechciało sie mnie ten kabłak płachto obszyć: usiad ja pod szczelubino, tam dzie z Ziutkiem sie pisało, obszył kabłak po kryjomu. Tylko kosy ja nie klepał, do ostatka nie wiedział z czym wyjdê, z sierpem czy z koso. Nu i z rana sie przegióło, przewaŃyło sie na kose. Idê

z koso, przede mno Ziutek, Stasia, Władzio drypczo, wesolutkie, rozbrykane. Tylko Handzia człapie stylu jak pokutnica: głowa spuszczone, oczy w ziemie. A przed nami het tato, juŃ do Ńyta dolatuje. A wzdłuŃ drogi gęsto w zboŃu, juŃ sie ludzi trochu wŃeli, rodzina przy rodzinie, Ńpiewanie, krzyk, gadanina, nachylajo sie, prostuje, czapki, chustki, głowy plecy. JuŃ sie jakby ogląda j o czy juŃ kose zobaczyli? Pot na czole, pod pachami, ale wszystko to od słońka, bo wysokie, praŃy z wierzchu,



dzień lipcowy, Śarko, duszno.

JuŚ i pole, i pierwszy uczaśtek, Kozaki, Kozakowe gniazdo, płoski wążutkie za to długie het, pod kurhan. Ale Kozaki nie Śno: stojo, postawali, cichno, patrzo. Jakby było co straszego. Ja podŚartowuje trochu czy to kosy nie widzieli i ha ha ha śmieje sie, niby śmieszne to co mówie, ale choroba sam śmieje sie, coś Kozakom nie za śmieszne. Mówie BoŚe DopomóŚ, odburkuje mnie Bógzapłać, ale cicho, aby zbyć. Przestraszone? ObraŚone? Tak ich kosa obraziła?

Ale i Dunaj i teŚ, ledwo ledwo odburkuje, za to wszystkie swoje oczy na kose, na płachtę

wytrzeszczają jak na gryfa! Litwiny tak samo postawali zadziwione. BoŚe DopomóŚ mówie i pytam sie, co tak stoicie jak nieŚywe, uważajcie bo przemieniacie sie w figury, ale znowuś nic, Śadnego słowa nie słysze, ni złego ni dobrego ani Bógzapłać. Orele tak samo: do roboty sie plecami obróciwszy mnie oczami jedzo. Tak samo i Mazury. Ale Kolesniki? Panie BoŚe Wielki DopomóŚ mówie głośno, i tyle mam, Śe Domin głowo kręco, a Dominicha spluwają w rŚysko.

Grzegorycha sie ogląda, Grzegorpioter popatruje, Michał patrzy sie spódełba. I Bartoszki, i Jurczaki, czego psiakrew oni chco, patrzo jakby na bandytę! Czy ja, psiamać, co im ukrad? Stasia z Władziem polecili do drugich dzieciow na jamy, Ziutek, Handzia chowają konewkę i jedzenie w trawie, w cień, ja osiołke wyjmuję i trudno, toŚ uciekać nie bede, dzwęg, dzwęg zaczynam ostrzyć

kose, prętko kończę ostrzenie i przystępuje do Śyta. śegnam sie, Śeb dobrze szło, Śyta nigdy ja nie kosił, aleŚ tato zalatuje z przodu, stajo w Śycie, ręce rozpościerają: Kaziuk, proszo, nie zaczynaj! I ja proszę: zejździe tatu, nie szalejcie. Ty chcesz mojej śmierci Kaziuk?

śyście sobie ile chcecie, ale zejździe! Bo skaleczę.

Michał! krzyczo oni i jakby mnie biczem chlasneli, bo psiakrew jęknęli na całe pole: Broń ojca, krzyczo, czy ty nie widzisz? Tu jakiś szalony przyszed, chce twojego ojca zarŚnać! O, czai sie, czai z koso!

I prawda, zęby ściskam i zamachnąwszy sie koso, patrze czy tato zdąŚo odskoczyć, ale oni ani drygno! Kose dziobem skręcam w piach, pod samymi ich nogami! Nie czekawszy cap za kołnierz i wynosze tatka z Śyta, na droge! Ale widze hurma zbiera sie na drodze, nie Śniwu jo jeden z drugim tylko do mnie lazo, patrzyć! Michał podlatuje z sierpem, obrońca, sierpem wymachuje, szanuj ojca, krzyczy, szanuj starego! Zejźdź, kainie! mówie ostro. A on: To ty, kain, ty! Ale ja nie myślę bić sie ani z bratem ani z nikim: pierwszy zamach, dobrze poszło, pierwsza garstka ścięta, drugi zamach, trzeci, wiem, Śe oni stojo, patrzo, czuje z tysiąc świdrów w plecach, ale juŚ mnie wszystko jedno: juŚ ja ruszył Śyto koso! Raz za razem ciacham dalej.

Ale słysze Pietruczyche: Nie podbieraj tego Handzia, podmawiajo swoje córke, czy nie widzisz Śe szalony?

I Szymona słysze: Jemu, Kaziukowi, uczycielka coś zadała:

Słysze i Domina: Miej swój rozum, Handzia! Nie podbieraj!

Oglądam się i mówię: Bogu Dziękuję nie wy Domin, nie wy Szymon z nim śpicie i nie wam jej rozkazywać. Podbieraj Handzia! A Ziutek nie oglądaj się, rób przewiąsła!

I kosze. I jak to w robocie, złość ustępuje, ciacham i coraz bardziej mnie się podoba: odwieść kose i Śach, i pół kroku! Odwieść kose i Śach i pół kroku! A Śyto dośpiałe, kosa aŚ dzwoni, chręst bardzo przyjemny, ostry. A ścięte słomki płachta nagarnia i chyli na łan. A za mno Ziutek idzie, przewiąsła kręci, układa w rŚysku, a Handzia nagięta idzie i skoszone zbiera sprytnie pod pachę, a jak pełne przygarść uzbiera na przewiąsło kładzie. I całkiem zgrabnie kręci się robota, a te wrony niech tam sobie graczo na drodze. Kosze coraz bezpieczniej, juŚ oni i droga daleko, kosa nie sierp, prędką. A moŚe juŚ poszli, odczepio się?

Zatrzymawszy się poostrzyć nie słysze śpiewania, co to, Śniwujecie i nie śpiewacie o? Oglądam się i widzę Śe połowa Śniwuje nad moim przekosem: gadają, sprzeczą się, machają rękami.

CzemuŚ to ich tak obeszło! Czy któregoś ja obraziłem? Czy któremu zrobiłem szkodę?

Dokosiwszy do dziczki, a rośnie ona w środku płoski między końcem a początkiem, zawracam się do drogi. Widzę Śe czekają o hurmo. Cóż to, wojna się szykuje? Ale o co taka wojna?

O te sierpy? Czy o kose? Czy o tata? Uczycielko przygaduje, oho, czy ktoś moŚe nas na forze widział, w lesie? CzegoŚ mnie się z nimi kłócić, toŚ my tutaj same swoje, Domin, Dunaj, Kozak, Michał. Same swoje, gdzie tu wrogowie? Tato w broń siedzą biednie, łeb spuściwszy, a wkoło gromada. Ale nikt się nie odzywa, tylko patrzy. Ja zaczynam kose ostrzyć, staje do nich jakby bokiem, Śeb plecami nie obrazić, a oczami nie chce świecić, boby oczy mnie wyjedli, z taką złością, nienawością patrzy się Śe kose ostrze! Nu to ostrze jak najciszej. Ostrze, ostrze. AŚ nie mogę! Jak nie tupnę! Nu i czego, krzyczę, czego tak się wyraczyli! CzyŚ, cholera, ja któremu ukradłem coś?

Stoję patrząc, złość mno trzęsie. Domin głową pokiwał: Nie choleruj przy Śniwach, paskudnie Kaziuk rугać się dzisiaj, taki dzień, a tu cholery!

Czego wy ode mnie chcecie! Domin dziwnie się niegłęboko: co tak krzyczysz? Czy to kosa tak cię męczy?

Kosa mnie nie męczy, mówię hardo, koso duŚo lŚej niż sierpem.

Pokiwał Domin głową i podchodzi do mnie blisko. Słuchaj Kaziuk, zaczynają, ja twój chrestny, rajko twój. MoŚe Ziutka teŚ wyraża. Ja coś tobie chcę doradzić, dobrze będzie jak posłuchasz: odnieś kose! Zanieś kose do stodoły, przyjdź z sierpami Co wam moja kosa szkodzi!

Ty nam Kaziuk Śniwo psujesz!

ToŚ waszego ja nie tykam!

Ale Śniemy cało wiosko, razem, zgodnie, kaŚdy sierpem. Jak co roku, jak zawsze, jak Bóg przykazał. A ty jeden koso chlastasz!

Pambóg nie zakazywał kosy, stryku.

Zakazywał czy nie zakazywał, ale przykazywał szanować Śyto. A ty do Śyta z koso jak do trawy!

Kosy w gównie ja nie maczał, kosa teŚ nieobraŚliwa.

Ale kosa nie do Śyta! Koso Śyta sie nie kosi!

Nu to będzie sie kosiło.

Nie, nie moŚno. Koso, Kaziuk, nie wypada!

Ale czemu? Wytłumaczcie, stryku, czemu? Wytłómaczcie, jak uwierzę, to Jejbohu kose rzucę, bede sierpem!

Domin ręce rozłoŚyli: JakŚe takie coś tłómaczyć? To kaŚdy wie, od małego!

A ja nie wiem, mówie cicho.

Nie udawaj ty takiego, co zapomniał czym sie sra! rozłościli sie Domin. Nu weź, popatrz: Grzegorpłoter z świata przyszed i Śniwuje po naszymu! A ty? CzyŚ u Niemców ty chowany? Widze Śe ich nie przegadam, at, macham ręko, i zaczynam nowy pokos. JuŚ nie słucham co gadajo, tylko ciacham, co robota to robota, lepiej robić niŚ sie sprzeczać. Ale słysze za plecami, Ziutek wypytuje matkę, czemu Śyto mus szanować, a ona opowiada podbierawszy, Śe kiedyś Śyto miało kłosy od czubka do samej ziemi. AŚ raz w Śniwo jedna matka takim Śytem podterła dzieciaka, bo sie zgnoił w pieluszki, a Pambóg zobaczył i zgniewał sie: zabrał Śyto. I zostaliby sie ludzie całkiem bez chleba, jakby nie pies i kot: pies hau, kot miau do Pana Boga Śe głodne, chleba nimajo, i Pambóg ulitował sie i dał im od głodu Śyto, ale tylko z jednym kioskiem. Nu a przy nich i my ludzi poŚywiamy sie, toŚ mówi sie Śe człowiek Śyje z psiacej i kociacej doli. Chłopiec przestraszył sie: To jak teraz Pambóg zobaczy Śe my Śyto koso kosim, moŚe zno-wuś Śyto zabrać i chleba nie będzie?

A kto wie, co Pambóg zrobi.

Nu to trzeba iść po sierpy, radzi Ziutek przestraszony: niechaj tato juŚ nie koszo!

Obracam sie ja i mówie Handzi, Śeby nie straszyla chłopca. A ty Ziutek jej nie słuchaj, Śyto było, Śyto będzie, a to bajka. Ładna bajka ale bajka. Taka jak o złotym koniu, o kó-zytce, konopielce.

Ale mnie nie bajki w głowie, tylko Śniwo. Kosze. Kosze, coraz dalej, aŚ do dziczki. A wra-cawszy sie widze, Śe hurmy juŚ nima: tylko Szymon i Domin siedzo z tatem w broźnie, inne poszli do roboty: widać w zboŚu chustki, czapki, nawet słyszać i śpiewanie. Nu i dobrze, juŚ po krzyku. Ostrze kose śmiało, głośno, nie boje sie ich patrzenia. Od razu staje do Śyta, kosze.

Ale stare sie zawzięli, znowuś jęczo za plecami:

śeby on miał z tyłu oko, to by widział co zostawia. Jakie rŚysko. Pośmiewisko a nie rŚysko!

Ha ha, góry i doliny, same ręby! Koń zębami lepiej strzyŚe. Oczy bolo na to patrzeć.

Ano, czego chcieć, wiadomo kosa nie sierp!

Same prawdę mówisz Domin. Starczy spoglondnąć za miedze.

O, Michałowe rŚysko to rŚysko!

AŚ przyjemnie oczom patrzeć! Gadaj o tak, szyderujo język świerzbi, Śeb sie odciąć.

A co patrzeć, radzę głośno, lepiej weźcie pogłaskajcie. Abo, ha ha ha, abo grzebień weźcie i poczeszcie! Tylko to mnie dziwi, choroba, Śe wy stare gospodarze i nie wiecie, Śe kaŚde rŚysko, czy spod sierpa, czy spod kosy, będzie w końcu zaorane. Nu to co wam za róŚnica, równe ono czy nie równe?

A ta róŚnica, odcięli sie Domin, Śe póki co hadkie wygląda hadko! Ty obejrzyj sie za siebie: czy nie widzisz jakie twoje rŚysko hadkie? Wprost rzygać sie chce!

To rzygajcie, zaorze sie, będzie lepiej rosło, śmieje sie ja, całkiem juŚ swojej kosy pewny nie pomyślawszy wcale, Śe Domin sie obrazo. A ich poniosło:

Ty, wurkneli zajadle, z takim słowem do mnie ty? Do chrzestnego Śe rzygajcie? O, psia-mać, ty widze juŚ całkiem wstyd zatracił, zasrańcu? śeby Handzi tu nie było, ja by tobie coś

powiedział, ty kiernozie nieskrobany!

AleŚ stryko obraŚalskie mówie, Śeby ugłaskać ich trochu, nima co tej sprzeczki ciągnąć, choć ciekawe czym mnie straszo? Kosze ostro, aby dalej, trzeci przekos, juŚ ostatni, trzy przekosy płoska ma, nieszeroka. I dokosiwszy do dziczki prostuje sie, oczy napaść: pół mojego Śyta w garściach, drugie pół na pniu, tyle kosić co skoszone.

Ziutek leci po jedzenie, wode, przyprowadza dzieci z jamow: rozsiadamy sie pod dziczko, w chłodku. śujem placki, oj gliniaste, bo kartofli z otrębami. Póki chleba nie nakosim, nie namłocim, nie napieczem, trzeba Śuć te zakalczyki. Dzięki Bogu juŚ niedługo tego Śucia: niezadługo młody chleb, a j, młodziutki, toŚ to będzie! śujem placki, mleko pijem, aleŚ Handzia, spoglądawszy na droge i na tamtych, gada Śe prawda, koso prędzej, ale trochu szkoda, Śe nie Śniem w gromadzie.

A to czemu, pytam.

Pośpiewałoby sie z kobietami.

A to ty niewyśpiewana? Jak tak bardzo chcesz, to śpiewaj, posłuchamy sobie z Ziutkiem.

Aha, mądry! Weź śpiewaj za koso, jak ledwo uspiejesz podbierać!

Nima prędzej bez cięŚej, mówie. Za to wcześniej Śniwo skończym, będziesz mogła sie na-śpiewać.

Co z tego, krzywi sie ona: Śniwki śpiewa sie do Śniwa, nie po Śniwach. I przypomina sobie, Śe Domin nie chcieli czegoś przy niej gadać. Ja kręce głowo Śe nie wiem, ale ona podpytuje: Czemu

niby ty bez wstydu? Czy ty Kaziuk co nabroił? Ty coś taisz!

Co ja mam taić! IŃe śmiało: Ot, bresze coś stary piej ta. A moŃe, choroba, moŃe noco kto podgląda nasze figli. Handzia zaraz czerwienieje, w bok sie patrzy.

MoŃe dzieci wygadali? A ty aby Ziutek noco tata z mamó nie pogladasz?

Nie! broni sie odrazu, głowo kręci: Ja noco śpię.

MoŃe udajesz?

A dzie tam! Jak wy z mamó zaczynacie to ja zawsze dawno śpię!

To pamiętaj, śpij bo jak przyłapie, to oberwiesz, mówie. Nu tak, to moŃe im tato co na-pletli z zemsty za kose? A zreszto, macham ręko, czy ty nimasz czym głowy suszyć?

I wtaje do koŃby. Jeszcze ręce niezmećzone, plecy teŃ nie bolo jeszcze, znowuŃ kosze, teraz przekos aŃ pod kurhan. Sierpy z tyłu sie zostali, z nikiem sprzeczać sie nie trzeba. Machawszy ostro, pod wieczór mam skoszone całe płoske, akurat w porę: Handzia idzie gotować wieczerbe i Ńwiniam, my z Ziutkiem bierzem sie do wiązania snopków.

Wiążem od końca do kurhana. Ziutek podciąga snopki w kupy po dziesięć, i zaraz ustawiamy: trzy na trzy, a dziesiąty rozchylam w kłosach na boki, Ńeby był jak czapa i te czapę

nasadzam na wierzch. I tak jeden po drugim wyrastaj o za nami Ńrodkiem płoski dziesiątki, jak słomiane budynećki, równiusieńkie, pod oko.

A słońko siada juŃ czerwone na suraskie lasy, gaŃnie ogromniaste, za drzewami chłodek sie rozciąga, smugi Ńcieło sie po polach. A na mokrzejszych miejscach mgły wyłaŃo z trawy: na Stawisku, w Gaju, na małej rzeczce i chlapie za wierzbo, na Mazurowym korycie, wszędzie tam bieleje, dzie była rzeka, stojo białe jak dusza nad nieboszczko. I jak to przed noco, ziela pachno. A dziewczęta Ńpiewaj o Czas do domu czas, zamknoł sie nam las, a baby odŃpiewuje jękliwie, niesie sie: Na trzy kłódkie, na dwa zamki, czas do domu tapłarzanki, czas do domu czas!

I na innych płoskach stanęli dziesiątki, ale nikt tyle nie naŃniwował co my! Michały Ńeli we czworo, tato pomagali im na piątego, a wszystko jedno: nas tylko trójka, a naŃeli my ze dwa razy tyle co Michały.

Wiązawszy, ustawiawszy podchodzim bliŃej do drogi, między ludzi. Ale nikt nas nie zaczepia, jakby kose zapomnieli. Tylko tato stojo prosto, korco ich moje dziesiątki.

AŃ nie wytrzymuje: łapie jeden snopek, stawiajo gomlem na rŃysku, jak nie krzykno: ej, sąsiady! widzicie? Widzieli wy jakie snopki Kaziuk wysztukował? O, w tal j i jak panienka, a w kłosach jak mietła! Michalicha z siostrami Ńmiej o sie: cha cha, jak mietła, poszturchuje sie.

Nie snopek ale wierba! krzyczó Domin rozpaliwszy sie na nowo i nioso swój snopek przez szóste miedze: Snopek, bratku ma wygiądać tak! I koło mojego snopka, koso koszonego stawiajo swój

snopek, sierpem naŹy. I prawdziwie, ładniejszy jest, mało przewęŹony, ścisły jak równianka na Zielne, słomka do słomki przylega jak zapaliki w pudełeczku.

O, to jest snopek! chwało tato. A tamto? Mietła, kołtun, marnowanie Źyta!

JakieŹ marnowanie, odpowiadam ja spokojnie: Czy z mojego snopka gorsza sieczka będzie? Gorsza słoma na podściół?

Ale porównaj wagę, chwało sie Domin:

mój snopek, o, jaki cięŹki, z pół puda! A twój, hehe, toŹ to puch! Pierzyna! Mój ze trzy twoich roztrzepańcow w sobie ma! Moje snopki ułoŹo sie w stodole jeden przy drugim jak zapalniczki! A twoje? NajeŹone takie, Źe i dwóch stodołów mało.

E, zmieszczę sie, zmieszczę, próbuj o godzić nas Dunaj: nie taki tam z Kaziuka bogacz.

Nie bogacz i jeszcze tyle marnuje, złoŹczę sie tatko: Ty zobacz Dunaj, nu obejrzyj sie, ile on koso słomy, ile kiosków narozciągał po rŹysku. A ile kłosów naobijał, tu w piachu ziarka aŹ

świeco! Wróbli tu zleco sie z całego Rozgnoju!

E tam, nie świeco sie, pocieszam tata, pod cepem kłos ledwo puszcza, a od kosy ma wysypać? A te słomki rozwleczone jutro Ziutek pozbiera: ot, przeleci sie z grabiami i po biedzie.

I wzięwszy sie pod boki mówie do nich wszystkich, co sie zeszli szyderować: Wymyślacie tamto i róŹne owamto a najwaŹniejszego nie widzicie: Źe sie koso kosi prędzej! Ze trzy razy prędzej niŹ sierpem!

Prędzej, prędzej, przedrzeźniaj o mnie Domin: a czy to o prędzej idzie człowieku?

A o co?

Zęby było po boŹemu! Tak jak trzeba, ładnie i z poszanowaniem! A ty Źyto poniewierasz!

Nu to dobrze, jutro przyjdę z noŹyczkami, co? Bede ścinał Źytka po Źytka kaŹde słomkę

pocałuje i dopieroŹ na przewiaŹło połoŹę. A Domin na to. kościelnym głosem: Posłuchaj co ja, człowiek stary, tobie powiem. Czy ty naprawdę Kaziuk nie wiesz, Źe nie prędzej w robocie najwaŹniejsze? Jakby szło o prędzej, to moŹno konia puścić z bronami, całe płoske wytrachtuje tobie do obiadu, jeszcze prędzej niŹ koso!

Grzegorzpioter bierze mnie pod łokieć: Na co tobie ta kosa, pyta sie smutno. Ty więcej juŹ

koso nie koŹ, prosi, pojutrze ty przychodź z sierpem.

A tato: Pojutrze? On i jutro robić wyjdzie, w niedzielę! Jak on kosy sie nie wstyda to on i niedzielę naruszy!

A Domin: Prawdziwie, jak ty z koso do Śyta wyszed, to juŚ tobie nic nie święte!

W piątki będzie mięso jad! przepowiada Grzegorycha. Przed krzyŚem czapki nie zdejmie!

Obrazy pozdejmuje!

śonke porzuci!

Bez ślubu Śyc będzie!

Boga wyprze sie!

Posłuchaj mnie Kaźmierz, odzywa sie znowu Grzegorpioter: śyjesz w ludziach, Śyj jak oni.

A tym mądrzysz sie, wywyŚszasz, sierzpy masz ty za nic! A tych co sierzpami Śno bierzesz bratku za durniów!

Gadaj od razu, Śe my dla ciebie durne, napluj nam w oczy, to my sobie pójdziem, odzywajo sie Szymon z broźny, ale tak smutno, Śe nie chce sie mnie ani Śartować, ani mądrzyć sie: Nie stryku, mówie, wcale nie, czy ja mówił Śe wy durne?

RozŚalili sie wszystkie:

To czemu nas nie uszanował, czemu nie Śoł z nami?

Czemu Handzia z nami nie śpiewała, toŚ w śpiewaniu ona piersza! Czemu ty nam Śniwo zepsuł! CzyŚ ja zepsuł! bronie sie jeszcze. Zepsuł ty! łupnoł Michał kułakiem w kułak: Jak jest judasz na weselu, nima wesela! OkrąŚyli mnie w pietnaścioro, męŚczyzny, baby, dziewczęta, Ziutek ze strachu szarpie mnie za nogawkę. No to mówie głośno, Śe nie dla obrazy wyszłem, a oni od razu, nie dawszy skończyć; Słyszeli? On powiedział: wyszłem! Jak urzędnik!

Ludzi, ja nie dla obrazy wyszed, mówie jeszcze raz: czy ja wróg wasz? Czy nie sąsiad? Ja chciał wcześniej poŚniwować. Sierpem Śałby ja do Zielnej, a koso skończę na Annę, koso ze trzy razy prędzej.

A co ty z tym prędzej, rozzłościli sie Domin, dokąd tobie tak spieszno, człowieku? A tato rozwścieklili sie: prędzej, prędzej, gada o tym prędzej, a psiamać, wcale nie prędzej! Nastawiał

dziesiątków, toŚ to puch nie snopki. Wcale koso nie prędzej, nie wierzcie, on łŚe!

JakŚe nie prędzej, mówie, toŚ starczy tatu popatrzeć na płoske Michałowe i na moje: dokąd który doŚoł.

A pewnie Śe nie prędzej, krzyczy i Grzegorycha: Nabortał, naczapierzył snopków, a wcale nie prędzej.

Nu co wy Grzegorycha, dziwie sie kobiecie, dziwie sie ludziom, co z nimi, czy im w głowach

pomieszało. CzyŚ nie widzo? A tu Michał ogłasza: Koso nie prędeej. Prędeej sierpem! Ja więcej naŚo!

Tak tak, sierpem więcej, krzyćzo juŚ cało gromado: Michał więcej naŚo! O, duŚo więcej sierpem naŚo!

Próbuje przekrzyć: Co wy, ludzi, jakŚe nie więcej, toŚ widać! Ja skosił do końca, a Michał do połowy nie doszed!

ŁŚesz!

ŁŚesz po ciemku!

Chwalisz sie, bo ciemno!

Michał do końca, a ty do połowy!

Jak wam ciemno, to chodźcie, wołam, chodźcie, zobaczmy z bliska kto więcej naŚo!

A chodź! Chodź! I tak nasza prawda!

Sierpem więcej!

W oczy łŚe!

Idę pierwszy, oni za mno hurmo, a gadajo, za plecami, kino, jakby na bitwę! Idziem, idziem i dochodzimy tam dzie Michał skończył Śniwo:

koniec rŚyska, Śyto rośnie. Nu a u mnie rŚysko jeszcze i dziesiątki ciągnie się hen, gino w ciemku.

I kto więcej? pytam sie.

Michał więcej! krzyćzo tato. Sierpem więcej Michał naŚo! Jak nie wierzysz, pytaj ludziow!

Tak, tak, potakuje z cicha, Michał więcej! I coraz głośniej jeden drugiemu tłumaczo: Pewnie Śe Michał. O, sierpem duŚo więcej naŚo, co sierp bratku to nie kosa!

A ty Kaziuk łŚesz po ciemku!

Łgun!

I judasz!

Faryzeusz!

Ludzi zmiłujcie się, proszę, co wy tu wygadujecie! ToŚ moje dziesiątki ciągnie się pod kurhan! Kto nie wierzy, niech idzie za mno!



Ja nie wierze!

Nikt nie wierzy!

A co wierzyć judaszowi! A Œe idę, ido za mno, dychaj o, kaszłaj o, kino, idziem kupo przygarbione, czy mnie rozum pomieszało, myśle, ale patrze: nie, Michałowe Œyto rośnie, widze dobrze, a pod naszymi nogami rŒysko chręsci, i co trochu to dziesiątek! I tak dochodzim do końca, do ostatniego dziesiątka pod samym kurhanem. Koniec. BroŒna.

W piach wstromiona czeka kosa.

Biore kose. Stoim cicho ponad broŒno. I co teraz?

Michałowcgo dwieście kroki, naszego pięćset! ogłasza cienko Ziutek i tatę znowuŒ

poderwało: A pójdiesz ty, czercie nasienie! zachrypieli i cap ręko za koszule, ale wyrwał sie, za dziesiątek odskoczył, tato za nim: i naraz jak nie złapio snopka, jak nie rnachno w cudze Œyto! I drugiego i trzeciego! I Michał podskakuje i Domin i Szymon, szarpie przewiąsła, rozrywa jo moje snopki, rozrzucajo, przeklinajo! AŒ mnie w głowie zahuczało.

Won, wynocha! chrypie do nich i nachodze ostro z koso. Won, bo zarŒnę, ach wy hady!

Odskoczyli, odstępuje do gromady, ja nachodze na nich biały, ręce trzeso sie ze złości, kosa brzęczy: Uh wy, co ode mnie chcecie'

Rzuć te kose, proszo tato, odstępuje krok po kroku: Koso, Kaziuk, Œmierć Œniwuje! Kaziuk!

Ty jak Œmierć w Herodach!

I nachodze na nich z koso, nachodze jak Œmierć w Herodach, i odstępuje ze strachem, całkiem jakby przed Kostucho, a kaŒdy patrzy sie w kose, czy nie ciachne po goleniach, rŒysko chręsci pod nogami, Ziutek w ciemku popłakuje, a tato jęczo do tamtych Œe nic to, nic, co tam kosa, sierpem prędzej, o, ludkowie, sierpem lepiej!